

Rozdział 1

- Chwileczkę - powiedział Jason do mikrofonu, odwrócił się na chwilę i zastrzelił szarżującego diabloro-ga. - Nie, nie robię nic ważnego. Zaraz przyjdę i może będę mógł ci pomóc.

Wyłączył mikrofon i obraz radiooperatora zniknął z ekranu. Kiedy mijał nadwęglonego diabloroga, bestia w ostatnich przebłyskach swego wrednego życia zgrzytnęła rogami po jego metaloplastykowym bucie. Jason kopniakiem zrzucił cielsko z muru w leżącą poniżej dżunglę. Meta zerknęła na niego, uśmiechnęła się i znów zaczęła wpatrywać się w tablicę kontrolną.

- Idę na wieżę radiową kosmoportu - oznajmił Jason. - Na orbicie jest jakiś statek, który stara się nawiązać łączność, ale używa jakiegoś nieznanego języka. Może będę mógł pomóc.

- Pośpiesz się - odparła Meta i sprawdziwszy szybko, że wszystkie lampki świecą zielenią, odwróciła się na krześle i objęła go. Jej ramiona były muskularne i silne jak u mężczyzny, ale wargi miała gorące, kobiece. Oddał jej pocałunek, ona jednak wyswobodziła się równie szybko, znowu całą uwagę poświęcając systemowi alarmowo-obronnemu.

- W tym cały problem z Pyrrusanami - powiedział Jason. - Zbyt duży współczynnik wydajności. - Pochylił się i ugryzł ją delikatnie w kark, ona zaś roześmiała się i klepnęła go żartobliwie, nie odrywając wzroku od indykatów. Odsunął się, ale nie dość szybko i wyszedł, rozcierając stłuczone ucho. - Damski ciężarowiec! - mruknął pod nosem.

Radiooperator dyżurował w wieży kosmoportu sam. Był to nastolatek, który nigdy dotąd nie opuszczał planety i w związku z tym znał jedynie język pyrrusański, podczas gdy Jason, dzięki swej karierze zawodowego *gracza*., władał wieloma językami, a niektóre tylko rozumiał.

- Jest teraz poza zasięgiem - powiedział operator. - Zaraz znowu się pojawi. Mówi jakoś inaczej. - Włączył głośnik i przez trzask zakłóceń atmosferycznych zaczął przebijać się obcy głos.

- ...jeg kañ ikkeforsta... Pyrrus, kañ dig hor mig...?

- Nie ma sprawy - stwierdził Jason, sięgając po mikrofon. - To nytdansk, mówią nim na większości planet regionu Polaris. - Przycisnął włącznik.

- *Pyrrus til rumfartskib*, odbiór - powiedział. Natychmiast w tym samym języku nadeszła odpowiedź:

- Proszę o zezwolenie na lądowanie. Jakie są wasze koordynaty?

- Nie zezwalam lądować i stanowczo zalecam poszukać sobie zdrowszej planety.

- To niemożliwe. Mam wiadomość dla Jasona *dinAlta* i poinformowano mnie, że znajduje się tutaj.

Jason spojrział na potrzaskujący głośnik z nowym zainteresowaniem. - Informacja prawdziwa, tu *dinAlt*.

Co to za wiadomość?

- Nie mogę przekazać otwartym kanałem łączności. Schodzę po waszym sygnale kierunkowym.

Czy dostanę instrukcje?

- Czy zdaje sobie pan sprawę, że zapewne popełnia pan samobójstwo? To najbardziej śmiertelna planeta w całej galaktyce i wszystko co żyje, od bakterii po pazurosokoły, które są rozmiarów pańskiego statku, jest wrogie człowiekowi. Mamy teraz coś w rodzaju zawieszenia broni, ale dla kogoś z zewnątrz, takiego jak pan, to pewna śmierć. Czy mnie pan słyszy?

Odpowiedzi nie było. Jason wzruszył ramionami i spojrział na ekran radaru podejścia.

- Cóż, to pańska głowa nie moja. Proszę jednak nie mówić wydając swe przedśmiertne technienie, że pana nie ostrzegliśmy. Sprowadzę pana do lądowania, ale tylko pod warunkiem, że pozostanie pan na statku. Przyjdę sam, w ten sposób będzie pan miał pięćdziesiąt procent szansy, że system odkażania śluzu pańskiego statku zdoła zniszczyć miejscową mikrofaunę i mikroflorę.

- Zgoda - nadeszła odpowiedź - wcale nie mam ochoty umierać, tylko chciałbym przekazać wiadomość.

Jason sprowadzał statek, obserwował jak wylania się z niskiej warstwy chmur, zawisa i rufą w dół opada wreszcie ze zgrzytliwym łoskotem. Amortyzatory wygasły większą część siły uderzenia, ale mimo to statek miał wygięty wspornik i stał wyraźnie przechylony na bok.

- Koszmarne lądowanie - mruknął radiooperator i odwrócił się w stronę swej aparatury, zupełnie nie

interesując się przybyszem. Pyrrusanie nie odznaczali się cczą ciekawością.

W przeciwieństwie do Jasona. Ciekawość sprowadziła go na Pyrrusa, wplątała w planetarną wojnę i prawie zabiła. Teraz zaś ciągnęła do statku. Kiedy zdał sobie sprawę, że radiooperator nie zrozumiał jego rozmowy z obcym pilotem i nie wie, że Jason ma zamiar wejść na pokład, zawahał się przez moment. Jeżeli grożą mu jakieś kłopoty, nie może liczyć na żadną pomoc.

- Sam dam sobie radę - powiedział do siebie ze śmiechem i gdy uniósł rękę, pistolet wyskoczył z automatycznej kabury umocowanej do wewnętrznej strony jego przegubu i wpadł prosto do dłoni. Palec wskazujący był już przygięty i gdy pozbawiony osłony język spustowy trafił weń, huknął pojedynczy strzał spopielaając odległego lianooszczepnika.

Był dobry i wiedział o tym. Nie miał najmniejszych szans, by osiągnąć poziom rodzimego Pyrrusana, który urodził się i wychował na tej planecie śmierci o podwójnej sile ciężenia, ale był szybszym i bardziej śmiertelniejszym przeciwnikiem niż jakikolwiek człowiek spoza Pyrrusa. Podolałby każdemu problemowi, który by wyniknął - a mógł się tego spodziewać. W przeszłości bywało już, iż wywiązywały się różnice zdań pomiędzy nim a policją, czy też innymi władzami planetarnymi. Z drugiej jednak strony nie mógł sobie wyobrazić, że komukolwiek zechciałoby się wysłać policję w przestrzeń międzygwiazdną tylko po to, aby go aresztować.

Po co przyleciał ten statek?

Na rufie kosmolotu widniał numer rejestracyjny

i skądś mu znany znak rozpoznawczy. Gdzie go już widział?

Jego uwagę odwróciło otwarcie zewnętrznego włazu śluzu. Wszedł do środka i gdy tylko luk zatrzasnął się za nim, zamknął oczy, podczas gdy ultradźwięki i promieniowanie nadfioletowe cyklu odkażającego robiły co w ich mocy, by zniszczyć rozmaite formy życia, które mogły się znajdować na powierzchni jego ubrania. Proces ten wreszcie się zakończył i gdy wewnętrzny luk zaczął się otwierać, przywarł mocno do niego, gotowy przeskoczyć przez właz natychmiast, gdy tylko zdoła się przezeń precyzyjnie. Jeżeli miała tu być jakaś niespodzianka, to sam chciał być jej autorem.

Gdy znalazł się za drzwiami, poczuł nagle, że pada. Pistolet wskoczył do jego dłoni i Jason zdołał unieść go, kierując lufę w stronę człowieka w skafandrze siedzącego w fotelu pilota.

- Gaz... - zdołał tylko powiedzieć, zanim stracił przytomność i runął na metalowy pokład.

Świadomość powróciła przy akompaniamencie koszmarnego bólu głowy. Jason poruszył się, skrzywił z bólu, a kiedy otworzył oczy, przeraźliwie rażące światło sprawiło, że szybko znowu zaciśnął powieki. Czymkolwiek go załatwiono, musiał to być jakiś szybko działający i szybko utleniający się preparat. Ból głowy przekształcił się w delikatne ćmienie i wreszcie mógł otworzyć oczy nie odnosząc przy tym wrażenia, że ktoś wbija w nie rozpalone igły.

Tkwiał w standardowym fotelu pilota wyposażonym dodatkowo w uchwyty krepujące ręce i kostki nóg. W sąsiednim fotelu siedział mężczyzna, pochylony w skupieniu nad przyrządami sterowniczymi. Statek leciał i znajdował się dość daleko od Pyrrusa. Nieznajomy pracował przy komputerze programując przejście do lotu w podprzestrzeni.

Jason wykorzystał tę okazję, by poobserwować tego człowieka. Wydawało mu się, że jest on zbyt stary na policjanta, ale na dobrą sprawę trudno było określić jego wiek. Siwe włosy miał tak krótko ostrzyżone, że przypominały myckę, natomiast zmarszczki na wygarbowanej na rzemień skórze wyglądały raczej na rezultat działania słońca i wiatru niż świadectwo podeszłego wieku.

Wysoki, trzymający się prosto, sprawiał wrażenie nieco niedożywionego, ale Jason wkrótce zorientował się, że na człowieku tym nie było zbędnego grama. Wyglądało to tak, jakby słońce paliło go, a deszcz chłostał dopóty, dopóki nie pozostały jedynie kości, ścięgna i mięśnie. Gdy poruszył głowę, mięśnie napięły się pod skórą jego szyi jak liny, a ręce na przyrządach sterowniczych przypominały szpony jakiegoś ptaka. Przycisnął włącznik uruchamiający sterowanie lotem w podprzestrzeni, potem zaś odwrócił się do tablicy kontrolnej i spojrzał na Jasona.

- Widzę, że się obudziłeś. To był łagodny gaz. Użyłem go niechętnie, ale tak było najbezpieczniej. Gdy mówił, jego usta otwierały się z bezapelacyjną powagą bankowego sejfów. Głęboko osadzone, lodowato niebieskie oczy spoglądały niewzruszenie spod gęstych, ciemnych brwi. W wyrazie twarzy i wypowiedzianych słowach nie było nawet cienia czegoś, co

sugerowałyby poczucie humoru.

- To nie był zbyt przyjazny gest - rzekł Jason, delikatnie próbując krępujące go więzy. Trzymały mocno. - Gdybym przypuszczał, że ta ważna, osobista wiadomość sprowadza się do porcji obezwładniającego gazu, jeszcze raz przemyślałbym metodę sprowadzenia pańskiego statku do lądowania.

- Kto podstępem wojuje, od podstępu ginie - odparł trzaskającym głosem nieznajomy. - Gdybym mógł pojmać cię w inny sposób, niewątpliwie bym to uczynił. Biorąc jednak pod uwagę twą reputację bezwzględного zabójcy, a także fakt, że masz na Pyrrusie przyjaciół, pochwyliłem cię jedynym możliwym sposobem.

- To bardzo szlachetne z pańskiej strony, bez wątpienia. - To bezkompromisowe przekonanie rozmówcy o własnej słuszności zaczynało wyprowadzać Jasona z równowagi. - Cel uświęca środki i tak dalej, to niezbyt oryginalny argument. Wpakowałem się jednak w tę pułapkę z własnej woli i nie mam zamiaru się uskarżać. - "Nie bardzo", pomyślał z goryczą. Następną *rzeczą*, jaką powinien zrobić, po tym jak obniósłby tego zgreba na kopach, to samemu kopnąć się w tyłek za własną głupotę. - Ale jeżeli nie będzie to nadużywaniem pańskiej uprzejmości, to może zechciałby mi pan powiedzieć, kim pan jest i po co zadał pan sobie tyle trudu, by wejść w posiadanie mej skromnej osoby.

- Jestem Mikah Samon. Wiozę cię z powrotem na Cassylię, abyś stanął tam przed sądem i otrzymał wyrok.

- Cassyilia... Miałem wrażenie, że znaki rozpoznawcze tego statku są mi znane. Sądzę, iż nie powinienem być zaskoczony słysząc, że wciąż są zainteresowani sprawą odnalezienia mnie. Powinien pan jednak wiedzieć, że z tych trzech miliardów i siedemnastu milionów kredytek, które wygrałem w waszym kasynie, pozostało już bardzo niewiele.

- Cassyilia wcale nie chce zwrotu tych pieniędzy - oznajmił Mikah włączając autopilota i obracając się w fotelu. - Nie chce również ciebie, jesteś bowiem ich narodowym bohaterem. Kiedy umknąłeś ze swym nieuczciwie zdobytym łupem, uzmysłowili sobie, że nigdy już nie zobaczą tych pieniędzy. Uruchomili więc swą maszynkę propagandową i jesteś teraz znany we wszystkich sąsiednich systemach gwiazdnych jako "Trzymiliardowy Jason", żywy dowód uczciwości ich nieuczciwych gier i przynęta dla słabych duchem. Stanowisz pokusę do tego, by grali o pieniądze, nie zaś uczciwie je zapracowali.

- Proszę o wybaczyć, że jestem dziś nieco oziębiały umysłowo - rzekł Jason, potrząsając gwałtownie głową, by odblokować zatkane zatoki. - Mam niejakie trudności ze zrozumieniem pańskiej wypowiedzi. Nie pojmuję, jaką policję pan reprezentuje, skoro aresztuje mnie pan i chce postawić przed sądem na podstawie umorzonych oskarżeń?

- Nie jestem policjantem - oznajmił surowo Mikah, zaciskając mocno swe długie palce. - Jestem człowiekiem, który wierzy w Prawdę - i nic poza tym. Skorumpowani politycy rządzący Cassyilia postawili cię na piedestale. Otaczają czią ciebie, jeszcze bardziej, jeśli to możliwe, od nich skorumpowanego człowieka. Ale za twoim obrazem, który stworzyli, ukrywają jedynie lukrowaną pustkę. Ja jednak mam zamiar ukazać Prawdę i zniszczyć ten obraz, a gdy to uczynię, zniszczę również zło, które go stworzyło.

- To dość wygórowane plany, jak na jednego człowieka - odparł Jason ze spokojem, którego wcale nie odczuwał. - Ma pan papierosa?

- Oczywiście, że nie. Na pokładzie tego statku nie ma ani tytoniu, ani alkoholu. I wcale nie jestem sam - mam współwynawców. Partia Prawdy jest już liczącą się siłą. Poświęciliśmy wiele czasu i trudu, by cię wytropić, ale nie na próżno. Szliśmy twoimi grzesznymi śladami w przeszłość, na Planetę Mahauta, do kasyna "Mgławica" na Galipto, śladami twych rozlicznych, plugawych występków, które wywołują obrzydzenie u każdego uczciwego człowieka. Mamy nakazy aresztowania wystawione w każdym z tych miejsc, a w niektórych przypadkach nawet akta i wyroki śmierci na ciebie.

- Przypuszczam, że nie obraża pańskiego poczucia praworządności fakt, iż procesy te były toczone zaocznie? - zapytał Jason. - Albo to, że wyłącznie oskubywałem szulerów i kasyna - tych, którzy żyli z oskubywania naiwnych?

Mikah Samon rozwiązał te zastrzeżenia jednym ruchem ręki.

- Zostały ci udowodnione liczne przestępstwa. Żadne wykręty nie zmieniają tego faktu. Powinieneś być wdzięczny, że twoja obrzydliwa kariera w rezultacie posłuży dobrej sprawie. Będzie to dźwignia, dzięki której obalimy przekupny rząd Cassylii.

- Muszę coś zrobić z tą moją przeklętą ciekawością - oznajmił Jason. - Proszę spojrzeć! - Szarpnął

uwięzionymi przegubami i uruchomione impulsem czujników serwomotory zawyły przez chwilę, zaciskając pęta na nadgarstkach i jeszcze bardziej ograniczając swobodę ruchów. - Niedawno cieszyłem się zdrowiem i wolnością, aż tu nagle wezwał mnie pan, bym porozmawiał z nim przez radio. Wtedy, zamiast pozwolić panu rąbnąć w stok wzgórze, sprowadziłem statek do lądowania i nie zdołałem opanować chętki wpakowania swego głupiego łba do pułapki. Muszę się nauczyć przewycięzać te odruchy.

- Jeżeli miałeś zamiar w ten sposób błagać o łaskę, to było to obrzydliwe - rzekł Mikah. - Nigdy nie jestem stronnicy ani też nigdy nic nie zawdzięczałem ludziom twego pokroju.

- Nigdy i zawsze, to cholernie długi czas - odparł bardzo spokojnie Jason. - Chciałbym podzielać pańskie niezachwiane przekonanie co do właściwego porządku *rzeczy*.

- Twoja uwaga pozwala przypuszczać, że jest jeszcze dla ciebie cień nadziei. Może będziesz zdolny poznać Prawdę, zanim umrzesz. Pomogę ci, przemówię do ciebie i wyjaśnię.

- Lepszy już szafot - oznajmił Jason zduszonym głosem.

Rozdział 2

- Ma mnie pan zamiar karmić, czy uwolni mi pan ręce, żebym mógł zjeść? - zapytał Jason. Mikah stał nad nim z tacą nie mogąc się zdecydować. Jason podpuszczał go, bardzo ostrożnie, bo jeżeli cokolwiek można było zarzucić Mikahowi, to na pewno nie głupotę.

- Oczywiście, wolałbym, żeby mnie pan karmił, byłby z pana wspaniały służący.

- Sam możesz się obsłużyć - odparł natychmiast Mikah, wsuwając tacę w szczeliny fotela Jasona.

- Ale musi ci wystarczyć jedna ręka, bo gdybym cię uwolnił, mógłbyś narobić kłopotów. -

Dotknął przycisku na oparciu fotela i opaska na prawym przegubie odskoczyła. Jason rozprostował ściernięte palce i ujął widelec.

W czasie gdy jadł, jego wzrok nie spoczywał nawet na chwilę. Nie rzucało się to w oczy, ponieważ zainteresowanie *gracza* nigdy nie jest wyraźnie widoczne, ale można wiele dostrzec, jeżeli ma się oczy otwarte, uwagę zaś skierowaną pozornie gdzie indziej - nieoczekiwany widok czyichś kart, mała zmiana wyrazu twarzy, wszystko to może zdradzić, jak silny jest partner. Pozornie błędzące bez celu spojrzenie Jasona rejestrowało, szczególnie po szczególe, wyposażenie kabiny. Pulpit sterowniczy, ekrany, komputer, ekran nawigacyjny, sterowanie lotem w podprzestrzeni, schowek na mapy, półka z książkami. Wszystko zostało dostrzeżone i zapamiętane. Niektóre z tych przedmiotów mogły przydać się w jego planach.

Jak na razie miał zaledwie początek i koniec pomysłu. Początek - jest uwięziony na statku i wiozą go na Cassylię. Koniec - nie będzie już więźniem i nie powróci na Cassylię. Brakowało mu tylko dość istotnego środka. Zakończenie nie zdawało się być chwilowo poza zasięgiem jego możliwości, ale Jason nigdy nie przyjmował do wiadomości, że coś może mu się nie udać. Postępował zawsze zgodnie z zasadą, że człowiek sam jest twórcą swego losu. Jeżeli działał wystarczająco szybko - miał szczęście. Jeżeli zastanawiał się nad możliwościami i przegapił okazję - miał pecha.

Odsunął pusty talerz i zamieszał cukier w filiżance. Mikah jadł niewiele, ale zaczynał już drugą porcję herbaty. Pijąc, patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Drgnął lekko, gdy Jason odezwał się do niego:

- Skoro nie ma pan papierosów w swoich zapasach, to może pan pozwoli, że zapalę mojego własnego? Musi pan wyciągnąć je z mojej kieszeni, bo tak jestem przykuty do fotela, za sam nie jestem w stanie do niej sięgnąć.

- Nie mogę nic dla ciebie zrobić - odparł Mikah nie ruszając się z miejsca. - Tytoń jest środkiem podrażniającym, rakotwórczym, narkotykiem. Gdybym dał ci papierosa, to tak, jakbym wpędzał

cię w chorobę.

- Nie bądź pan hipokrytą! - warknął Jason, czując wewnętrzne zadowolenie na widok rumieńca pokrywającego twarz Mikaha. - Przecież elementy rako-twórcze usunięto z nich wieki temu. A nawet gdyby tak było, to co za różnica? Wiezie mnie pan na Cassylię po pewną śmierć. Po cóż więc troszczyć się o przyszły stan moich płuc?

- Nie rozpatrywałem tego pod tym kątem. Po prostu są pewne prawa w życiu...

- Doprawdy? - przerwał mu Jason przejmując inicjatywę. - Nie ma ich tak znów wiele, jak pan przypuszcza. I wy wszyscy, którzy zawsze marzycie o takich prawach, nigdy nie zastanawiacie się nad tym problemem wystarczająco długo. Jest pan przeciwko narkotykom. Którym narkotykom? A co z teiną w herbacie, którą pan pije? Albo z kofeiną? Pełno w niej kofeiny - specyfiku, który jest zarówno silnym środkiem podniecającym, jak i moczopędnym. Dlatego właśnie nikt nie znajdzie herbaty w zasobnikach z napojami umieszczonych w skafandrach. W tym przypadku zakaz ma istotnie swój sens. Czy może pan równie dobrze usprawiedliwić swój *zakaz* palenia papierosów?

Mikah chciał się odezwać, ale zamiast tego pomyślał przez chwilę. - Być może masz rację. Jestem zmęczony i w końcu to nieważne. - Ostrożnie wyjął papierośnicę z kieszeni Jasona i położył ją na tacy. Jason nie próbował nic zrobić. Mikah z nieco przepaszającą miną nalał sobie trzecią filiżankę.

- Musisz mi wybaczyć, Jasonie, że próbowałem cię przekształcić zgodnie ze swymi przekonaniem. Kiedy dąży się do wielkiej Prawdy, mniejsze Prawdy czasami umykają naszej uwadze. Nie jestem nietolerancyjny, ale mam skłonność do wymagania od innych ludzi, by żyli według pewnych zasad, które ustanowiłem sam dla siebie. Pokora jest cechą, o której nigdy nie powinniśmy zapomnieć i dziękuję ci, że mi o tym przypomniałeś. Poszukiwanie Prawdy jest trudne.

- Nie ma czegoś takiego jak Prawda - odparł Jason. Złość i obraźliwy ton zniknęły z jego głosu, chciał bowiem wciągnąć swego strażnika do rozmowy. Wciągnąć do tego stopnia, by na chwilę zapomniał o jego wolnej ręce. Uniósł filiżankę do ust i dotknął wargami herbaty, nie pijąc jednak nawet łyka. Na wpół opróżniona filiżanka była wspaniałą wymówką dla swobodnej ręki.

- Nie ma Prawdy? - Mikah zagłębił się w myślach.

- Chyba nie mówisz tego poważnie. Cała galaktyka jest wypełniona Prawdą, to kryterium samego Życia. To coś, co odróżnia Ludzkość od zwierząt.

- Nie ma czegoś takiego jak Prawda, Życie czy Ludzkość. W każdym razie wartości te nie istnieją w takim sensie, jaki stara się pan im nadać.

Skórę na czole Mikaha pobruździły zmarszczki.

- Może mi to wyjaśnisz - powiedział. Wyrażasz się niejasno.

- To pan się wyraża niejasno. Tworzy nie istniejące byty. Prawda - przez małe p - jest określeniem, wyrażeniem stosunku. Sposobem określenia stanu, narzędziem semantycznym. Natomiast prawda przez duże P jest wymaginowanym słowem, dźwiękiem bez znaczenia. Udaje rzeczownik, ale nie ma desygnatu. Niczego nie przedstawia i nic nie znaczy. Kiedy mówi pan "Wierzę w Prawdę" w rzeczywistości znaczy to "Wierzę w nic".

- Jesteś w straszliwym błędzie! - rzekł Mikah, pochylając się do przodu z wyciągniętym palcem wskazującym. - Prawda jest abstrakcją filozoficzną, jednym z instrumentów, którymi posłużył się nasz umysł, by wydobyć się ponad zwierzęta, jest dowodem, że nie jesteśmy zwierzętami, lecz wyższym gatunkiem stworzenia. Zwierzęta mogą być prawdziwe - ale nie znają Prawdy.

Zwierzęta mogą widzieć, ale nie widzą Piękna.

- Wrrr! - warknął Jason. - Nie sposób z panem rozmawiać, a jeszcze trudniej cieszyć się wymianą jakichś zrozumiałych myśli. Nawet nie mówimy tym samym językiem. Gdybyśmy zapomnieli o tym, kto ma rację, a kto jest w błędzie, moglibyśmy powrócić do podstaw i przynajmniej uzgodnić znaczenie słów, którymi się posługujemy. Na początek - czy może pan zdefiniować różnicę pomiędzy etyką a etosem?

- Oczywiście. - Oczy Mikaha rozświetlił błysk rozkoszy na samą myśl o czekającym go dzieleniu włosa na czworo. - Etyka jest dyscypliną naukową, która rozważa, co jest dobre, a co złe, co słuszne, a co niesłuszne. To także moralne obowiązki i powinności. Etos - to przewodnie idee,

wierzenia lub standardy, które charakteryzują grupę lub społeczność.

- Bardzo dobrze. Widzę, że spędzał pan tu długie noce siedząc z nosem w książkach. A teraz upewnijmy się, że różnica pomiędzy tymi dwiema definicjami jest bardzo precyzyjnie przeprowadzona, stanowi to bowiem sedno naszego małego problemu. Etos jest nierozzerwalnie związany z konkretnym społeczeństwem i nie może być rozpatrywany w oderwaniu od niego, gdyż w przeciwnym razie traci swe znaczenie. *Zgadza się?*

- Cóż...

- No, no - musi pan uznać człony swojej własnej definicji. Etos grupy jest po prostu wszechogarniającym określeniem sposobu tworzenia więzi międzygru-powych. Tak? Mikah niechętnie przytaknął skinieniem głowy. - Skoro doszliśmy w tym punkcie do porozumienia, możemy zrobić następny krok. Z kolei etyka, zgodnie z pańską definicją, musi dotyczyć dowolnej liczby społeczeństw lub grup społecznych. Jeżeli istnieją jakieś absolutne prawa etyki, muszą być tak szerokie, by mogły mieć zastosowanie w stosunku do każdego społeczeństwa. Prawo etyki musi być równie uniwersalne jak prawo grawitacji.

- Nie bardzo chwytam...

- Nie przypuszczałem, że zrozumie pan te sprawy. Wszyscy, którzy gędzą wciąż o waszych Uniwersalnych Prawach, nigdy, na dobrą sprawę, nie zastanawiają się nad właściwym znaczeniem słów. Moje wiadomości z historii nauki są dość mgliste, ale jestem gotów się założyć, że pierwsze prawo grawitacji jakie wymyślono, głosiło, że przedmioty spadają z taką to a taką prędkością i przyspieszają w taki to a taki sposób. To nie prawo, ale zwyczajna obserwacja, która nawet nie jest kompletna, dopóki nie dodamy: "na tej planecie". Na planecie mającej inną masę, uzyskalibyśmy inne obserwacje. Prawo grawitacji natomiast zawiera się we wzorze:

F =

$\frac{mM}{d^2}$

d²

który można zastosować do obliczania siły przyciągania pomiędzy dwoma ciałami w dowolnym miejscu

przestrzeni. To właśnie jest sposób wyrażania fundamentalnych i niezmiennych zasad, które można stosować w dowolnych sytuacjach. Jeżeli ktoś chce dysponować prawdziwymi prawami etycznymi, muszą one mieć równie uniwersalny charakter. Muszą one działać zarówno na Cassylii, jak i na Pyrrusie czy na każdej innej planecie lub w każdym społeczeństwie. I tu wracamy do pana. To co nazywa pan tak dumnie - brakuje jedynie akompaniamentu fanfar - Prawami Etyki, to wcale nie są prawa, ale po prostu małe strzępki plemiennych etosów, tubylczych obserwacji poczynionych przez bandę pasterzy owiec w celu zaprowadzenia porządku w swym własnym domu albo raczej w namiocie. Prawa te nie mają żadnego powszechnego zastosowania, nawet pan musi to zauważyć. Proszę tylko pomyśleć o rozmaitych planetach, na których pan był, o liczbie przedziwnych i cudownych sposobów, jakimi ludzie reagują na siebie wzajemnie. A potem proszę postarać się wyobrazić sobie dziesięć zasad, które miałyby zastosowanie we wszystkich tych społeczeństwach. Niemożliwa sprawa. Ale mimo to założyłbym się, że ma pan już takich dziesięć zasad, że chciałby pan, bym ich też przestrzegali i że jedna z nich zmarnowana jest na zakaz modlenia się do wyrzeźbionych bożków. Doskonale mogę sobie wyobrazić jak wspaniale uniwersalne jest dziewięć pozostałych! Nie byłby pan istotą etyczną, gdyby próbował pan zastosować je w każdym miejscu, do którego się udaje: po prostu jest to wyszukiwanie szczególnie dziwnego sposobu popełnienia samobójstwa!

- *Zaczynasz mnie obrażać!*

- Mam nadzieję. Jeżeli nie można się dobrać do pana w żaden inny sposób, to może choć obraza zburzy ten stan pańskiego moralnego samozadowolenia. Jak pan śmie myśleć o postawieniu mnie przed sądem za skradzenie pieniędzy z kasyna na Cassylii, skoro to co zrobiłem, odpowiadało ich własnym zasadom etycznym! Prowadzą oszukańcze gry, a więc zgodnie z prawem ich miejscowego etosu oszukiwanie podczas gry jest normą. Gdyby jednocześnie wydali prawo, że oszukiwanie w grze jest nielegalne, to właśnie owo prawo byłoby nieetyczne, nie zaś oszukiwanie. Jeżeli chce mnie pan dostarczyć po to, by mnie osądzono opierając się na takim prawie, sam pan jest człowiekiem nieetycznym, ja zaś jestem bezbronną ofiarą złego człowieka.

- Nasienie Szatana! - wrzasnął Mikah, zrywając się na równe nogi. Zaczął chodzić tam i z powrotem przed Jasonem, z podnieceniem zaciskając i rozwierając dłonie. - Próbujesz zbić mnie z tropu swoją semantyką i tak zwaną etyką, która w *rzeczy* samej jest niczym innym, jak tylko oportunistem i chciwością. Istnieje Wyższe Prawo, które nie podlega dyskusji...

- To sformułowanie jest nie do przyjęcia i mogę to udowodnić. - Jason wskazał książki stojące w bibliotece. - Mogę to udowodnić używając pańskich własnych książek, jednego z tych czytadełek na tej półce. Nie, nie Tomasz z Akwinu - zbyt gruby. O, ten tomik ze słowem "Luli" na grzbiecie. Czy to "Księga Zakonu Rycerskiego" Ramona Lulla?

Mikah wytrzeszczył oczy. - Znasz tę książkę? Znane ci są prace Lulla?

- Oczywiście - oznajmił Jason z bezceremonialną pewnością siebie, której zresztą wcale nie czuł. Była to jedyna książka w tym zbiorze, którą kiedyś czytał. Zapamiętał ją tylko dzięki temu dziwacznemu tytułowi. - Proszę mi ją dać, a wtedy pokażę, o co mi chodzi.

- Widząc jego niezmiennie naturalny sposób bycia, trudno było przypuszczać, że jest to właśnie chwila, do której przez cały czas ostrożnie dążył. Wypił tyk herbaty w najmniejszym stopniu nie zdradzając swojego napięcia.

Mikah Samon zdjął książkę i podał mu ją.

Jason przerzucał kartki, mówiąc bez przerwy.

- Tak..., tak... to doskonale pasuje. Niemal idealny przykład pańskiego sposobu myślenia. Czy lubi pan czytać Lulla?

- Niezwykle inspirujący! - odparł Mikah z błyszczącymi oczyma. - W każdej linijce jest zawarte Piękno i Prawdy, o których zapomnieliśmy w gonitwie współczesnego życia. Jest to dowód istnienia wzajemnych związków pomiędzy Mistycznym a Konkretnym i pojednanie tych pojęć. Dzięki swej absolutnej logice, manewrując symbolami wyjaśnia wszystko.

- Nie udowadnia niczego - oznajmił Jason z naciskiem. - Bawi się tylko słowami. Bierze jakieś słowo, nadaje mu abstrakcyjną i nieprawdziwą wartość, a potem udowadnia tę wartość odnosząc ją do innych słów o równie mgławicowych antecedenjach. Jego fakty wcale nie są faktami, lecz jedynie dźwiękami bez znaczenia. To właśnie jest ów kluczowy punkt, w którym różnią się nasze wszechświaty - pański i mój. Żyje pan w tym świecie nic nie znaczących i nie istniejących faktów. Mój świat zawiera fakty, które można zważyć, wypróbować, udowodnić, odnieść w logiczny sposób do innych faktów. Moje fakty są nie do podważenia i bezdyskusyjne. One istnieją.

- Pokaż mi jeden z tych twoich niepodważalnych faktów - stwierdził Mikah głosem, który był o wiele spokojniejszy od głosu Jasona.

- O, tam - odparł Jason. - Duża, zielona książka nad konsolą komputera. Zawiera fakty, które nawet pan uzna za prawdziwe... Zjem każdą kartę, jeżeli będzie inaczej. Proszę mi ją podać. - Mówił rozniewanym tonem, rzucając zbyt zuchwałe stwierdzenia i Mikah wpadł w zastawioną pułapkę. Podał Jasonowi książkę, trzymając ją oburącz. Była bardzo gruba, oprawna w metal i ciężka.

- Teraz proszę posłuchać uważnie i spróbować to zrozumieć, nawet jeżeli będzie to trudne - powiedział Jason otwierając księgę. Mikah uśmiechnął się kwaśno, słysząc jak *zarzuca*, mu ignorancję. - To tabele efemeryd gwiazdnych, wypełnione faktami jak jajko białkiem i żółtkiem. Na swój sposób jest to historia ludzkości. Proszę teraz spojrzeć na ekran kontroli lotu w podprzestrzeni, a zobaczy pan, o co mi chodzi. Widzi pan poziomą zieloną linię? To nasz kurs.

- Skoro jest to mój statek i ja go pilotuję, to jestem świadom tego faktu - odparł Mikah. - Słucham twoich dowodów.

- Proszę dobrze uważać - ciągnął Jason. - Próbuję to przedstawić w prostej formie. Z kolei czerwona kropka na zielonej linii oznacza pozycję naszego statku. Cyfra powyżej oznacza nasz następny punkt nawigacyjny, miejsce, w którym pole grawitacyjne gwiazdy jest wystarczająco silne, by wykryć je z podprzestrzeni. Jest to oznaczenie kodowe gwiazdy

- BD89-046-229. Zaglądam do książki - szybko przerzucił kartki - i odnajduję jej opis. Nie nazwę. Po prostu szereg zakodowanych symboli, które jednak wiele mogą nam powiedzieć. Ten mały znaczek informuje, że jest tam planeta lub planety, a na nich są warunki, w których żyć

może człowiek. Nie informuje jednak, czy żyją tam ludzi.

- Do czego zmierzasz? - zapytał Mikah.

- Cierpliwości, zaraz pan zobaczy. Spójrzmy teraz na ekran. Zielona kropka, która zbliża się po linii kursowej to PNZ - Punkt Największego Zbliżenia. Kiedy czerwona i zielona kropka nałożą się na siebie...

- Oddaj mi książkę - rozkazał Mikah robiąc krok do przodu. Nagle zorientował się, że coś jest nie tak. Spóźnił się jednak o włos.

- Oto twój dowód - zawołał Jason i cisnął ciężką księgę w delikatne obwody, ukryte za ekranem podprzestrzeni. Zanim doleciała do celu, cisnął następną. Rozległ się brzęczący huk, błysnęły płomienie i *zatrzeszczały* zwarcia w obwodach.

Pokład pochylił się gwałtownie, gdy złącza rozwarły się, przerzucając statek do przestrzeni liniowej.

Mikah mruknął z bólu, wtłoczony w podłogę gwałtownością tego przejścia. Uwięziony w swym fotelu Jason starał się opanować wyprawiający dzikie harce żołądek i ciemność przed oczyma.

Gdy Mikah powoli dźwigał się z podłogi, Jason wycelował starannie i cisnął tacę wraz z talerzami w dymiące zwłoki komputera nawigacji w podprzestrzeni.

- Oto pański fakt - oznajmił z radosnym triumfem w głosie. - Ten niepodważalny, złożony i platynowy fakt! Już nie lecimy na Cassylię!

Rozdział 3

- Zabiłeś nas obu - rzekł Mikah. Jego twarz była ściągnięta i blada, ale mówił całkowicie opanowanym głosem.

- Niezupełnie - odparł radośnie Jason. - Ale załatwiłem sterowanie podprzestrzenne i w związku z tym nie możemy lecieć do innej gwiazdy. Ponieważ jednak nic złego się nie stało zwykłemu napędowi międzyplanetarnemu, możemy wylądować na jednej z tych planet - sam pan widział, że przynajmniej jedna z nich nadaje się do zamieszkania.

- A tam naprawię napęd podprzestrzenny i ruszymy w dalszą drogę na Cassylię. Nic na tym nie zyskałeś.

- Być może - rzekł Jason najbardziej wymijającym tonem, na jaki mógł się zdobyć, nie miał bowiem najmniejszego zamiaru kontynuować tej podróży bez względu na to, co na ten temat myślał Mikah Samon.

Jego strażnik doszedł do tego samego wniosku.

- Połóż rękę na oparciu - rozkazał i ponownie zatrzasnął uchwyt. Zachwiał się na nogach w chwili, gdy silniki się włączyły i statek zmienił kierunek lotu.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Sterowanie awaryjne. Komputer pokładowy wie, że stało się coś poważnego i zaczął działać. Mógłby pan przejść na ręczne sterowanie, ale na razie nie zawracałbym sobie tym głowy. Statek wykorzystując swoje czujniki i zgromadzoną informację da sobie z tym radę lepiej niż którykolwiek z nas. Odnajdzie planetę, której szukamy, wyznaczy kurs i dostarczy nas tam, tracąc jak najmniej paliwa i czasu. Kiedy wejdziemy w atmosferę, będzie pan mógł przejąć stery i wyszukać miejsce do lądowania.

- Nie wierzę w ani jedno twoje słowo - odparł Mikah ponuro. - Przejmę stery i wyślę sygnał na częstotliwości alarmowej. Na pewno ktoś mnie usłyszy.

Gdy tylko zrobił krok do przodu, statek zadygotał i wszystkie światła zgasły. W zapadłych ciemnościach widać było płomienie migoczące za tablicą przyrządową. Rozległ się syk gaśnicy pianowej i ogień zniknął. Zapaliły się mdłe światła awaryjne.

- Nie powinienem był wrzucać tej książki Ramona Lulla - stwierdził Jason. - Była ona równie niestrawna dla statku jak i dla mnie.

- Jesteś pozbawionym szacunku bluźniercą - wycedził Mikah przez zaciśnięte zęby, siadając za sterami. - Chciałeś zabić nas obu. Nie szanujesz ani swego, ani mojego życia. Jesteś człowiekiem zasługującym na najsurowszą karę przewidzianą przez prawo.

- Jestem graczem - roześmiał się Jason - i to nie takim złym, jak pan twierdzi. Ryzykuję, ale tylko wtedy, gdy mam realne szansę. Wiózł mnie pan na pewną śmierć. Najgorsze, co może mnie

spotkać, po tym jak zniszczyłem sterowanie podprzestrzenne, to taki sam los. A więc podjąłem ryzyko. Oczywiście, pan ponosi większe ryzyko, ale obawiam się, że nie wziąłem tego pod uwagę. W końcu, cała ta afera jest pańskim pomysłem. Będzie pan musiał ponieść konsekwencje swoich czynów i trudno mieć o to do mnie pretensje.

- Masz całkowitą rację - odparł spokojnie Mikah. - Powinienem być bardziej czujny. A teraz powiedz mi, co zrobić, by ocalić nas obu. Żaden system sterowania nie działa.

- Żaden? Próbował pan uruchomić sterowanie awaryjne? To ten duży, czerwony przełącznik pod kopułką zabezpieczającą.

- Próbowałem. Również na nic.

Jason osunął się na oparcie fotela. Dopiero po chwili zdołał wydobyć głos. - Poczytaj jedną ze swoich książek, Mikah - oznajmił wreszcie. - Spróbuj poszukać pociechy w swojej filozofii.

Jesteśmy bezsilni. Teraz wszystko zależy od komputera i od tego, co zostało z obwodów.

- Czy możemy pomóc? Czy możemy coś zreperować?

- Znasz się na tym? Bo ja nie. Najprawdopodobniej nabroilibyśmy jeszcze bardziej.

Do planety kuśtykali dwa dni. Jej atmosfera była zasnuła powłoką chmur. Zbliżali się od zacienionej strony i nie mogli dostrzec żadnych szczegółów. Światła również.

- Gdyby były tu jakieś miasta, widzielibyśmy ich światła, nieprawdaż? - zapytał Mikah.

- Niekoniecznie. Może są zakryte chmurami. Może to miasta pod kopułami. Może na tej półkuli jest tylko ocean.

- Albo może nie ma tam wcale ludzi - przerwał mu Mikah. - Nawet jeżeli uda się nam bezpiecznie wylądować, to co z tego? Będziemy tu uwięzieni do końca życia i do końca świata.

- Nie bądź taki radosny - rzekł Jason. - Co byś powiedział o zdjęciu tych obrączek na czas lądowania. Pewnie będzie dość twarde i chciałbym mieć jakieś szansę.

Mikah popatrzył nań, marszcząc brwi. - Czy dasz mi słowo honoru, że nie będziesz próbować ucieczki podczas lądowania?

- Nie. A nawet, gdybym dał i tak byś nie uwierzył. Jeżeli mnie uwolnisz, podejmiesz ryzyko. Niech żaden z nas się nie ludzi, że coś się zmieni.

- Muszę spełnić swój obowiązek - odparł Mikah. Jason pozostał przykuty do fotela.

Weszli w atmosferę i początkowy, delikatny szelest szybko przerodził się w przeraźliwe wycie. Silniki wyłączyły się i zaczęły spadać. Tarcie powietrza rozgrzało zewnętrzne powłoki kadłuba do białości i temperatura wewnątrz szybko wzrastała, mimo że aparatura chłodząca działała pełną mocą.

- Co się dzieje? - zapytał Mikah. - Znasz się na tym lepiej niż ja. Czy... czy się rozbijemy?

- Być może. Są dwie ewentualności. Albo wszystko wysiadło - i w tym przypadku rozsmaruje nas po całej okolicy, albo komputer oszczędza siły do jednej, ostatniej próby. Mam nadzieję, że właśnie o to chodzi. Te dzisiejsze komputery są sprytnie, całe nafaszerowane obwodami decyzyjnymi. Kadłub i silniki są w dobrym stanie, ale systemy sterownicze mamy kiepskie i niepewne. Człowiek w takich okolicznościach postarałby się zejść tak nisko i tak

szybko jak tylko by mógł, a dopiero potem ponownie włączyłby silniki. Potem dałby pełną moc - trzynaście g, albo i więcej, tyle, ile jego zdaniem wytrzymałoby pasażerowie w fotelach. Kadłubowi by się dostało, ale mniejsza o to. Dzięki temu obwody sterowania byłyby wykorzystane krótko i w najprostszy sposób.

- Czy sądzisz, że komputer to właśnie robi? - spytał Mikah.

- Mam nadzieję. Czy masz zamiar rozpiąć mi kajdanki, zanim pójdziesz lulu? To może być kiepskie lądowanie i niewykluczone, że będziemy musieli szybko się stąd wynosić.

Mikah pomyślał chwilę i wyjął pistolet. - Uwolnię cię, ale mam zamiar strzelać, jeżeli spróbujesz wyciąć jakiś numer. Gdy tylko znajdziemy się na dole, znowu cię zamknę.

- Dzięki ci, panie, za twe skromne dary - rzekł Jason. Gdy tylko więzy puściły, zaczął masować przeguby rąk.

Deceleracja wyrznęła w nich, wyciskając im powietrze z płuc, wgniatając ich głęboko w uginające się fotele. Pistolet przyciśnięty do piersi Mikaha był zbyt ciężki, by mógł go unieść. To zresztą nie miało żadnego znaczenia - Jason nie był w stanie ani się podnieść, ani nawet ruszyć.

Tkwiał na granicy świadomości, jego spojrzenie z trudem przebijało się przez czarną i czerwoną

mgłę.

Równie niespodziewanie ciężar zniknął.

Wciąż spadali.

Silniki na rufie zajęczały, przełączniki zaterkotały. Bez skutku. Mężczyźni patrzyli na siebie bez ruchu przez tę niezmierną chwilę, podczas której statek spadał.

Opadając obrócił się i uderzył pod kątem. Dla Jasona koniec nadszedł wszechogarniającą falą grzmotu, wstrząsu i bólu. Gwałtowne szarpnięcie rzuciło go na pasy bezpieczeństwa, zerwał je bezwładną masą swego ciała i przeleciał przez całą długość sterówki. Ostatnią świadomą myślą Jasona było: "osłonić głowę!". Właśnie unosił ramiona, gdy uderzył w ścianę.

Chłód był tak przejmujący, że aż bolesny. Był to chłód, który przeszywa ciało, zanim je obezwładni i zabije.

Jason ocknął się, słysząc swój własny, ochryply krzyk. Zimno wypełniało cały wszechświat. To zimna woda, uzmysłowił sobie, wykrztuszając ją z ust i nosa. Coś go opasywało. Z wysiłkiem rozpoznał, że jest to ramię Mikaha, który płynąc utrzymywał twarz Jasona nad powierzchnią wody. Oddalająca się czarna plama na wodzie mogła być tylko ich statkiem, tonącym przy akompaniamencie bulgotania i zgrzytów. Zimna woda już nie sprawiała bólu i Jason właśnie zaczął się rozluźniać, gdy poczuł pod stopami coś twardego.

- Stań i idź, niech cię... - wyjęczał Mikah ochryplym głosem. - Nie mogę... cię nieść... sam ledwo idę...

Wyczołgali się z wody ramię przy ramieniu, jak dwa czworonożne, pełzające zwierzaki, które nie mogą

stać wyprostowane. Wszystko było jakieś nierealne i Jason z trudem mógł zebrać myśli. Nie powinien się zatrzymywać, był tego pewien, ale co poza tym?

W ciemności zamigotał trzepoczący płomień. Zbliżał się do nich. Jason nie mógł mówić, ale słyszał jak Mikah wzywa pomocy. Światło zbliżało się, było to coś w rodzaju trzymanej wysoko pochodni czy łuczycywa. Gdy płomień był już blisko, Mikah wstał.

To był koszmar. Pochodnię trzymał nie człowiek, ale coś. Coś, kanciastego i straszliwego, z paszczą pełną kłów. Miało przypominający maczugę wyrostek, którym uderzyło Mikaha. Upadł bez słowa, a potwór zwrócił się w stronę Jasona. DinAlt nie miał siły, by walczyć, choć próbował stanąć na nogi. Jego palce drapały zmarznięty piasek, ale nie był w stanie się podnieść. Wreszcie, zmęczony tym ostatnim wysiłkiem, runął na twarz.

Świadomość go opuszczała, ale nie chciał się poddać. Migoczące światło pochodni zbliżyło się, rozległo się szuranie ciężkich stóp po piasku. Nie mógł znieść myśli o tym straszycdle za jego plecami. Ostatkiem sił przekręcił się i opadł na plecy, patrząc na stojącą nad nim bestię, a czarna mgła zmęczenia zasnuwała jego wzrok.

Rozdział 4

Potwór nie zabijał go, ale stał patrząc na niego. Sekundy mijały powoli i Jason, wciąż żyjąc, zmusił się do zastanowienia nad owym niebezpieczeństwem, które wyłoniło się z ciemności.

- *K'e vi staś el?* - zapytała istota i dopiero w tym momencie Jason uzmysłowił sobie, że jest to człowiek. Jakiś zakamarek mózgu zarejestrował pytanie, czuł, że prawie je może zrozumieć, choć nigdy przedtem nie słyszał tego języka. Próbował odpowiedzieć, ale z jego gardła wydobywało się jedynie ochryple gulgotanie.

- *Ven k'n torcoy - r'pidu!*

Z ciemności wyłoniło się więcej światła, a jednocześnie rozległ się tupot biegnących stóp. Gdy pochodnie znalazły się bliżej, Jason mógł dokładniej przyjrzeć się stojącemu nad nim człowiekowi. Bez trudu zrozumiał, dlaczego poprzednio wziął go za jakąś dziką bestię. Jego kończyny były całkowicie owinięte długimi pasami poplamionej skóry, tors zaś i resztę ciała chroniły dachówkowato zachodzące na siebie grube, skórzane płyty pokryte krwistoczerwonymi rysunkami. Głowę zakrywała mu wielka muszla zwijająca się w przedniej

swjej części w spiralny róg, wywiercono w niej również dwa niewielkie otwory na oczy. By ten wystarczająco przerażający efekt był silniejszy, do dolnej krawędzi muszli były przymocowane wielkie, długie na palec kły. Jedyłą w pełni ludzką cechą tej istoty była brudna, zbita broda

wyłaniająca się spod muszli.-Szczegóły były zbyt liczne, by Jason mógł je wszystkie zarejestrować. Tajemnicza postać miała coś dużego przerzuconego przez jedno ramię, jakieś ciemne przedmioty wisiały u jej pasa. Wysunęła w stronę Jasbna ciężką pałkę i trąciła go nią w zębra, on zaś był zbyt słaby, by stawić opór.

Gardłowy rozkaz zatrzymał niosących pochodnie w odległości przynajmniej pięciu metrów od miejsca, w którym leżał Jason. Przez chwilę zastanawiał się leniwie, dlaczego ten pokryty pancerzem człowiek nie polecił im podejść bliżej, przecież światło pochodni ledwie tu sięgało. Na tej planecie wszystko zdawało się być niewytłumaczalne.

Na parę chwil Jason musiał stracić przytomność, gdy bowiem popatrzył znowu, pochodnia tkwiła w piasku przy jego boku, opancerzony zaś facet zdążył już ściągnąć mu jeden but, a teraz mocował się z drugim. DinAlt mógł jedynie poruszyć się słabiutko na znak protestu, ale w żaden sposób nie był w stanie zapobiec kradzieży - z jakiegoś powodu, jego ciało zupełnie nie chciało mu się podporządkować. W równym stopniu musiało zostać zakłócone jego poczucie czasu, gdyż każda sekunda ciągnęła się w nieskończoność, podczas gdy w istocie wydarzenia rozgrywały się w zadziwiającym tempie. Buty zostały już zdjęte, człowiek zaś mocował się z ubraniem Jasona, co chwila przerywając

to zajęcie, by spojrzeć na szereg ludzi trzymających pochodnie.

Magnetyczne szwy były czymś, czego ta dziwna istota nie знаła. Gdy próbowała je otworzyć albo rozerwać wytrzymały, metalizowany materiał, ostre kły naszyte na skórze jej rękawic wpijały się w ciało Jasona. Napastnik pomrukiwał już z niecierpliwości, gdy nagle przypadkowo dotknął guzika zwalniającego mocowanie medpakietu, a mechanizm posłusznie wpadł do jego dłoni.

Wydawało się, że błyszcząca zabawka podoba mu się, ale kiedy jedna z igieł przebiła grube rękawice i ukłuła go, wrzasnął z wściekłością, cisnął medpakietem o ziemię i rozdeptał go dokładnie. Utrata tak ważnego, niezastąpionego przedmiotu zmusiła Jasona do działania - usiadł i próbował dosięgnąć medpakietu, ale nagle opuściła go świadomość.

Niedługo przed świtem ból głowy przywrócił mu przytomność. Był owinięty w jakieś śmierdzące skóry, które chroniły jego ciało przed utratą tej niewielkiej ilości ciepła, jakie w nim pozostało. Odsunął duszące go fałdy, które przykrywały mu twarz i popatrzył na gwiazdy, zimne punkciki światła migoczące w mroźnej nocy. Powietrze działało orzeźwiająco, więc wdychał je głębokimi haustami, które paliły w gardle, ale zdawały się oczyszczać umysł. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że jego poprzednie oszołomienie było rezultatem uderzenia w głowę podczas katastrofy statku. Pod palcami czuł na czaszce poprzednią niemożność poruszania się i spójnego myślenia. Zimne powietrze szczypało go w twarz i chętnie naciągnął na głowę włochatą skórę.

Zastanawiał się, jakie były losy Mikaha Samona po tym, jak miejscowy bandzior w koszmarnym ubranku zdzielił go pałą. Był to niesympatyczny i trudny do przewidzenia koniec dla kogoś, kto zdołał przeżyć rozbicie się statku. Jason nie pałał szczególną miłością do tego niedożywnego fanatyka, ale bądź co bądź zawdzięczał mu życie. Mikah ocalał go po to tylko, by zginąć z ręki mordercy.

Jason zanotował sobie w pamięci, że musi zabić tego człowieka natychmiast, gdy tylko będzie do tego zdolny, choć jednocześnie z niejakim zdziwieniem zauważył pojawienie się w jego psychice owej afirmacji krwawego zadośćuczynienia - życie za życie. Najwidoczniej jego długi pobyt na Pyrrusie przytłumił cechującą go zawsze niechęć do zabijania, chyba że w samoobronie. Zresztą to, czego do tej pory był świadkiem, wskazywało, że pyrrusańskie przeszkolenie będzie tu niezwykle przydatne. Niebo widziane przez dziurę w skórze zaczynało szarzeć i Jason odsunął swe okrycie, by spojrzeć na poranek.

Mikah Samon leżał tuż obok niego. Jego głowa sterczała spod przykrywających go futer. Włosy miał posklejane zaschniętą, ciemną krwią, ale wciąż jeszcze oddychał.

- Trudniej go zabić niż przypuszczałem - mruknął Jason unosząc się na łokciu i spoglądając na ów świat, na który rzuciło go sprowokowane przezeń rozbicie statku.

Była to ponura pustynia, na której leżały skulone

ciała. Wyglądała jak pobojowisko po jakiejś bitwie na końcu świata. Kilka istot wstawało powoli, otulając się w swoje skóry i był to jedyny znak życia na tej niezmiernie przestronnej pokrytej

piaskiem. Z jednej strony łańcuch wydm zasłaniał morze, ale wciąż dobiegał go głuchy łoskot fal rozbijających się na brzegu. Biały szron pokrywał ziemię, a zimny wiatr wyciskał łzy z oczu. Na szczycie jednej z wydm pojawiła się nagle dobrze zapisana w pamięci postać; opancerzony człowiek zwijał coś, co przypominało kawałki sznura. Do uszu Jasona dobiegło urwane nagle, metaliczne dzwonięcie. Mikah Samon jęknął i poruszył się.

- Jak się mamy? - zapytał Jason. - To najpiękniejsze przekrwione oczęta, jakie kiedykolwiek widziałem.

- Gdzie ja jestem...?

- Cóż za błyskotliwe i oryginalne pytanie! Nie sądziłem, że jesteś facetem, który ogląda historyczne przygodówki kosmiczne w TV. Nie mam zielonego pojęcia, gdzie jesteśmy, ale mogę zrobić krótkie streszczenie tego, jak się tu znaleźliśmy, jeżeli masz na to ochotę.

- Pamiętam, że dopłynęliśmy do brzegu, potem z ciemności wyłoniło się coś strasznego, jak demon z otchłani piekielnej. Walczyliśmy...

- On zaś wyrzucił cię w głowę - jeden szybki cios i to właśnie, prawdę mówiąc, była ta cała walka. Mogłem się lepiej przyjrzeć twojemu demonowi, choć wcale się nie nadawałem do walki bardziej niż ty. To człowiek, tyle że ubrany w dziwaczny strój rodem z koszmaru épuna. Mam wrażenie, że jest on szefem tej grupy obozowiczów. Na dobrą sprawę nie bardzo wiem, co się tu dzieje - poza tym, że ukradł mi buty i mam zamiar mu je odebrać, choćbym go miał przy okazji zabić.

- Nie požądaj przedmiotów doczesnych - oznajmił Mikah uroczyście. - I nie mów o zabijaniu człowieka dla zysku. Jesteś złym człowiekiem Jasonie i... Mikah odrzucił przykrywające go skóry i dokonał zadziwiającego odkrycia. - Moje buty zniknęły! I ubranie... O, Belial! - ryknął. - Asmodeusz, Abaddon, Apollion i Baal-zebul!

- Bardzo pięknie - oznajmił Jason z podziwem. - Widać, że pilnie studiowałeś demonologię. Czy wyliczałeś je, czy wzywałeś na pomoc?

- Zamilcz, bluźnierco! Zostałem obrabowany! - zerwał się na równe nogi. Wiatr, który owiewał jego niemal nagie ciało, szybko nadał skórze Mikaha delikatny, sinawy odcień. - Odnajdę kreaturę, która to uczyniła i zmuszę do oddania tego, co moje.

Odwrócił się, by odejść, ale Jason uchwycił go za kostkę, szarpnął i z głuchym łomotem przewrócił na piasek. Upadek oszołomił Mikaha i Jason bez problemów otulił skórą jego kościste ciało.

- Jesteśmy kwita - oznajmił. - Minionej nocy ocaliłeś mi życie, a teraz ja ocaliłem twoje. Jesteś nieuzbrojony i ranny, podczas gdy ten staruszek, tam na górze, to chodząca zbrojownia, a dla każdego, kto odznacza się osobowością skłaniającą do noszenia takiej odzieży, zabić cię będzie znaczyło tyle, co splunąć. Uspokój się i staraj się unikać kłopotów. Na pewno jest sposób, by wydostać się z tej afery, zresztą z każdej afery można się wydostać, wystarczy dobrze poszukać jakiegoś sposobu - i mam zamiar ten sposób odnaleźć. W rzeczy samej powinienem się przespacerować i rozpocząć moje badania. Zgoda? Odpowiedział mu tylko jęk. Mikah znów był nieprzytomny, z rany na głowie sączyła się świeża krew. Jason wstał, owinął się skórą i pozawiazywał luźne końce. To go trochę chroniło przed wiatrem. Następnie grzebał nogą w piasku tak długo, aż odnalazł odpowiedni kamień. Był gładki, o rozmiarach takich, że całkowicie dał się zacisnąć w pięści i tylko koniec lekko wystawał na zewnątrz. Tak uzbrojony zaczął skradać się wśród śpiących postaci.

Gdy wrócił, Mikah ponownie odzyskał przytomność, słońce zaś znajdowało się już dość wysoko ponad horyzontem. Obudziła się również cała reszta tego iskającego się stada, liczącego około trzydziestu mężczyzn, kobiet i dzieci. Wszyscy byli tak samo brudni i tak samo opatuleni w prymitywne, skórzane oponcze. Albo włóczyli się bez celu wokoło, albo siedzieli na ziemi, tępo wpatrzni w piasek. Nie okazywali najmniejszego zainteresowania dwoma obcymi. Jason podał Mikahowi skózaną czarkę i kucnął tuż przy nim.

- Wypij. To woda, chyba jedyny płyn, jaki tu piją. Nie znalazłem nic do jedzenia. - Wciąż trzymał w dłoni kamień. Mówiąc, wycierał go piaskiem - szpiczasty koniec był wilgotny i czerwony, przylepiło się doń kilka długich włosów.

- Rozejrzałem się nieco i wszędzie wygląda to tak samo. Po prostu banda stłamszonych typów z

tobołkami owiniętymi w skóry. Paru z nich ma skórzane bukłaki na wodę. Jedyna reguła, jaką się kierują, to "ja

silniejszy". Użyłem więc siły i możemy się napić. Następny problem, to żarcie.

- Kim oni są? Co robią? - wybełkotał Mikah, który najwyraźniej ciągle odczuwał skutki uderzenia. Jason popatrzył na jego rozwaloną głowę i postanowił jej nie dotykać. Rana krwawiła obficie, a teraz zaczęła już przysychać. Jeżeli ją obmyje tą nader podejrzaną wodą, zdziała niewiele, ale za to może wywołać zakażenie.

- Tylko jednego jestem pewien - powiedział Jason. - Są niewolnikami. Nie wiem, co tu robią, dlaczego są tutaj albo dokąd idą, ale ich pozycja społeczna i nasza również jest boleśnie jasna. Ten Stary Zgred na wzgórzu jest naszym panem. No, a my wszyscy - jego niewolnikami.

- Niewolnikami! - krzyknął Mikah, gdy znaczenie tego słowa przebiło się przez ból głowy. - To obrzydliwe. Niewolnicy muszą zostać uwolnieni.

- Tylko bez kazań, bardzo proszę i postaraj się myśleć realnie -nawet jeżeli to boli. Jedyni niewolnicy, których należy uwolnić, to my dwaj - ty i ja. Pozostali sprawiają wrażenie "wspaniale przystosowanych do sytuacji i nie widzę przesłanek do zmiany stanu rzeczy. Nie mam zamiaru rozpoczynać żadnej wojny o zniesienie niewolnictwa dopóty, dopóki nie znajdę sposobu na wydobycie się z tego bigosu i najprawdopodobniej nigdy jej nie zacznę. Ten światek doskonale dawał sobie radę beze mnie i najprawdopodobniej będzie toczył się dalej po moim odjeździe.

- Tchórze! Musisz walczyć o Prawdę, a Prawda cię wyzwoli!

- Znowu słyszę te mocne akcenty - jęknął Jason. - Jedyne, co w chwili obecnej może mnie wyzwolić, to ja sam. Może nie najlepszy aforyzm, ale jednak to prawda. Sytuacja tu jest trudna, ale nie beznadziejna, więc słuchaj i ucz się. Władca - zdaje się, że nazywa się Ch'aka - wybrał się na jakieś polowanie. Nie odszedł daleko i wkrótce wróci, dlatego spróbuję przedstawić ci wszystko jak najszybciej. Zdawało mi się, że rozpoznałem ten język i miałem rację. To zniekształcona forma esperanta -języka, którym posługują się wszystkie światy Terido. Ten zniekształcony język oraz życie na poziomie niewiele wyższym od jaskiniowców, świadczą o tym, że ludzie ci pozbawieni są jakichkolwiek kontaktów z resztą galaktyki, choć ludzie się nadziejają, że nie mam racji. Może jest gdzieś na tej planecie jakaś faktoria handlowa i jeżeli tak będzie, prędzej czy później ją znajdziemy. W chwili obecnej mamy dość innych zmartwień, ale w każdym razie możemy mówić ich językiem. Wprawdzie wiele dźwięków uległo ściągnięciu, niektóre w ogóle zanikły i nawet lichy wie po co wprowadzili tu krtaniową głoskę zwartą - coś, co w żadnym języku nie jest potrzebne, przy pewnych staraniach można się z tymi ludźmi porozumieć.

- Nie znam esperanta.

- No to się naucz. Jest dość łatwe, nawet w tej barbarzyńskiej postaci. A teraz siedź cicho i słuchaj. Te istoty urodziły się i dorastały jako niewolnicy. Wiedzą tylko to i nic poza tym.

Istnieją pomiędzy nimi pewne tarcia i gdy Ch'aka nie patrzy, silniejsi spychają robotę na słabszych. Naszym największym problemem jest Ch'aka i musimy się wiele dowiedzieć, zanim spróbuje-

my się z nim uporać. Jest władcą, obrońcą, ojcem, karmicielem oraz przeznaczeniem wszystkich tutaj i sprawia wrażenie faceta, który zna się na rzeczy. Spróbuj więc być przez jakiś czas dobrym niewolnikiem.

- Ja! Niewolnikiem? - Mikah usiłował się podnieść. Jason popchnął go z powrotem na ziemię - nieco mocniej, niż było to potrzebne.

- Tak, ty... i ja również. W obecnej sytuacji to jedyny sposób, by przeżyć. Rób to co wszyscy - słuchaj rozkazów, a będziesz miał zupełnie niezłą szansę pozostać przy życiu dopóty, dopóki nie uda się nam z tego wygrzebać.

Odpowiedź Mikaha utonęła w dobiegającym z wydm ryku. Ch'aka powrócił. Niewolnicy szybko zerwali się na nogi chwytając swe tobołki i zaczęli się ustawiać w pojedynczą, luźną tyralierę. Jason pomógł Mikahowi wstać i podtrzymał go, kiedy potykając się brnęli na swoje miejsce w

szyku. Gdy wszyscy byli gotowi, Ch'aka kopnął najbliższego i niewolnicy wolnym krokiem ruszyli przed siebie, wpatrując się uważnie w piasek pod nogami. Jason nie pojmował o co tu chodzi, ale dopóki nikt nie niepokoił ani jego, ani Mikaha, było to bez znaczenia - miał i tak dużo roboty z podtrzymywaniem rannego. Mikah na szczęście wykrzesał z siebie wystarczająco dużo sił, by chociaż poruszać nogami.

Jeden z niewolników wskazał coś na ziemi i krzyknął. Tyraliera się zatrzymała. Wszystko działało się zbyt detleko od Jasona, by mógł wiedzieć, co jest przyczyną tego podniecenia, ale dostrzegł, że człowiek ten pochylał się i wydłubał dziurkę kawałkiem zaostrzonego drewna. W ciągu kilku sekund wykopał coś okrągłego, niewiele mniejszego od dłoni. Uniósł zdobycz nad głową i kurcgalopkiem zaniósł ją do Ch'aki. Pan i władca odebrał tę rzecz i odgryzł kawałek, kiedy zaś niewolnik, który ją znalazł, odwrócił, się wymierzył mu solidnego kopniaka. Tyraliera znowu ruszyła naprzód.

Znaleziono jeszcze dwa tajemnicze przedmioty i Ch'aka zjadł je. Dopiero, po zaspokojeniu swojego głodu, zaczął myśleć o swoich obowiązkach karmicie-la. Gdy dokonano następnego znaleziska, przywołał niewolnika i wrzucił tę rzecz do prymitywnie plecionego koszyka na jego plecach. Od tej chwili człowiek ten szedł tuż przed Ch'aką, który pilnował, by wszystko, co zostało wykopane, trafiało do koszyka. Jason zastanawiał się, co to takiego. Wiedział już, że to coś jadalnego, a wściekłe burczenie w brzuchu przypominało mu o niezaspokojonym głodzie. Niewolnik, który szedł obok Jasona, nagle krzyknął i wskazał na piasek. Gdy wszyscy stanęli, Jason posadził Mikaha i z zaciekawieniem patrzył, jak dzikus zaatakował piach swym kawałkiem drewna, rozdlubując ziemię wokół sterczących z niej maleńkich, zielonych pędów; W rezultacie wykopał coś szarego i pomarszczonego, jakiś korzeń czy bulwę z zielonymi liśćmi. Jasonowi wydawało się to równie jadalne jak kamień, ale niewolnik najwyraźniej był innego zdania. Głośno przełknął ślinę i w swej zuchwałości odważył się nawet powąchać ów korzeń. Ch'aka widząc to gniewnie ryknął i gdy niewolnik wrzucił korzeń do kosza, zafundował mu takiego kopa, że nieszczęśnik ledwo dokuśtykał na swoje miejsce.

Wkrótce potem Ch'aka krzyknął, by wszyscy się zatrzymali i cała grupa oberwańców skupiła się wokół niego. Grzebał w koszyku i wzywał ich pojedynczo, a następnie posługując się jakimś własnym systemem ocen, dawał każdemu jeden lub więcej korzeni. Koszyk w był już prawie pusty, gdy wskazał pałką Jasona.

- *K'e nam h'vas vi?* - zapytał.

- *Mia mono estas Jason, mia amiko estas Mikah.*

Jason odpowiedział w poprawnym esperanto, które Ch'aka wydawał się rozumieć bez specjalnego trudu, mruknął bowiem i przez chwilę grzebał w koszyku. Jego zamaskowana twarz była obrócona w stronę Jasona, który czuł nieomal wwiercające się w niego spojrzenie. Pałka znowu skierowała się w jego stronę.

- Skąd jesteście? To wasz statek palił się, zatonął?

- To był nasz statek. Jesteśmy z daleka.

- Z drugiej strony oceanu? - Była to zapewne największa odległość, jaką Ch'aka mógł sobie wyobrazić.

- Tak jest, z drugiej strony oceanu. - Jason nie był w nastroju do dawania lekcji astronomii. - Kiedy dostaniemy jeść?

- Ty bogaty człowiek w twoim kraju. Ty miałeś statek, miałeś buty. Teraz ja mam twoje buty. Ty jesteś tu niewolnik. Mój niewolnik. Wy dwaj moi niewolnicy.

- Dobrze, dobrze - odparł z rezygnacją Jason. - Jestem twoim niewolnikiem. Ale nawet niewolnicy muszą coś jeść. Gdzie jest jedzenie?

Ch'aka pogmerał w koszu i wreszcie wyciągnął maleńki, pomarszczony korzonek. Przełamał go na pół i cisnął Jasonowi pod nogi.

- Pracuj pilnie, dostaniesz więcej.

Jason podniósł kawałki z ziemi i oczyścił je z pias-

ku, jak mógł najlepiej. Podał jedną część Mikahowi i ostrożnie nadgryzł drugą. Piasek zazgrzytał mu w zębach, a korzeń smakował jak lekko zjelczały wosk. Jedzenie tego

obrzydlistwa przychodziło mu z dużym wysiłkiem, ostatecznie jednak udało mu się. Niewątpliwie było to jakieś pożywienie, mniejsza o to do jakiego stopnia niestrawne. Musiało mu wystarczyć dopóki nie znajdzie czegoś lepszego.

- O czym rozmawialiście - spytał Mikah, przeżuując ze zgrzytem swą porcję.

- Po prostu wymieniliśmy kłamstwa. On myśli, że jesteśmy jego niewolnikami, ja zaś się z nim zgodziłem. Ale to tylko chwilowe! - dodał szybko, widząc jak Mikah z pociemniałą z gniewu twarzą zaczyna podnosić się z ziemi i silnie pociągnął go w dół.

- To obca planeta, jesteś ranny, nie mamy ani krzty żywności, ani zielonego pojęcia jak tu można przetrwać. Jedyne, co możemy zrobić, by utrzymać się przy życiu, 19 zrobić to, co nam ten Stary Brzydał rozkaże. Jeżeli ma ochotę nazywać nas niewolnikami - dobra, możemy nimi być.

- Lepiej umrzeć, niż żyć w łańcuchach.

- Daj spokój tym bzdurom! Lepiej żyć w łańcuchach i zorientować się, jak można się ich pozbyć. W ten sposób wyjdiesz z tego żywy i wolny, a nie martwy i wolny. To pierwsze rozwiązanie jest chyba o wiele sympatyczniejsze. A teraz zamknij się i jedz. Nie możemy nic zrobić, dopóki nie wykaraskasz się z tej kategorii chodzącego rannego.

Przez całą resztę dnia tyraliera piechurów brnęła po piasku i Jason, poza pomaganiem Mikahowi, znalazł dwa *krenoj* - jadalne korzenie. Zatrzymali się przed zmierzchem i z ulgą opadli na piasek. Podczas rozdziału żywności otrzymali nieco większe porcje, być może w nagrodę za przykłądną pracę Jasona.

Następnego ranka nastąpiła przerwa w ich monotonnym marszu. Poszukiwanie żywności odbywało się równoległe do linii wybrzeża niewidocznego oceanu, a jeden z niewolników zawsze szedł po grani wydm, które zakrywały przed nimi wodę. W pewnym momencie musiał zobaczyć coś ważnego, zeskoczył bowiem z pagórka i zaczął dziko wymachiwać rękami. Ch'aka podbiegł do wydmy, porozmawiał przez chwilę z wywiadowcą i wreszcie przepędził go kopniakiem.

Jason z zaciekawieniem się przyglądał, jak Ch'aka rozwinął niesiony na plecach pokaźny tobołek i wyjął z niego solidnie wyglądającą kuszę, napinaną za pomocą specjalnej korby. Ta skomplikowana i śmiercionośna machina wyglądała tu, w tej prymitywnej, opartej na niewolnictwie społeczności, bardzo nie na miejscu i Jason żałował, że nie mógł się przyjrzeć jej z bliska. Ch'aka z jednej z sakw wyciągnął belt i założył go na cięciwę.

Niewolnicy w milczeniu siedzieli na piasku, podczas gdy ich pan podkraść się ostrożnie wzdłuż podstawy wydm, a potem bezszelestnie podczołgał się na ich szczyt i zniknął po drugiej stronie. Parę minut później zza wydm rozległo się wycie pełne bólu. Wszyscy zerwali się i pobiegli, by zaspokoić ciekawość. Jason zostawił Mikaha leżącego na piasku i był w pierwszych szeregach gapiów, którzy pokonali wydmy i znaleźli się na brzegu oceanu.

Wszyscy zatrzymali się w zwykłej odległości i krzyczeli na całe gardło, jak wspaniały był to strzał i jak

wielkim myśliwym jest Ch'aka. Jason musiał przyznać, że było w tych okrzykach sporo racji. Na skraju wody leżało wielkie, owłosione, dwudyszne stworzenie. W jego grubym karku sterczał pierzasty koniec beltu, a cienki strumyk krwi spływał w dół i mieszał się z nadbiegającymi falami.

- Mięso! Dziś mięso!

- Ch'aka zabił *rosmarol* Ch'aka jest wspaniały!

- Bądź pozdrowiony Ch'aka żywicielu! - wrzasnął Jason nie chcąc być gorszy od innych. - Kiedy będziemy jeść?

Władca nie zwracał uwagi na niewolników. Siedział na wydmie, aż do chwili, gdy odpoczął po męczących podchodach. Potem znowu napiął kuszę, podszedł do zwierzęcia, wyciągnął za pomocą noża belt i założył go, ociekający krwią, ponownie na cięciwę.

- Zbierzcie drewno na ogień - rozkazał. - Ty, Opisweni, weź nóż i krój.

Ch'aka cofnął się na sam szczyt wydmy i usiadł tam z kuszą wycelowaną w niewolnika, który zbliżył się do zdobyczy. Opisweni wyciągnął nóż tkwiący w zwierzęciu i zaczął rozbierać tuszę. Przez cały czas był odwrócony plecami do Ch'aki i wycelowanej broni.

- Nasz pan i władca, jak widzę, darzy swych niewolników zaufaniem - mruknął pod nosem Jason przyłączając się do zbierających wyrzucone przez morze drewno. Ch'aka miał broń, ale zarazem wciąż bał się, że ktoś go zamorduje. Gdyby Opisweni spróbował użyć noża do czegoś innego niż mu polecono, zarobiłby strzałę w kark. Niezwykle przekonujący układ.

Zebrano dość drewna, by rozpaść okazałe ognisko i gdy Jason powrócił ze swoją porcją paliwa, *rosmaro* został już pocięty na duże kawały. Ch'aka kopniakiem odpędził niewolników od stosu drewna i z kolejnego woreczka wydobył małe urządzenie. Jason, zaciekawiony, przycisnął się jak mógł najbliżej, do pierwszego szeregu gapiów. Choć nigdy dotąd nie widział krzesiwa, cała operacja była prosta i zrozumiała. Napędzana sprężyną dźwignia uderzała kawałkiem kamienia o stalową płytkę krzesząc iskry, które padały na czarkę z hubą. Tam zaś Ch'aka rozdmuchiwał je tak długo, aż wreszcie rozgorzały płomieniem.

Skąd wzięty się tu kusza i krzesiwo? Stanowiły przecież świadectwo cywilizacji bardziej zaawansowanej w rozwoju niż ci prymitywni nomadzi. Był to pierwszy dowód świadczący o tym, że może tu istnieć społeczeństwo o wyższym poziomie kulturalnym. Nieco później, gdy wszyscy byli zajęci pożeraniem ledwo osmalonego mięsa, Jason odciągnął Mikaha na bok i zwrócił mu uwagę na te spostrzeżenia.

- Jest jeszcze pewna nadzieja. Te ciemne zbiry nigdy nie byłyby w stanie wyprodukować kuszy, czy krzesiwa. Musimy dowiedzieć się, skąd one pochodzą i spróbować się tam dostać. Kiedy Ch'aka wyciągnął belt, miałem możliwość mu się przyjrzeć i mógłbym przysiąc, że zrobiono go ze stalowego pręta.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - zapytał zdziwiony Mikah.

- To oznacza, że istnieje tu społeczeństwo przemysłowe i, być może, kontakty międzygwiazdne.

- Musimy więc zapytać Ch'akę skąd je ma i natychmiast się tam udać. Będą tam jacyś przedstawiciele

władz, skontaktujemy się z nimi, wyjaśnimy naszą sytuację, postaramy się o środek transportu na Cassy-lię. Nie aresztuję cię aż do tej pory.

- To miłe z twojej strony! - odparł Jason unosząc jedną brew. Mikah był zupełnie niemożliwy i *dinAlt* spróbował znaleźć jakiś słaby punkt w pancerzu jego zasad moralnych. - Czy nie będziesz czuł wyrzutów sumienia sprowadzając mnie tam na pewną śmierć? W końcu byliśmy współtowarzyszami niedoli - i ocaliłem ci życie.

- Będzie mi cię żal, Jasonie. Widzę, że choć jesteś złym człowiekiem, trudno cię uznać za złego do szpiku kości i gdyby się tobą zająć we właściwy sposób, mógłbyś być pożytecznym członkiem społeczeństwa. Jednak moje osobiste uczucia nie mogą mieć wpływu na bieg wydarzeń - zapomniałeś, że popełniłeś przestępstwo i musisz ponieść karę.

Ch'aka beknął przeciągle wewnątrz swego hełmu i wrzasnął na swych niewolników.

- Dość obżerania się, świnie! Zrobicie się tłuści. Zawińcie mięso i zabierzcie je - jest jeszcze dość jasno, by szukać *krenoj*. Ruszać się!

Ponownie ustawiono się w tyralierę i rozpoczęto powolny marsz na pustynię. Znalaziono dalsze jadalne korzenie i zatrzymano się raz na chwilę, by napęścić bukłaki wodą ze źródła bijącego z piasku. Słońce opadło w stronę widnokręgu i ta niewielka ilość ciepła, jaką wysyłało, została pochłonięta przez ławicę chmur. Jason rozejrzał się wokoło i zadygotał. Nagle zauważył na samym horyzoncie poruszający się szereg kropek. Tracił Mikaha, który ciągle opierał się na jego ramieniu.

- Wygląda na to, że mamy towarzystwo. Ciekaw jestem, czy pasują do układu.

Ból zaćmił uwagę Mikaha, który nic nie dostrzegł i co było dość zaskakujące, nie uczynił tego ani nikt z niewolników, ani sam Ch'aka. Punkty rosły w oczach i wkrótce przekształciły się w drugi rząd piechurów pochłoniętych najwyraźniej tym samym zajęciem, co grupa Ch'aki. Brnęli przed siebie uważnie wpatrując się w piasek, a za nimi kroczyła samotna postać ich pana. Obie linie powoli zbliżały się do siebie, podążając równolegle do brzegu.

Niedaleko wydm znajdowała się prymitywna sterta kamieni i tyraliera niewolników Ch'aki zatrzymała się natychmiast, gdy się z nią zrównała. Wszyscy, z pełnym zadowolenia postępowaniem opadli na piasek. Piramida była najwidoczniej znakiem granicznym. Ch'aka zbliżył się do niego i postawił stopę na jednym z kamieni, obserwując zbliżającą się linię

niewolników. Przybysze również zatrzymali się przy piramidzie i usiedli na ziemi - obie grupy patrzyły na siebie tępo, bez cienia zainteresowania i tylko obaj władcy okazywali niejakie poruszenie. Nowo przybyły zatrzymał się w odległości dziesięciu kroków przed Ch'aką i zakręcił nad głową paskudnie wyglądającym kamiennym młotem.

- Nienawidzę cię, Ch'aka! - ryknął.

- Nienawidzę cię, Fasimba! - zagrzmiało w odpowiedzi.

Ta wymiana grzeczności była ceremonialna jak *pas de deux* i równie wojownicza. Obydwaj mężczyźni przez chwilę wymachiwali bronią i wykrzyczeli parę obelg, po czym zabrali się do spokojnej rozmowy.

Fasimba był ubrany w tak samo odrażający i straszliwy strój jak Ch'aka. Różnice polegały jedynie na szczegółach. Głowa Fasimby była ukryta w czaszce jednego z dwudysznych *rosmaroj*, zaopatrzonej w dodatkowe kły i rogi. Różnice pomiędzy obydwoma właścicielami niewolników były niewielkie i ograniczały się do ozdób i szczegółów uzbrojenia. Obaj byli posiadaczami niewolników i równymi sobie.

- Zabiłem dziś *rosmaro*, drugiego w ciągu dziesięciu dni - oznajmił Ch'aka.

- Masz dobry kawałek brzegu. Dużo *rosmaroj*. Gdzie dwaj niewolnicy, których jesteś mi winien?

- Jestem ci winien dwóch niewolników?

- Jesteś mi winien dwóch niewolników. Nie udawaj głupiego. Dostałem dla ciebie od *d'zertanoj* żelazne strzały. Jeden z niewolników, którymi zapłaciłeś, umarł. I ciągle jesteś mi winien drugiego.

- Mam dla ciebie dwóch niewolników. Zdobyłem dwóch niewolników. Wyciągnąłem ich z oceanu.

- Masz dobry kawałek brzegu.

Ch'aka przeszedł się wzdłuż szeregu, aż wreszcie dotarł do tego zbyt zuchwałego, którego wczoraj nieomal okulił kopniakiem. Podniósł go na nogi i popchnął w stronę drugiej grupy.

- Tu masz dobrego - oznajmił dostarczając towar pożegnalnym kopem.

- Wygląda chudo. Nie bardzo dobry.

- Nie, same mięśnie. Dobrze pracuje. Mało je.

- Jesteś kłamcą!

- Nienawidzę cię, Fasimba!

- Nienawidzę cię, Ch'aka! A gdzie drugi?

- Mam dobrego. Obcy z oceanu. Może ci opowiadać śmieszne historie, dobrze pracuje.

Jason uchylił się na tyle szybko, by uniknąć całej siły kopniaka, ale i tak, to co oberwał, rozciągnęło go na piasku. Zanim zdołał się podnieść, Ch'aka schwycił Mikaha Samona za ramię i przeciągnął go przez niewidzialną linię w kierunku drugiej grupy niewolników. Fasimba podkradł się, by zbadać Mikaha. Trącił go spiczastym czubkiem buta. /

- Nie wygląda dobrze. Duża dziura w głowie.

- Dobrze pracuje - oznajmił Ch'aka. - Dziura prawie zagojona. Bardzo mocny.

- Dasz mi innego, jeżeli ten umrze? - zapytał Fasimba z powątpiewaniem w głosie.

- Dam. Nienawidzę cię, Fasimba!

- Nienawidzę cię, Ch'aka! Oba stada niewolników zostały poderwane na nogi i wysłane w kierunku, z którego przybyły.

- Poczekaj! - krzyknął Jason. - Nie sprzedawaj mojego przyjaciela. Pracujemy lepiej, kiedy jesteśmy razem. Możesz oddać kogoś innego...

Niewolnicy słysząc to, wytrzeszczyli oczy, Ch'aka zaś obrócił się gwałtownie, wznosząc maczugę.

- Ty milcz. Ty jesteś niewolnik. Jeszcze raz powiesz co mam robić, to cię zabiję.

Jason umilkł, rozumiejąc, że jest to jedyna rzecz, która mu pozostała. Czuł pewne wyrzuty sumienia, myśląc o losie jaki czeka Mikaha - jeżeli nie wykończy go rana, to na pewno nie okaże się on facetem, który schyli czoło przed realiami życia niewolnika. Ale cóż, Jason zrobił wszystko, co mógł, by go ocalić, a teraz

nadeszła najwyższa pora, by Jason nieco zatroszczył się o Jasona.

Zdołali dokonać krótkiego przemarszu, zanim zapadła ciemność, a druga grupa niewolników

zniknęła z pola widzenia. Wtedy zatrzymali się na nocleg. Jason usadowił się pod wzgórzem, który osłabiał nieco siłę wiatru i odwinął nadwęglony kawałek mięsa ocalony z poprzedniej uczy. Był twardy i oleisty, ale o wiele lepszy od prawie niejadalnych *krenoj*, stanowiących podstawowy składnik miejscowej diety. Głośno obgryzał kość i rozglądał się wokoło, podczas gdy jeden z niewolników przysunął się do niego z boku.

- Dasz mi trochę twojego mięsa? - zapytał skamlącym głosem i dopiero wtedy Jason zorientował się, że to dziewczyna. Wszyscy niewolnicy wyglądali tak samo - ze zbitymi w kołtun włosami i poowijani w skóry. Oderwał kawał mięsa.

- Masz. Siadaj i jedz. Jak masz na imię? W zamian za swą hojność miał nadzieję uzyskać od dziewczyny nieco informacji.

- Ijale. - Wciąż stojąc, wgryzała się w mięso trzymane w garści, podczas gdy wskazującym palcem drugiej ręki drapała zawzięcie w zbitych włosach.

- Skąd jesteś? Czy zawsze żyłaś tutaj, jak teraz? - W jaki sposób zapytać niewolnicę, czy zawsze była niewolnicą?

- Nie stąd. Ja byłam najpierw u Bul'wajo, potem u Fasimby, teraz należę do Ch'aki.

- Co albo kto nazywa się Bu'wajo? Czy to ktoś taki jak nasz pan Ch'aka? Skinęła głową, żując mięso.

- A *d'zertanoj*, od których Fasimba dostał strzały

- kto to taki?

- Dużo nie wiesz - powiedziała kończąc mięso i oblizując tłuszcz z palców.

- Wiem wystarczająco dużo, by mieć mięso, którego ty nie masz - więc nie nadużywaj mojej gościnności. Kim są *d'zertanoj*?

- Wszyscy wiedzą, kim oni są. - Wzruszyła ramionami i wyszukała wzrokiem miękkie miejsce na piasku, na którym mogłaby usiąść. - Żyją na pustyni. Jeżdżą w *caroj*. Śmierdzą. Mają wiele ładnych rzeczy. Jeden z nich dał mi najlepszą rzecz. Jeżeli ci pokażę, nie zabierzesz mi?

- Nie, nawet nie dotknę. Ale chciałbym zobaczyć coś, co zrobili. Masz tu jeszcze trochę mięsa. A teraz pokaż mi swoją najlepszą rzecz.

Ijale przez chwilę gmerała w swych skórach, szukając ukrytej kieszeni i wydobyła coś schowanego w zaciśniętej pięści. Wyciągnęła dumnie rękę, otworzyła dłoń. Padające skąpe światło wystarczyło Jasonowi, by zobaczyć nierówny kształt czerwonego szklanego paciorka.

- Czy to nie piękne? - spytała.

- Bardzo piękne - przyznał Jason i przez chwilę, patrząc na tę rozrzucającą błyskotkę poczuł, jak ogarnia go litość. Przodkowie dziewczyny przybyli na tę planetę w statkach kosmicznych, uzbrojeni w najnowsze osiągnięcia nauki. Ich dzieci, odcięte od innych, zwyrodniały do poziomu ledwo świadomych niewolników, którzy mogą cenić bezwartościowy kawałek szkła bardziej niż cokolwiek na świecie.

- No dobrze - powiedziała Ijale układając się na piasku na plecach. Odwinęła niektóre ze skór i zaczęła podwijać do pasa pozostałe.

- Spokojnie - oznajmił Jason. - Mięso było prezentem, nie musisz za nie płacić.

- Nie chcesz mnie? - zapytała ze zdziwieniem i opuściła skóry na obnażone nogi. - Nie lubisz mnie? Myślisz, że jestem brzydka?

- Jesteś ładniutka - skłamał Jason. - Powiedzmy, że jestem za bardzo zmęczony.

Czy była brzydka, czy ładna? Trudno mu było to ocenić. Jej niemyte i zmierzwiłone włosy zakrywały pół twarzy, brud zaś skutecznie przesłaniał resztę. Jej wargi były popękane, a na policzku miała czerwony ślad.

- Pozwól, żebym została z tobą tej nocy, nawet jeżeli jesteś zbyt stary, by mnie chcieć. Mzil'kazi ciągle mnie chce i sprawia mi ból. Patrz, to on.

Człowiek, którego wskazała, obserwował ich z bezpiecznej odległości i wycofał się jeszcze dalej, gdy zobaczył, że Jason spojrzał w jego kierunku.

- Nie martw się o Mzila - powiedział. - Ustaliliśmy nasze wzajemne stosunki już pierwszego dnia. Może zauważyłaś guza, który ma na głowie? - Sięgnął po kamień i mężczyzna uciekł szybko.

- Lubię cię. Znowu pokażę ci moją najlepszą rzecz.

- Ja też cię lubię. Nie, nie teraz. Zbyt wiele dobrego w zbyt krótkim czasie może mnie rozpieścić. Dobranoc.

Rozdział 5

Ijale trzymała się blisko Jasona przez cały następny dzień i ustawiała się obok niego w tyralierze, gdy rozpoczęło się to bezustanne poszukiwanie *krenoj*. Przy okazji wypytywał ją i przed południem wydobyl z Ijale całą jej skromną wiedzę o sprawach, które rozgrywały się poza tym pustynnym skrawkiem wybrzeża. Ocean był tajemnicą dostarczającą jadalne zwierzęta, ryby i nawet od czasu do czasu, ludzkie zwłoki. Niekiedy można było zobaczyć daleko od brzegu statki, ale nic o nich nie wiedzano. Z drugiej strony granicę terenów Ch'aki tworzyła pustynia, jeszcze bardziej niegościnna niż ta, na której z trudem zdobywali środki do życia - rozległy obszar pozbawionych życia piasków, zamieszkały jedynie przez *d'ze-rtanoj* i ich tajemnicze *caroj*. Mogły to być zarówno zwierzęta, jak i jakieś mechaniczne środki transportu, mgliste opisy Ijali dopuszczaly obydwie możliwości. Ocean, wybrzeże, pustynia - to one tworzyły cały świat i nie była w stanie pojąć niczego, co mogło istnieć poza nimi.

Jason wiedział, że musi tam być coś więcej - kusza stanowiła wystarczający tego dowód i miał szczerzy

zamiar wyjaśnić skąd pochodzi ten przedmiot. Żeby tego dokonać, musi we właściwym czasie zmienić obecny, dość wygodny, status niewolnika. Zdołał już wypracować niejaki umiejętności unikania ciężkiego buta Ch'aki, praca nie była zbyt ciężka, a żywności było dużo. To że był niewolnikiem, zwalniało go od wszelkich obowiązków poza spełnianiem rozkazów, miał też wystarczająco wiele okazji do zgromadzenia wszelkich możliwych informacji o tej planecie. Dzięki temu, gdy ostatecznie odejdzie, będzie przygotowany możliwie najlepiej.

W późniejszej porze zobaczono inną kolumnę niewolników maszerujących równolegle do nich i Jason spodziewał się, że powtórzone zostanie przedstawienie z poprzedniego dnia. Z przyjemnością zauważył, że był w błędzie, gdyż widok ten wprawił Ch'akę w natychmiastową wściekłość, która sprawiła, że niewolnicy w poszukiwaniu schronienia rozbiegli się we wszystkie strony. Wódz skakał w górę, wył gniewnie, tłukł maczugą w swój gruby, skórzany pancerz, czym doprowadził się do stanu godnego podziwu. Dopiero potem rozpoczął mozolny bieg. Jason trzymał się tuż za nim, niezmiernie zaciekawiony nowym obrotem rzeczy.

Znajdująca się przed nimi grupa niewolników również się rozpierzchła, pojawiła się zaś inna uzbrojona i opancerzona postać. Dwaj wodzowie sunęli naprzeciwko siebie z maksymalną prędkością i Jason miał nadzieję, że za chwilę usłyszy straszliwy łoskot zderzenia. Nim jednak do tego doszło, obydwaj zwolnili i zaczęli krążyć wokół siebie, obrzucając się wyzwiskami.

- Nienawidzę cię, M'shika! , - Nienawidzę cię, Ch'aka!

Słowa były te same co poprzednio, ale wykrzykiwano je zajadle, bez poprzedniego odcienia ceremonialności.

- Zabiję cię, M'shika! Znowu wchodzisz na moją część terenu ze swoim pokarmem dla ścierwojadów!

- Kłamiesz, Ch'aka! Ta ziemia jest moja!

- Zabiję cię!

Ch'aka krzycząc te słowa skoczył i wymierzył cios, który, gdyby trafił, przełamałby przeciwnika na pół. Ale M'shika spodziewał się tego i odskoczył, zadając w odpowiedzi uderzenie swą maczugą. Ch'aka bez trudu wykonał unik, po czym nastąpiła szybka szermierka na maczugi, w której większość ciosów pruła tylko powietrze, aż wreszcie obaj mężczyźni weszli w zwanie i walka rozpoczęła się na całego.

Tarzali się po ziemi, rycząc dziko i szarpiąc za co popadło. Ciężkie maczugi były w tej walce bezużyteczne i zostały odrzucone na rzecz noży i kolan. Teraz Jason zrozumiał, dlaczego Ch'aka miał przywiązane do rzepek kolanowych długie kły. Była to walka, w której wszystkie chwytły były dozwolone i każdy z obu mężczyzn równie żarcie starał się zabić swego przeciwnika. Skórzany pancerz poważnie zmiękczył i walka trwała nadal, zasypując piasek wyłamanymi zębami zwierząt, porzuconą bronią i innymi śmieciami. W pewnym momencie zapałnicy się rozdzielili, by złapać oddech i wyglądało na to, że nastąpi remis. Potem jednak

znów rzucili się na siebie.

Impas zdołał przełamać właśnie Ch'aka. Wbił sztylet w ziemię i podczas kolejnego przetoczenia się po

ziemi schwycił rękojeść ustami. Przytrzymując ramiona przeciwnika obiema rękami, opuścił głowę w dół i zdołał *znaleźć* słabe miejsce w pancerzu przeciwnika. M'shika zawył i oderwał się od nieprzyjaciela, a gdy powstał, po jego ramieniu spływała krew, kapiąc z czubków palców.

Ch'aka skoczył za nim, ale rannemu udało się *złapać* maczugę i odeprzeć szarżę wroga.

M'shika kuśtykając do tyłu, zdołał zranioną ręką pozbierać większość swej rozrzuconej broni i wycofał się pospiesznie. Ch'aka podbiegł za nim kawałek, wykrzykując chwałę swej potęgi i umiejętności oraz wytykając tchórzostwo przeciwnikowi. Jason dostrzegł krótki róg jakiegoś morskiego zwierzęcia, leżący na skotłowanym piasku i podniósł go szybko, zanim Ch'aka się odwrócił.

Gdy tylko wróg został przepędzony, zwycięzca uważnie przeszukał pobojowisko i zebrał wszystko, co miało jakąkolwiek wartość bojową. A ponieważ pozostało jeszcze kilka godzin dnia, dał znak, którym przyzwolił na postój i rozdzielenie wieczornego *przydziału krenoj*.

Jason siedział i w zamyśleniu żuł swoją porcję. Ijale oparła się o jego bok. Ramię dziewczyny poruszało się rytmicznie, gdy drapała zawzięcie pogryzione miejsca. Wszy były stałym elementem życia - chowały się w szczelinach źle wyprawionej skóry i wylaziły przywabione ciepłem ludzkiego ciała. Jason miał już własny kontyngent tych żyjatek i zorientował się nagle, że

drapię się nie gorzej od Ijali. Świadomość tego faktu wyzwoliła gromadzącą się w nim powoli i niedostrzegalnie wściekłość.

- Składam wymówienie - rzekł, zrywając się na równe nogi. - Mam dość bycia niewolnikiem. Jak trafię do najbliższego miejsca na pustyni, w którym będę mógł *znaleźć d'zertanoj*.

- Tam, dwa dni drogi. Jak masz zamiar zabić Ch'akę?

- Nie mam zamiaru zabijać Ch'aki. Po prostu odchodzę. Wystarczająco długo korzystałem z jego gościnności i kopniaków.

- Nie możesz tego zrobić - jęknęła przerażona. - Zostaniesz zabity.

- Ch'aka będzie miał pewne kłopoty z zabiciem mnie, gdy się stąd zmyję.

- Każdy cię zabije. Takie jest prawo. Zbiegli niewolnicy zawsze są zabijani.

Jason usiadł, odłamał kolejny kawałek *krenoj* i przemyślał wszystko jeszcze raz. - Namówiłaś mnie, żebym jeszcze trochę wam towarzyszył. Nie mam jednak szczególnej ochoty zabić Ch'aki, choć ukradł mi buty. I nie widzę, jaką mógłbym mieć korzyść z tego, że go ukatrupię.

- Jesteś głupi. Po tym jak zabijesz Ch'akę, zostaniesz nowym Ch'aką. Będiesz wtedy mógł robić wszystko, co zechcesz.

Oczywiście. Teraz, gdy to usłyszał, cały układ społeczny stał się dla niego czymś oczywistym.

Jason widząc niewolników i ich panów, wyciągnął mylny wniosek, że reprezentują oni różne warstwy społeczne, podczas gdy w rzeczy samej była to jedna klasa, którą można by określić "kto silniejszy, ten lepszy". Mógł się tego domyśleć widząc, jak Ch'aka stara się nie dopuścić nikogo na niebezpieczną odległość lub jak każdej nocy znika, by schować się w jakimś ukrytym miejscu. Była to wolna konkurencja doprowadzona do ostatecznych granic, w której każdy musiał dbać o siebie, każdy inny był wrogiem, a pozycja w życiu zależała od siły ramienia i błyskawicznego refleksu. Każdy, kto wybierał samotność, automatycznie stawał poza społecznością, w związku z tym uznawano go za wroga i oczywiście zabijano przy pierwszej sposobności. Wszystko sprowadzało się do konieczności zabicia Ch'aki, jeżeli chciał zmienić swoją sytuację. Wciąż nie miał na to ochoty, ale musiał tak postąpić.

Tej nocy Jason obserwował jak Ch'aka odszedł cichaczem z obozu i dokładnie zapamiętał kierunek, w którym się udał. Oczywiście właściciel niewolników będzie kluczył zanim zapadnie, w swej kryjówce, ale jeżeli Jasonowi się uda, znajdzie go. I zabije. Myśl o nocnym morderstwie wcale go nie podniecała i do chwili wylądowania na tej planecie uważał, że zabicie człowieka śpiącego jest wyjątkowo tchórzliwym sposobem zakończenia czyjejś egzystencji. Ale szczególne warunki wymagają szczególnych środków i w otwartej walce nie miał najmniejszych szans z opancerzonym od stóp do głów przeciwnikiem. Pozostawał więc nóż mordercy - czy też raczej

zaostrzony róg.

Udało mu się zapaść w niespokojną drzemkę i obudził się wkrótce przed północą. Potem ostrożnie wysunął się spod przykrywających go skór. Ijale wiedziała, że Jason odchodzi - w blasku gwiazd widział jej otwarte oczy, ale nie poruszyła się i nic nie powiedziała. Cicho przemknął w ciemność pomiędzy wydrami.

Niełatwo było znaleźć Ch'akę na pograżonej w ciemności, dzikiej pustyni, ale Jason się uparł. Zataczał coraz szersze półkola, wymijając śpiących niewolników. Wokół znajdowały się zaciemnione wąwozy i żlebiki, które trzeba było jak najdokładniej sprawdzić. Ch'aka musiał się ukrywać w jednym z nich, czujnie nasłuchując najłagodniejszego dźwięku.

Jason zorientował się, że Ch'aka przedsięwziął szczególne środki ostrożności dopiero w momencie, gdy usłyszał brzęczenie dzwonka. Był to cichutki, ledwo słyszalny odgłos, ale dinAlt zamarł natychmiast. Jego ramię opierało się o cienką niteczkę, a kiedy cofnął się ostrożnie, dzwonek zadzwonił znowu. Przeklął w duchu swą głupotę, dopiero bowiem teraz przypomniał sobie, że słyszał już dzwonenie dobiegające z miejsca, w którym spał właściciel niewolników. Musiał co noc otaczać swe legowisko siecią nitek, które natychmiast uruchamiały dzwoneczki, kiedy ktoś usiłował zbliżyć się w ciemności. Powoli, bez najmniejszego szmeru Jason wycofał się w głąb wąwozu.

Ch'aka zjawił się łomocząc głośno bukami i wywijając maczugą nad głową. Pędził wprost na Jasona, który gwałtownie odtoczył się na bok. Maczuga z hukiem wyrznięła o ziemię, Jason zaś natychmiast się zerwał i rzucił do ucieczki. Potykał się o kamienie, wiedząc doskonale, że upadek oznacza śmierć, nie miał jednak wyboru. Ubrany w ciężki pancerz Ch'aka nie mógł dotrzymać mu kroku. Jasonowi zaś udało się nie upaść. Wreszcie pozostawił prześladowcę daleko w tyle. Ch'aka ryknął z wściekłości i zaczął obrzucać go przekleństwami, ale nie mógł go już pochwycić. Jason, dysząc ciężko, zniknął w ciemności.

Wolno zatoczył duże koło kierując się w stronę obozu. Zdawał sobie sprawę, że hałas rozbudzi niewolników i dlatego też odczekał około godziny, dygocząc w lodowatym przedświcie, zanim ponownie wśliznął się pod oczekujące nań skóry. Niebo zaczęło szarzeć, a on leżał zastanawiając się, czy Ch'aka go poznał

- sądził jednak, że raczej nie.

Gdy czerwone słońce podniosło się nad horyzontem, Ch'aka pojawił się na szczycie wydmy.

Trząsł się ze wściekłości.

- Który to zrobił? - wrzasnął. - Który zakradł się w nocy?

Skradał się pomiędzy nimi, nikt jednak nie drgnął nawet, chyba tylko po to, by umknąć spod jego stóp.

- Który to zrobił? - wrzasnął ponownie, gdy znalazł się niedaleko miejsca, w którym leżał Jason.

Pięciu niewolników w milczeniu wskazało Jasona. Ijale zadrżała i odsunęła się od niego.

Przeklinając ich zdradę Jason zerwał się i uniknął spod opadającej ze świstem maczugi. Trzymał w ręku zaostrzony róg, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że nie może stanąć do otwartej walki z Ch'aką - musiał znaleźć jakiś inny sposób. Szybko się obejrzał i zobaczył, że jego wróg podąża za nim. Jednocześnie z ledwością uniknął podstawionej mu przez kogoś niewolnika nogi.

Wszyscy byli przeciwko niemu! Każdy był przeciw każdemu i nikt nie mógł czuć się bezpieczny. Odbiegł od niewolników i wdrapał się na szczyt wydmy,

przytrzymując się sztywnej trawy. Na szczycie odwrócił się, kopnął w twarz Ch'aki piasek, usiłując go oślepić, ten jednak pochylił kuszę i założył bełt na cięciwę. Jason był zmuszony znowu uciekać. Ch'aka zaś gonił go, dysząc ciężko.

Jason czuł ogarniające go zmęczenie i wiedział, że jest to najlepszy moment, by przypuścić kontratak. Niewolnicy zniknęli już z pola widzenia i walka będzie się toczyć tylko między nimi dwoma. Biegając po zboczach zasypanych pokruszonymi skałami, zawrócił nagle i skoczył w dół. Zaskoczony Ch'aka nie zdążył wzniesić swej maczugi i zamachnął się na osłep. Jason wykonał unik i wykorzystując siłę, jaką Ch'aka włożył w uderzenie, schwycił go za ramię, szarpnął i przewrócił na ziemię.

Opancerzony mężczyzna runął na twarz, między kamienie. Jason skoczył mu na plecy próbując

schwytać go za podbródek. Kalecząc palce o naszyjnik z wyszczerbionych zębów złapał kudłatą brodę Ch'aki i pociągnął ją. Zanim mężczyzna zdołał się uwolnić i odtoczyć na bok, przez jedną długą chwilę jego głowa była odchylona do tyłu. W tym samym momencie Jason wbił ostry róg w miękkie gardło. Gorąca krew chlusnęła mu na rękę, Ch'aka zadygotał straszliwie i umarł.

Jason wstał, czując się straszliwie zmęczony. Był sam na sam ze swoją ofiarą. Owiewał go zimny wiatr, niosąc ze sobą szeleszczące ziarenka piasku i chłodząc pot, pokrywający jego ciało.

Westchnął, otarł zakrwawione dłonie o piasek i *zaczał* rozbierać zwłoki. Hełm z muszli był przymocowany grubymi rzemieniami. Gdy je odwiązał i odsłonił głowę wodza, zobaczył, że Ch'aka dawno już przekroczył wiek średni. W jego brodzie były siwe pasma, skąpe włosy miał całkiem siwe, zawsze osłonięte hełmem twarz i łysiejąca głowa były nienaturalnie białe.

Trwało to długo, zanim zdołał zdjąć pancerz i owijające ciało skóry, wreszcie jednak dokonał tego. Pod skórą i mocującymi pazury rzemieniami Ch'aka miał na nogach buty Jasona. Były brudne, ale nie uszkodzone i Jason nałożył je z radością. Gdy wreszcie wytarł wewnątrz hełmu piaskiem i założył go, Ch'aka narodził się znowu. Ciało leżące na piasku należało po prostu do jednego z niezujących niewolników. Jason wygrzebał płytki grób, umieścił w nim zwłoki i zasypał je-

Następnie obwieszony bronią, woreczkami, zawiniątkami i kuszą, z maczugą w dłoni ruszył w stronę oczekujących niewolników. Gdy tylko nadszedł, poderwali się na nogi i ustawili w tyralierę. Jason spostrzegł, że Ijale patrzy nań z niepokojem, próbując się zorientować, kto wagrał walkę.

Jeden zero dla drużyny gości - zawołał, ona zaś uśmiechnęła się niepewnie i odwróciła. -

Wszyscy w tył zwrot i naprzód marsz tam, skąd przybyliśmy. Oto wstaje dla was nowy dzień, niewolnicy. Wiem, że trudno wam w to uwierzyć, ale czekają was wielkie przemiany.

Pogwizdywał radośnie idąc za szeregiem niewolników i żując pierwszy znaleziony *krenoj*.

Rozdział 6

Wieczorem rozpalili ognisko na plaży i Jason usiadł skierowany plecami w stronę bezpiecznego morza. Zdjął hełm - to draństwo przyprawiało go o ból głowy - i przywołał do siebie Ijale.

- Słucham i jestem posłuszną, Ch'aka. Podbiegła do niego i klapnęła na piasek zakasując okrywające ją skóry.

- Ale masz mniemanie o mężczyznach! - wybuchnęła. - Siadaj. Chcę tylko z tobą pogadać. I mam na imię Jason, nie Ch'aka.

- Tak, o Ch'aka - odparła, rzucając szybkie spojrzenie na jego nie zakrytą twarz i odrzucając głowę. Mruknął i podsunął jej koszyk z *krenoj*.

- Widzę, że niełatwo będzie zmienić tutejsze układy społeczne. Powiedz mi, czy chcielibyście, ty i pozostali, być wolni?

- Co to znaczy być wolny?

- Cóż, to jest chyba odpowiedź na moje pytanie. Wolny, to znaczy, że nie jesteś niewolnicą albo właścicielką niewolników i możesz iść, gdzie chcesz i robić, co chcesz.

- To mi się nie podoba - zadygotała. - A kto by

o mnie zadbał? Jak znalazłabym jakieś *krenofł* Musi być wielu ludzi, by znaleźć *krenoj*. Jeden człowiek umrze z głodu.

- Jeżeli jesteś wolna, możesz szukać *krenoj* razem z innymi wolnymi ludźmi.

- To głupie. Ten kto znajdzie, zje sam i nie podzieli się z innymi, chyba że będzie miał nad sobą pana. Lubię jeść.

Jason podrapał się w zarośnięty podbródek. - Wszyscy lubimy jeść, ale to wcale nie znaczy, że musimy być niewolnikami. Widzę jednak, że dopóki nie dokona się tu jakichś radykalnych zmian, nie bardzo mi się uda uczynić kogokolwiek wolnym i lepiej będzie, jeżeli przedsięwzięm wszystkie środki ostrożności stosowane przez Ch'akę, jeśli chcę pozostać przy życiu.

Podniósł swą maczugę i odszedł, skradając się w ciemność. Krążył w milczeniu wokół obozu aż do chwili, w której znalazł pokaźny pagórek o gładkich stokach. Po omacku wyciągnął z worka kołeczki i powbił je szeregami, starannie układając na ich rozwidleniach skórzane nici. Ich końce były przywiązane do precyzyjnie wyważonych stalowych dzwoneczków, które rozbrzmiewały

przy najmniejszym dotyku. Zabezpieczony w ten sposób ułożył się w środku ostrzegawczej sieci i spędził w napięciu niespokojną noc, drzemiąc czujnie i oczekując na brzęczenie dzwoneczków. Rankiem znowu podjęto przerwany marsz. Doszli do znaku granicznego, a gdy niewolnicy się zatrzymali,

Jason polecił im go minąć. Uczynili to chętnie, spodziewając się, że będą świadkami pasjonującej walki o władanie nad pogwałconą przestrzenią życiową. Ich nadzieje były usprawiedliwione, gdyż nieco później, daleko po prawej, zobaczyli inną tyralierę niewolników. Odłączyła się od nich jakaś postać i podbiegła w ich kierunku.

- Nienawidzę cię, Ch'aka! - wrzasnął zbliżając się Fasimba, ale tym razem rzeczywiście mówił to, co myślał. - Wszedłeś na mój teren! Zabiję cię!

- Jeszcze nie teraz - zawołał w odpowiedzi Jason.

- Aha, ja też cię nienawidzę, Fasimba, przepraszam, że zapomniałem o formalnościach. Nie chcę ani skrawka twojej ziemi i stare umowy, jakiegokolwiek były, są wciąż ważne. Chciałbym tylko z tobą pomówić.

Fasimba zatrzymał się, ale swój kamienny młot trzymał w pogotowiu. Wciąż zachowywał czujność.

- Masz nowy głos, Ch'aka.

- Mamy nowego Ch'akę. Stary Ch'aka wacha kwiatki od spodu. Chciałbym odkupić od ciebie niewolnika, a potem sobie pójdziemy.

- Ch'aka dobrze się bił. Musisz być dobrym wojownikiem, Ch'aka. - Potrząsnął gniewnie swym młotem. - Nie taki dobry jak ja, Ch'aka.

- Jasna sprawa, jesteś najlepszy, Fasimba. Dziewięciu niewolników z dziesięciu chce, żebyś był ich panem. Słuchaj, czy nie moglibyśmy załatwić naszej sprawy, potem zabiorę stąd moją bandę.

- Popatrzył na zbliżających się niewolników, próbując odnaleźć wśród nich Mikaha. - Chciałbym odebrać niewolnika z dziurą w głowie. Dam ci w zamian dwóch, których sam wybierzesz. Co ty na to?

- Dobry handel, Ch'aka. Wybierzesz jednego mojego, możesz wziąć najlepszego, a ja wezmę dwóch twoich. Ale dziury w głowie już nie ma. Za dużo kłopotu. Ciągłe mówił. Noga mnie bolała od kopania. Pozbyłem się go.

- Zabijeś?

- Po co marnować niewolnika. Sprzedałem go *d'zertanoj*. Dostałem strzały. Chcesz strzały?

- Nie tym razem, Fasimba, ale dziękuję za wiadomość. - Przez chwilę grzebał w torbie i wyjął *kreno*.

- Proszę, masz tu coś do jedzenia.

- Gdzie dostałeś zatrute *kreno*? - zapytał Fasimba z nieskrywanym zainteresowaniem. -

Przydałoby mi się zatrute *kreno*.

- Wcale nie jest zatrute, doskonale nadaje się do jedzenia, no, w każdym razie jak wszystko tutaj.

- Jesteś bardzo śmieszny, Ch'aka - roześmiał się Fasimba. - Dam ci jedną strzałę za zatrute *kreno*.

- Rzucił strzałę na piasek daleko od siebie i odchodząc schwycił korzeń.

Gdy Jason podniósł strzałę, wygięła się. Przyjrzał się jej bliżej i zobaczył, że była przerdzewiała, a pęknięcie zostało sprytnie zamazane gliną. - W porządku

- zawołał w ślad za Fasimbą. - Poczekaj tylko, aż twój przyjaciel zje *kreno*.

Znowu ruszyli w drogę. Najpierw z powrotem do kopca granicznego, podczas gdy podejrzliwy Fasimba deptał im po piętach. Dopiero gdy Jason i jego grupa przekroczyli granicę, tamci powrócili do normalnych poszukiwań.

Potem rozpoczęli długi marsz do granic wewnętrznej pustyni. Ponieważ w czasie drogi musieli poszukiwać *krenoj*, minęły prawie trzy dni, zanim osiągnęli swój cel. Jason po prostu skierował swą tyralierę we właściwą stronę, ale gdy tylko stracił morze z oczu, miał jedynie dość mgliste pojęcie, jaki kierunek jest prawidłowy. Mimo wszystko nie zdradził się ze swą niewiedzą przed niewolnikami i dalej maszerowali drogą, która była najwidoczniej dobrze im znana. Podczas swej wędrówki zebrali i zjedli sporo *krenoj*, znaleźli dwie studnie, przy których napełnili swe skórzane bukłaki i wskazali Jasonowi skulone zwierzę siedzące przy norze. Udało mu się, ku ich niewypowiedzianej pogardzie, paskudnie chybić. Rankiem

trzeciego dnia zobaczył na płaskim, horyzoncie linię graniczną, a przed południowym posiłkiem doszli do pofalowanego morza niebieskoszarych piasków.

Zniknięcie tego, co w myślach przywykł już nazywać pustynią, było zaskakujące. Tam, pod ich stopami był piach i żwir, tu i ówdzie trawy i życiodajne *krenoj*. Żyły tam zarówno zwierzęta, jak i ludzie, a choć walka o przetrwanie była bezpardonowa, w każdym razie jakoś się to udawało. W leżących przed nimi pustkowiach nie było widać żadnych przejawów życia, choć nie ulegało wątpliwości, że tam właśnie można znaleźć *d'zertanoj*. Musiało to oznaczać, że choć przestrzenie te sprawiały wrażenie nieskończonych, jak wierzyła w to Ijale, to jednak były gdzieś za nimi żyźniejsze ziemie. Podobnie jak góry, na odległej bowiem linii widnokre-
gu widzieli ledwo dostrzegalny zarys szarych szczytów.

- Gdzie znajdziemy *cTzertanoj*? - zapytał Jason

najbliższego niewolnika. Ten jednak skrzywił się tylko i spojrzał w bok.

Jason miał pewne problemy z dyscypliną. Niewolnicy nie chcieli wykonywać jego rozkazów, zanim ich nie kopnął. Tresura ta była do tego stopnia zakorzeniona w ich świadomości, że rozkaz, któremu nie towarzyszył kopniak, po prostu nie był brany pod uwagę. Stała niechęć *dinAlta* do łączenia ustnego polecenia z środkami fizycznego przymusu była przyjmowana za oznakę słabości, w związku z czym niektórzy co bardziej krzepcy niewolnicy już oblizywali się patrząc na niego i rozważając swoje szansę. Jego wysiłki, by ulżyć losowi niewolników były skutecznie blokowane przez nich samych. Jason przeklął pod nosem ich zakamieniały upór i czubkiem buta kopnął niewolnika.

- Znaleźć ich za wielką skałą. - Odpowiedź była natychmiastowa.

We wskazanym kierunku widniała na skraju pustyni jakaś ciemna plama i gdy zbliżyli się do niej, Jason zorientował się, że jest to występ skalny obudowany do jednakowej wysokości ceglami i głazami. Za murem mogło się ukrywać wielu ludzi i wcale nie miał zamiaru ryzykować utraty swych cennych niewolników, czy też jeszcze cenniejszej własnej skóry, zbliżając się tam nieostrożnie. Krzyknął, cała tyraliera stanęła i poroz-siadła się na piasku, podczas gdy on przeszedł ostrożnie kilka metrów do przodu, trzymając w pogotowiu maczugę i podejrzliwie przyglądając się budowli.

To że istotnie byli tam ukryci obserwatorzy, stało się oczywiste, gdy zza węgła wyszedł mężczyzna i powoli skierował się w stronę Jasona. Był ubrany w luźną szatę i w jednym ręku niośł koszyk. Kiedy znalazł się mniej więcej w połowie drogi między swoją skałą a Jasonem, usiadł po turecku na piasku, koszyk zaś postawił obok. Jason uważnie rozejrzał się wokół i uznał, że chyba nic mu nie zagraża i że nie musi obawiać się pojedynczego człowieka. Trzymając maczugę w pogotowiu podszedł i zatrzymał się w odległości dobrych trzech kroków od tamtego.

- Witaj, Ch'aka - rzekł mężczyzna. - Obawiałem się, że już cię nie zobaczę po naszym małym... eee... nieporozumieniu.

Mówił siedząc i gładko skąpą bródkę. Głowę miał gładko ogoloną i równie opaloną jak twarz, której najbardziej rzucającym się w oczy elementem był wspinały orli nos, stanowiący majestatyczną podporę pięknych okularów słonecznych. Były chyba wyrzeź-bione z kości i przylegały ściśle do twarzy, płaska zaś, nieprzezroczysta część w miejscu, gdzie powinny być soczewki, była poprzecinana cienkimi, poprzecznymi szczelinami. Podobne osłony oczu mogły być stosowane jedynie przy słabym wzroku, a siatka zmarszczek wskazywała na to, że człowiek ten jest już dość starj i nie może w niczym zagrozić Jasonowi.

- Chcieć coś - bez ogródek oznajmił Jason wzorem Ch'aki.

- Nowy głos i nowy Ch'aka - witam cię. Z tego poprzedniego był kawał łotra i mam nadzieję, że umarł w mękach. A teraz, przyjacielu Ch'aka, siadź i napij się ze mną. - Ostrożnie otworzył koszyk i wyjął zeń kamienny garnek i dwa wyszczerbione kubki.

- Skąd masz zatruty napój? - zapytał Jason,

pamiętając o miejscowych zwyczajach. Z tego *d'zerta-no* był kawał spryciarza. Słyszając tylko głos Jasona, natychmiast zorientował się, że na stanowisku Ch'aki nastąpiła zmiana. - I jak

masz na imię?

- Edipon - odparł starzec, pozornie nie zwracając uwagi na obrazę i schował przybory do picia. - Czego byś chciał? Oczywiście w granicach rozsądku. Zawsze potrzebujemy niewolników i zawsze chętnie handlujemy.

- Ja chcę niewolnika, ty dostać. Ja wymienię dwa za jeden.

Siedzący mężczyzna uśmiechnął się chłodno pod nosem. - Nie ma potrzeby mówić tak niegramatycznie jak barbarzyńcy z wybrzeża, z akcentu bowiem mogę się zorientować, że jest pan człowiekiem wykształconym. Którego niewolnika życzyłby pan sobie?

- Tego, którego niedawno kupił pan od Fasimby, Należy do mnie. - Jason zaprzestał językowego kamuflażu i jeszcze bardziej czujny obrzucił krótkim spojrzeniem okoliczne piaski. Ten stary, zasuszony pelikan był o wiele bystrzejszy, niż na to wyglądał i Jason wolał mieć się na baczności.

- Czy to wszystko, czego pan sobie życzył - zapytał Edipon.

- To wszystko, co mi na razie przychodzi do głowy. Proszę mi dać tego niewolnika, a potem być może porozmawiamy o innych interesach.

Śmiech Edipona brzmiał dość paskudnie i, Jason odskoczył gwałtownie, gdy staruch włożył dwa palce do ust i gwizdnął przeraźliwie. DinAlt słysząc szelest przesypywanego piasku obrócił się gwałtownie i zobaczył, jak w pozornie pustym miejscu pojawiają się ludzie, odsuwając drewniane pokrywy, zamaskowane wyrównaną warstwą piachu. Było ich sześciu, a każdy miał maczugę i tarczę. Jason przeklął swą głupotę, która kazała mu spotkać się z Ediponem w miejscu wybranym przez tamtego. Machnął maczugą za siebie, ale staruch już zwiewał pod osłonę skały. Jason ryknął z wściekłością i ruszył w stronę najbliższego mężczyzny, który do połowy wylazł już ze swej kryjówki. Człowiek ten wychwycił cios Jasona na wzniesioną tarczę, ale siła uderzenia była tak wielka, że wleciał z powrotem do dziury. Jason zaczął biec, ale pojawił się przed nim następny przeciwnik wymachujący swą maczugą. Nie sposób było go wyminąć, więc dinAlt runął na niego z pełną szybkością i przy akompaniamencie grzechotu wszystkich przewieszonych na nim kłów i pazurów. Zaatakowany mężczyzna cofnął się, a Jason celnym ciosem rozwalił mu tarczę. Zapewne nie skończyłoby się na tym, gdyby, nie nadbiegli pozostali, zmuszając Jasona do stawienia im czoła.

Walka, która się wywiązała, była krótka i zacięta. Dwóch atakujących leżało już na ziemi, a trzeci trzymał się za rozbitą głowę, gdy wreszcie pozostali korzystając z liczebnej przewagi zdołali przewrócić Jasona. Wezwał niewolników na pomoc, a potem zaczął ich przeklinać widząc, że siedzą spokojnie na ziemi przyglądając się, jak wiąza mu ręce sznurem i obdzierają z broni. Jeden z jego pogromców machnął na niewolników, ci zaś pokornie ruszyli w stronę pustyni. Klnącego w niebogłoso Jasona powleczono w tym samym kierunku.

W skierowanej w stronę pustyni części muru było szerokie przejście i gdy tylko Jason je przekroczył,

poczuł, jak jego gniew natychmiast znika. Stało tam jedno z *caroj*, o których opowiadała mu Ijale, nie miał co do tego najmniejszej wątpliwości. Teraz mógł zrozumieć, dlaczego dziewczyna nie mogła ustalić, czy owa rzecz była zwierzęciem, czy też nie. Pojazd miał przynajmniej dziesięć metrów długości i w ogólnych zarysach przypominał łódkę. Na jego dziobie osadzono wielki, niewątpliwie sztuczny łeb zwierzęcy pokryty futrem i ozdobiony rzędami wyrzeźbionych zębów oraz połyskującymi oczyma z kryształu. Dodatkowy kamuflaż pod postacią skór i niezbyt realistycznie wykonanych nóg nie byłby w stanie zmylić średnio inteligentnego sześciolatka z jakiejś cywilizowanej planety. Zamaskowanie takie mogło być czymś przekonującym dla prymitywnych dzikusów, ale wspomniany sześciolatek natychmiast zorientowałby się, że jest to jakiś wehikuł, widząc pod spodem sześć wielkich kół. Były zaopatrzone w głębokie nacięcia i pokryte jakąś gumopodobną substancją. Jason nie mógł dostrzec żadnego silnika, ale nieomal zapał z radości czując charakterystyczny zapach spalonego paliwa. Ta prymitywna konstrukcja miała jakąś sztuczną siłę napędową, która mogła być zarówno rezultatem miejscowej rewolucji technicznej, jak i zakupu od międzyplanetarnych handlarzy. Każda z tych ewentualności stanowiła szansę ucieczki z tej bezimiennej planety.

Niewolnicy, niektórzy skuleni ze strachu przed nieznanym, zostali zapędzeni kopniakami na trap, a potem na *caro*. Czterech osiłków, którzy pokonali i związali Jasona, wniosło go i rzuciło na pokład. Leżał tam spokojnie i przyglądał się wszystkim widocznym szczegółom pojazdu pustyni. Na dziobie sterczał shi-

pek i jeden z mężczyzn przymocował do jego kwadratowego wierzchołka rzecz, która była niewątpliwie czymś w rodzaju rumpla. Skoro sterowano za pomocą przedniej pary kół tej maszyny, to napęd musiał być doprowadzony do tylnych i Jason turlał się po pokładzie aż do chwili, gdy mógł popatrzeć w stronę rufy. Umieszczona tam nadbudówka ciągnęła się od jednej burty do drugiej. Nie miała wcale okien, a pojedyncze, głęboko wpuszczone we framugę drzwi zaopatrzone były w bogaty zestaw zaników i rygli. Widok czarnego metalowego komina wychodzącego przez dach nadbudówki pozwalał odrzucić jakiegokolwiek wątpliwości, czy jest to istotnie maszynownia pojazdu.

- Odjeżdżamy - wrzasnął Edipon, machając w powietrzu chudymi rękami. - Podnieść kładkę. Narsisi, idź naprzód i wskazuj *car o* drogę. A teraz niech wszyscy modlą się, podczas gdy ja zbliżę się do ołtarza i będę błagał święte moce, żeby zawiozły nas do Putl'ko. - Ruszył w stronę nadbudówki i nagle zatrzymał się wskazując jednego z osiłków. - Erebo, ty leniwy sukinsynu, czy pamiętałeś tym razem o napełnieniu wodą czaszy bogów, by nie cierpieli pragnienia?

- Napełniłem ją, napełniłem - mruknął Erebo, przeżuując zrabowane *kreno*.

Po tych przygotowaniach Edipon podszedł do drzwi i zaciągnął za sobą zasłonę. Długo rozlegało się pobrząkiwanie i zgrzyt otwieranych zamków oraz rygli, aż wreszcie wszedł do środka. Po paru minutach z komina wydobyła się czarna chmura tłustego dymu i zniknęła, porwana wiatrem. Minęła prawie godzina, zanim święte moce były gotowe do drogi i oznajmiły to wyjąć i wyrzucając w powietrze białą parę swego oddechu. Czterech niewolników również wrzasnęło i zemdlało, pozostali zaś wyglądali tak, jakby zazdrościli martwym.

Jason miał już niejakie doświadczenie z prymitywnymi maszynami i gwizd wydobywający się z zaworu bezpieczeństwa niezbyt go zaskoczył. Był również duchowo przygotowany na chwilę, w której pojazd drgnął i powoli zaczął się toczyć po pustyni. Sądząc z ilości dymu buchającego z komina i pary, jaka wydobywała się spod rufy wehikułu, współczynnik pracy użytecznej maszyny nie był zbyt wysoki, ale choć prymitywna, poruszała *caro*. W wolnym, ale równomiernym tempie, pojazd wiozł ładunek i pasażerów przez piaski pustyni.

Wśród niewolników rozległy się nowe wrzaski i kilku usiłowało wyskoczyć za burtę. Ogłuszono ich maczugami. Owinięci w szaty *d'zertanoj* wędrowali wzdłuż szeregów swych jeńców i wlewali im w gardła jakiś ciemny płyn. Niektórzy niewolnicy leżeli już bezwładnie, nieprzytomni lub martwi. Jason sądził, że raczej nieprzytomni, jakież bowiem sens mogło mieć ich zabicie po tym, jak *d'zertanoj* przebyli taki kawał drogi, by ich pojmać. Wierzył w to niewzruszenie, ale przerażeni niewolnicy nie mogli szukać w tej filozofii pociechy i walczyli, myśląc, że walczą o życie.

Gdy nadeszła kolej na Jasona, mimo swych przekonań, nie poddał się z pokorą i udało mu się pogryźć parę palców i kopnąć jednego z mężczyzn w żołądek, zanim usiedli na nim, zacisnęli mu nos i wiali miarkę palącego płynu prosto do gardła. Bolało go, czuł zawrót głowy i usiłował zmusić się do wymiotów, ale była to ostatnia rzecz jaką zapamiętał.

Rozdział 7

- Wypij jeszcze trochę - powiedział głos. Zimna woda pociekła po jego twarzy, a trochę popłynęło mu do gardła. Zakrztusił się i rozkaszał. Coś twardego wbijało mu się w plecy, bolały go nadgarstki. Powoli zaczął sobie przypominać - walka, pojmanie, płyn, który w niego wiano. Gdy otworzył oczy, zobaczył zawieszoną na łańcuchu migoczącą żółto lampę. Mrugnął i usiłował wykrzesać z siebie dość sił, by usiąść. Światło przesłoniła mu znajoma twarz, na której widok Jason przymknął oczy i jęknął.

- Czy to ty, Mikah, czy może dalsza część koszmaru?

- Od sprawiedliwości nie ma ucieczki, Jasonie. To ja i mam pod twoim adresem kilka zasadniczych pytań.

- To rzeczywiście ty -jęknął Jason. - Nawet w najgorszym koszmarze nie odważyłbym się wymyślić takiego tekstu. Ale zanim odpowiem na pytania, może powiedziałbyś mi to i owo o lokalnych układach? Powinieneś coś wiedzieć, przecież jesteś niewolnikiem *d'zertan*o*j* dłużej niż ja. - Jason zorientował się, że ból nadgarstków jest spowodowany ciężkimi żelaznymi kajdankami. Przewleczono przez nie łańcuch, którego koniec był przymocowany do grubej belki stanowiącej obecnie oparcie jego głowy. - Po co łańcuchy? I co możesz mi powiedzieć o tutejszej gościnności?

Mikah oparł się prośbie o jakiegokolwiek istotne informacje i nieubłaganie powrócił do swych własnych problemów.

- Kiedy widziałem cię po raz ostatni, byłeś niewolnikiem Ch'aki, a tej nocy kiedy zostałeś tu przywleczony razem z innymi i przykuty do belki, byłeś nieprzytomny. Miejsce koło mnie właśnie się zwolniło i powiedziałem im, że zaopiekuję się tobą, jeżeli cię tu umieszczą. Zrobili to. A teraz chciałbym, żebyś mi wyjaśnił jedną sprawę. Zanim cię rozebrali, miałeś na sobie pancerz i hełm Ch'aki. Gdzie jest Ch'aka, co się z nim stało?

- Ja Ch'aka - wykrztusił Jason i rozkaszał się. Gardło miał zupełnie wysuszone. Wypił duży łyk wody z miski. - Widzę, że jesteś w bardzo mściwym nastroju, stary oszuście. A co z nadstawianiem drugiego policzka, he? Nie powiesz mi przecież, że mógłbyś nienawidzić człowieka tylko dlatego, że palnął cię w głowę, rozwalił ci czerep i sprzedał jako odrzut z targu niewolników. W przypadku, gdybyś ciągle jeszcze dręczył się wyrządzoną ci krzywdą, możesz się radować, bowiem złego Ch'aki już nie ma. Leży pogrzebany w pustkowiu i po rozpatrzeniu wszystkich kandydatów, ja dostałem jego posadę.

- Zabiłeś go?

- Prawdę mówiąc - tak. I nie myśl, że przyszło mi to łatwo, bo miał wszystkie atuty, podczas gdy ja dysponowałem jedynie moją wrodzoną pomysłowością, która, jak się okazało, na szczęście wystarczyła. Przez jakiś czas sytuacja była krytyczna, bo kiedy chciałem go zamordować w czasie, gdy spał...

- ,Coo? - przerwał mu Mikah.

- No, załatwić go w nocy. Nie sądzisz chyba, że ktoś przy zdrowych zmysłach chciałby stanąć do walki z takim potworem twarzą w twarz, co? Ostatecznie tak się właśnie skończyło, bo miał kilka zgrabnych gadżetów do ostrzegania go przed nocnymi gośćmi. Krótko mówiąc, walczyliśmy, wygrałem i zostałem Ch'aką, choć moje panowanie nie było ani długie, ani szczęśliwe. Dotarłem w ślad za tobą aż na pustynię, a tam wpadłem w pułapkę zgrabnie zastawioną przez starego cwaniaka o imieniu Edipon, który znowu zdegradował mnie do rangi niewolnika i za jednym zamachem zabrał mi również moich podwładnych. I to już cała moja historia. A teraz opowiedz mi swoją - gdzie się znajdujemy, co tu się dzieje...

- Morderco! Posiadacz niewolników! - Mikah odsunął się najdalej jak mu pozwalał łańcuch i palcem oskarżycielsko wskazał Jasona. - Jeszcze dwie zbrodnie należy dodać do twego haniebnego spisu. Czuję do siebie obrzydzenie, Jasonie, iż kiedykolwiek mogłem czuć do ciebie sympatię i próbowałem ci pomóc. Dalej będę ci pomagał, ale jedynie po to, by dostarczyć cię na Cassylię, a tam zaprowadzić przed sąd i na szafot!

- Podoba mi się wykładnia twojej uczciwości i bezstronnej sprawiedliwości - sąd i szafot. - Jason ponownie się rozkaszał i wypił do końca wodę z miski. - Czy kiedykolwiek słyszałeś o zasadzie presumpcji niewinności? Że oskarżonego uważa się za niewinnego, dopóki nie dowiedzie mu się przestępstwa? Tak się składa, że jest to kamień węgielny całego porządku prawnego. I w jaki sposób uzasadniłbyś wytoczenie mi procesu na Cassylii za czyny, które popełniłem na tej planecie, czyny, które tu wcale nie są uważane za przestępstwo? To tak, jakbyś zabrał kanibala z jego plemienia i skazał za ludożerstwo.

- I co w tym złego? Pożeranie ludzkiego mięsa jest zbrodnią tak obrzydliwą, że wzdragam się na samą myśl o niej. Oczywiście, że człowiek, który dopuścił się tego, musi zostać skazany na śmierć.

- Gdyby zakradł się tylnymi drzwiami i wrąbał kogoś z twojej rodziny, miałbyś niewątpliwie powody do wszczęcia postępowania. Ale na pewno nie dlatego, że w otoczeniu swego

czcigodnego szczepu skonsumował soczystą pieczeń z ludziny. Czy nie dostrzegasz jednego, kluczowego zagadnienia? Tego, że ludzkie zachowanie może być ocenione jedynie w relacji z otoczeniem tego człowieka? Zachowanie jest pojęciem względnym. Kanibal w swojej społeczności jest równie moralny, jak przykładowy parafianin w twpjej.

- Błóżnierco! Zbrodnia jest zbrodnią! Są prawa moralne, które odnoszą się do całej ludzkości!

- O, co to, to nie. To właśnie jest ów punkt, w którym załamuje się twoja średniowieczna moralność. Wszystkie prawa i idee są historyczne i względne, nie zaś absolutne. Odnoszą się do określonego czasu i miejsca, natomiast wyrwane z kontekstu tracą całe swe znaczenie. W tym zapluskwionym społeczeństwie działałem w sposób jak najbardziej uczciwy i prostolinijny.

Próbowałem zamordować swego pana, bo jest to jedyny sposób awansowania w tym okrutnym świecie i niewątpliwie Ch'aka tak samo doszedł do swej pozycji. Zabójstwo się nie udało, ale walkę wygrałem i rezultaty były te same. Gdy miałem już władzę, starałem się dbać o swych niewolników, choć oczywiście nie doceniali tego, bo wcale nie zależało im na tym, by ktoś się o nich prawdziwie troszczył. Chcieli tylko mojej posady i takie jest prawo tej ziemi. Jedynym moim rzeczywistym wykroczeniem było to, że nie spełniłem należycie moich obowiązków posiadacza niewolników i nie maszerowałem z nimi tam i z powrotem po plaży do skończenia świata. Zamiast tego poszedłem cię szukać, zostałem schwytyany w pułapkę i ponownie zostałem niewolnikiem, co mi się słusznie za moją głupotę należało.

Drzwi otwały się z trzaskiem i ostre światło słoneczne wdarło się do pozbawionego okien pomieszczenia.

- Wstawać, niewolnicy! wrzasnął *d'zertano* przez otwarte drzwi.

Chór jęków i postękiwań towarzyszył pobudce. Jason mógł wreszcie zobaczyć, że jest jednym z dwudziestu niewolników przykutych do długiej belki wyciosanej najwidoczniej z pnia pokaźnego drzewa. Człowiek przykuty do samego jej końca był najwidoczniej kimś w rodzaju przywódcy, obrzucał bowiem wszystkich klątwami i starał się ich rozruszać. Gdy niewolnicy wstali, bohaterskim tonem zaczął rzucać rozkazy.

- Ruszać się, ruszać! Najpierw będzie wspaniałe żarcie. Nie zapominajcie o swoich miskach. Odlóżcie je tak, żeby nie spadły. Pamiętajcie, nie dostaniecie nic do jedzenia i picia, jeżeli nie będziecie mieć miski. Pracujemy dziś wspólnie i niech każdy się przyłoży, to jedyny sposób. To dotyczy wszystkich, a zwłaszcza nowych. J Dajcie panom dzień porządnej pracy, a oni dadzą wam jeść... '

- Zamknij się! - wrzasnął któryś.

- ... i nie możecie mieć o to pretensji - ciągnął dalej mówca, zupełnie nie zmieszany.

- A teraz razem... i raz... schylić się i objąć belkę, schwycić ją dobrze... i dwa... unieść ją z ziemi, o tak. I trzy... wstać i wychodzimy.

Wdreptali na światło słoneczne i zimny wiatr poranka przebił się przez pyrrusański kombinezon i pozostałości skórzanej odzieży Ch'aki, którą pozwolono Jasonowi zatrzymać. Jego pogromcy zerwali mu pazury przymocowane do obuwia Ch'aki, ale nie zainteresowali się skórzanymi owijaczami, dzięki czemu nie znaleźli butów. Był to jedyny jaśniejszy punkt w tym paśmie najczarniejszych nieszczęść. Jason próbował być wdzięczny za drobne dobrodziejstwa, ale stać go było jedynie na dygotanie z zimna. Tę sytuację należało zmienić jak najszybciej. W końcu odsłużył już swój staż niewolnika na tej zapyziałej planecie, a niewątpliwie był stworzony do godniejszych zadań.

Niewolnicy na rozkaz oparli swą belkę o ogrodzenie podwórza i usiedli na niej. W wyciągnięte miski inny niewolnik wlewał po chochli letniej zupy, nabieranej z kotła na kółkach. Apetyt Jasona natychmiast się ulotnił, gdy spróbował tej brei. Była to zupa z *krenoj* i okazało się, iż pustynne bulwy smakują po ugotowaniu jeszcze gorzej, choć nie sądził, że jest to w ogóle możliwe. Jednak kwestia przeżycia była ważniejsza od rozkoszy podniebienia i udało mu się zjeść tę koszmarną polewkę do końca.

Po zakończeniu śniadania przeszli przez bramę na inne podwórze i zafascynowany nowym

widokiem Jason zapomniał o wszelkich innych problemach.

Na środku widniał wielki kierat, do którego pierwsza grupa niewolników mocowała już swoją belkę. Grupa Jasona i dwie inne przywlokły się na swe miejsca i osadziły belki, tworząc jakby cztery sprychy koła, zbiegające się na kieracie. Nadzorca krzyknął i niewolnicy stękając napaarli na belki. Drgnęły i zaczęły się obracać

Podczas tej żmudnej pracy Jason całą swą uwagę skupił na poruszonym przez nich prymitywnym mechanizmie. Pionowy wał prowadzący od kieratu obracał skrzypiące drewniane koło, które z kolei wprawiało w ruch cały szereg skórzanych pasów. Niektóre z nich znikwały w wielkim, kamiennym budynku, najgrubszy zaś napędzał wahacz czegoś, co mogło być jedynie pompą z przeciwcieżarami. Musiał to być wyjątkowo mało wydajny sposób zdobywania wody, gdyż w okolicy zapewne istniało wiele naturalnych źródeł, rzek czy jezior. Ostry zapach wypełniający podwórze był cholernie dobrze znajomy i Jason właśnie doszedł do wniosku, że ich praca nie ma na celu pompowania wody, gdy z rury dobiegało gardłowe bulgotanie i trysnął z niej gęsty, czarny strumień.

- Oczywiście, ropa naftowa - powiedział głośno. Kiedy jednak nadzorca spojrzał na niego brzydki i strzelił z bata, bez reszty poświęcił się pchaniu belki.

To właśnie była tajemnica *d'zertanoj* i źródło ich potęgi. Ponad murami piętrzyły się wzgórza, a niedaleko widać było góry. Ale schwytych niewolników usypiano, dzięki czemu nie wiedzieli ani gdzie znajdo-

wało się ukryte miejsce, ani ile czasu trwała podróż. Tu, w tej strzeżonej dolinie wydobywali nieoczyszczoną ropę, której ich panowie używali, by wprawiać w ruch swe wielkie pojazdy pustynne. Czy rzeczywiście używali nieoczyszczonej ropy? Płynęła teraz silnym strumieniem w otwartym korycie i znikła za ścianą tego samego budynku, co pasy transmisyjne. Jakie diabelstwo się tam działo? Budynek był zwieńczony wielkim kominem, z którego wydobywały się chmury czarnego dymu, podczas gdy z rozmaitych otworów w murze wydobywał się smród tak przeraźliwy, że głowa puchła.

W chwili gdy Jason zrozumiał, co się tam dzieje, otworzyły się strzeżone drzwi i zjawił się w nich Edipon wydmuchujący swój imponujący nos w kawałek szmatki. Trzeszczące koło się obróciło i gdy Jason ponownie znalazł się koło *d'zertano*, zawołał do niego:

- Hej, Ediponie, zbliż się. Chcę z tobą pomówić. Jestem dawnym Ch'aką, jeżeli mnie nie poznasz bez mojego mundurka.

Edipon popatrzył na niego i odwrócił się plecami, wycierając nos. Nie uległo żadnej wątpliwości, że niewolnicy zupełnie go nie interesują, bez względu na to jaką pozycję zajmowali przed swym upadkiem. Nadbiegł z wrzaskiem nadzorca unosząc bat, a powolny obrót koła zaczął oddalać Jasona od Edipona. DinAlt zawołał przez ramię:

- Słuchaj... wiem bardzo dużo i mogę ci pomóc. W odpowiedzi zobaczył tylko plecy *d'zertano*, a bat ze świstem opadł w dół.

Był to ostatni dzwonek. - Lepiej mnie wysłuchaj... bo wiem, że to co otrzymujesz pierwsze, jest najlepsze. Auu! - Ten ostatni okrzyk był zupełnie mimowolny. Po prostu bat trafił.

Słowa Jasona były zupełnie niezrozumiałe zarówno dla niewolników, jak i dla nadzorcy, który unosił już bat do następnego uderzenia, ale na Edipona podziały tak, jakby nastąpił na rozżarzony węgiel. :- Zatrzymał się jak wryty i obrócił gwałtownie. Nawet z tej odległości Jason mógł zobaczyć, że jego smągła • twarz zszarzała na popiół.

- Zatrzymać koło! - wrzasnął Edipon.

Ten nieoczekiwany rozkaz zdziwił i zwrócił uwagę wszystkich. Nadzorca rozdziawiwszy szeroko usta opuścił bat, podczas gdy niewolnicy, potykając się, zapaarli się nogami. Koło zamarło z piskiem. W zapad-; tej nagle ciszy głośno zadudniły kroki Edipona. Podbiegł do Jasona, zatrzymując się o krok przed nim. Ściągnięte wargi obnażyły zęby, jakby szykował się do gryzienia.

- Coś ty powiedział? - krzyknął do Jasona, na wpół wyciągając nóż zza pasa.

Jason uśmiechnął się, zachowywał się o wiele

1 spokojniej, niż czuł się w istocie. Jego pocisk trafił, ale

jeżeli nie będzie działał wyjątkowo ostrożnie, nóż Edipona ugodzi równie celnie - w jego brzuch. Był to najwidoczniej nader delikatny temat dla *d'zertanoj*.

- Słyszałeś, co powiedziałem i chyba nie chcesz, żebym to powtarzał przy wszystkich. Wiem, co się tam dzieje, bo pochodzę z dalekiego miejsca, gdzie robimy takie rzeczy przez cały czas. Mogę ci pomóc. Pokażę ci, jak uzyskać więcej najlepszego i jak sprawić, by twoje *córo* lepiej działało. Tylko spróbuj. Ale najpierw

odczep mnie od tej belki i chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli w spokoju pogadać.

To, o czym myślał Edipon, było oczywiste. Przygryzł wargę, patrzył płonąącym wzrokiem na Jasona i sprawdzał palcem ostrze noża. Jason zaś patrzył na niego z niewinnym uśmiechem i bębnił radośnie palcami po belce, sprawiając wrażenie, że tylko czeka na uwolnienie. Ale mimo panującego chłodu czuł, jak po grzbiecie spływa mu zimny strumyk potu. Postawił wszystko na inteligencję Edipona, wierząc, że jego ciekawość przewycięży początkowe pragnienie uciszenia niewolnika, który wie zbyt wiele o sprawach okrytych tak wielką tajemnicą. Miał nadzieję, że Edipon pamięta, że niewolnika można zabić w każdej chwili i że niczym nie ryzykuje zadając parę pytań. Ciekawość zwyciężyła, nóż powędrował znowu do pochwy, a Jason odetchnął z ulgą. To było duże ryzyko, nawet dla zawodowego gracza. Jego własne życie na szali, to zbyt wysoka stawka jak na jego wymagania.

- Uwolnijcie go i przyprowadźcie do mnie - rozkazał Edipon i odmaszerował, podniecony. Pozostali niewolnicy patrzyli szeroko rozwartymi oczyma jak przybiegł kowal i przy akompaniamencie wykrzykiwanych rozkazów, w wielkim zamieszaniu odczepił łańcuch Jasona od belki.

- Co robisz? - zapytał Mikah i jeden ze strażników celnym ciosem powalił go na ziemię. Jason uśmiechnął się tylko, przykładając palec do warg, gdy odprowadzano go do kieratu. Pozbył się więzów i sytuacja ta się nie zmieni, jeżeli uda mu się przekonać Edipona, że może być bardziej przyteczny w innej roli niż siła pociągowa.

Komnata, do której go wprowadzono miała pierwsze elementy dekoracyjne, jakie udało mu się dostrzec na tej planecie. Meble były starannie wykonane, tu i ówdzie ozdabiała je rzeźby, a łóżce było przykryte tkanym kilimem. Edipon stał przy stole, bębniąc nerwowo palcami po ciemnym, wypolerowanym blacie.

- Przymocujcie go - rozkazał strażnikom, którzy posłusznie przyczepili łańcuch Jasona do solidnego kółka wmurowanego w ścianę. Gdy tylko strażnicy odeszli, Edipon stanął przed Jasonem i wyciągnął nóż.

- Powiedz mi wszystko, co wiesz, albo umrzesz natychmiast!

- Moja przeszłość jest otwartą księgą dla ciebie, Ediponie. Przybyłem z kraju, w którym wiemy wszystko o tajemnicach przyrody.

- Jak się ten kraj nazywa? Jesteś szpiegiem z Ap-psali?

- Nie mogę nim być, nigdy bowiem o takim miejscu nie słyszałem - odparł Jason, zastanawiając się, czy może liczyć na inteligencję Edipona i do jakiego stopnia może pozwolić sobie na szczerość. Nie było czasu na wplątywanie się w bujdy o tutejszej geografii i najlepiej będzie, jeżeli spróbuje zaaplikować mu małą porcję prawdy.

- Czy uwierzyłbyś mi, gdybym ci powiedział, że przybyłem z innej planety, innego świata znajdującego się wśród gwiazd?

- Być może. Istnieje wiele starych legend, które mówią, że nasi praojcowie przybyli ze świata znajdującego się po drugiej stronie nieba, ale zawsze uważałem je za religijne bajki, zdatne jedynie dla kobiet.

- Cóż, w tym przypadku dziewczyny miały rację. Wasza planeta została zasiedlona przez ludzi, którzy przebyli pustkę przestrzeni tak, jak twoje *caro* pokonuje pustynię. Wasz naród zapomniał o tym, utracił wiedzę, którą kiedyś posiadał, ale na innych planetach wiedza ta jest do tej pory znana.

- Szaleństwo!

- Wcale nie. To wszystko jest nauką, choć niekiedy istotnie myli się ją z szaleństwem. Udowodnię ci to. Wiesz, że nigdy nie mogłem znaleźć się w środku twego tajemniczego budynku i sądzę, że możesz być zupełnie pewny, że nikt nie zdradził mi jego sekretów. Ale mogę się założyć, że dość dokładnie opiszę ci, co znajduje się w środku - nie widząc tych urządzeń, lecz jedynie wiedząc, co trzeba zrobić, by otrzymać to, czego potrzebujesz. Chcesz usłyszeć?

- Mów - odparł Edipon siadając z nożem w dłoni na krawędzi stołu.

- Nie wiem, jak nazywacie to urządzenie, ale normalnie mówi się, że jest to kocioł do destylacji frakcyjnej. Ropa naftowa jest gromadzona w czymś w rodzaju zbiornika, a stamtąd przelewasz ją do retorty, takiego dużego naczynia, które możesz zamknąć hermetycznie. Gdy już to zrobisz, zapalasz pod nim ogień i próbujesz nagrzać ropę do jednakowej temperatury. Z ropy wydobywają się gazy, które wychodzą rurą i przepuszczasz je przez kondensator, najprawdopodobniej dodatkową rurą ochładzaną wodą. Potem podstawiasz kubełek pod otwór rury, a z niej kapie soczek, który pali się *w car o j* i wprawia je w ruch.

Oczy Edipona otwierały się coraz szerzej, nieomal wylażąc na wierzch, w miarę jak Jason mówił.

- Demonie! - wrzasnął i skoczył z wzniesionym nożem. Nie mogłeś tego zobaczyć przez kamienną ścianę. Tylko moja rodzina wiedziała, przysięgam!

- Uspokój się. Mówiłem ci, że od lat robimy to w mojej ojczyźnie. - Przeniósł cały ciężar ciała na jedną nogę?, gotów kopnąć rękę z nożem w przypadku, gdyby nerwy starucha nie wytrzymały napięcia. - Nie mam wcale zamiaru wykraść ci twoich tajemnic. W gruncie rzeczy, to małe piwo w porównaniu z tym, co robimy tam, skąd pochodzę. Tam każdy wieśniak ma aparat destylacyjny, w którym pędzi swój bimber i dzięki temu oszczędza na podatkach. Mogę ci powiedzieć w ciemno, że na pewno zdołam dokonać u ciebie paru ulepszeń. W jaki sposób sprawdzasz temperaturę cieczy w retorcie? Masz termometry?

- A co to takiego, termometr? - spytał Edipon. Rozkosze technicznej dyskusji sprawiły, że na chwilę zapomniał o nożu.

- Tak właśnie sądziłem. Widzę sposób, żeby uzyskać wielki skok jakościowy twojej produkcji, pod warunkiem, że znajdziesz kogoś, kto umie wydmuchiwać proste przedmioty ze szkła. Zresztą, może łatwiej będzie posłużyć się zwiniętym paskiem bimetalicznym. Próbujesz wygotować z ropy różne jej frakcje, ale jeżeli nie uda ci się utrzymać równej, kontrolowanej temperatury, powstają zanieczyszczenia. To, czego ci potrzeba do poruszania silników jest frakcją najbardziej lotną, płynami, które pierwsze się wygotowują, takimi jak gazolina i benzyna. Potem podnosisz temperaturę i zbierasz naftę do lamp oświetleniowych, i tak dalej, aż do momentu, kiedy pozostaje smoła asfaltowa do sporządzania nawierzchni dróg. No, jak ci się to podoba?

Edipon opanował się całą siłą woli, ale drgający na policzku mięsień zdradzał szalejące w jego duszy emocje.

- To, o czym mówiłeś, jest prawdą, choć w niektórych drobnych szczegółach się pomyliłeś. Ale nie jestem zainteresowany twoimi termometrami ani ulepszeniem naszej wody mocy. Od wieków była wystarczająco dobra dla mej rodziny i jest wystarczająco dobra dla mnie.

- Przypuszczam, że uważasz ten tekst za oryginalny?

- Jest jednak coś, co mógłbyś zrobić i za co zostałbyś sownie wynagrodzony - ciągnął dalej Edipon. - Jesteśmy hojni, gdy zachodzi potrzeba. Widziałeś nasze *caroj* i jechałeś jednym z nich. Widziałeś, jak szedłem do ołtarza, by pobudzić poruszające *caro* święte moce. Czy możesz mi powiedzieć, jakie moce poruszają *carofl*

Mam nadzieję, Ediponie, że to ostatni egzamin, gdyż moje umiejętności ekstrapolacji też mają swoje granice. Jeżeli damy sobie spokój z "ołtarzami" i "świętymi mocami", to powiedziałbym, że poszedłeś do maszynowni, żeby pracować, a nie, by się modlić. Może istnieje kilka sposobów napędzania takich pojazdów, ale pomyślmy, jaki byłby najprostszy. Biorę to wszystko z głowy, proszę więc, żeby nie było żadnych punktów karnych, jeżeli pominię jakiś drobiazg. Silnik spalinowy odpada. Wątpię, czy dysponujecie odpowiednią technologią, a poza tym było zbyt wiele gadania na temat zbiornika z wodą i potrzebowałeś prawie godziny, zanim mogłeś ruszyć. Wygląda na to, że jest to coś związanego z parą - wentyl bezpieczeństwa! Zapomniałem o nim! A więc to para. Wchodzisz, zamykasz oczywiście drzwi, potem otwierasz kilka zaworów, żeby

paliwo skapywało do paleniska i zapalasz. Może masz wskaźnik ciśnienia, a może po prostu czekasz, aż wentyl bezpieczeństwa da ci znak, że masz odpowiednie ciśnienie pary. To może być dość niebezpieczne, bo jeżeli wentyl się zatnie, to wszystko polecą w diabły. Kiedy masz już parę, odkręcasz zawór, żeby wpuścić parę do tłoków i ruszasz. Potem cieszysz się przejażdżką, oczywiście pilnując, by woda dopływała do kotła, żeby ciśnienie pary było odpowiednie, ogień był wystarczająco gorący, łożyska naoliwione i...

Jason spojrział oszołomiony na Edipona, który zakasał swą szatę powyżej kolan i odtańczył jakiś taniec wokół pokoju. Podskakując z podniecenia, wbił nóż w blat stołu, podbiegł do Jasona, schwycił za ramiona i potrząsnął nim tak, że aż łańcuchy zabrzęczały.

- Wiesz, co zrobiłeś? - zapytał podekscytowany. - Wiesz, co powiedziałeś?

- Oczywiście, że wiem. Czy to znaczy, że zdałem egzamin i wysłuchasz mnie wreszcie? Miałem rację?

- Nie wiem, czy miałaś rację, czy nie, nigdy nie widziałem, co te diabelskie pudła z Appsałi mają w środku. - Znowu odtańczył swój taniec. - Wiesz więcej o tym - jak go nazwałeś? - silniku niż ja.

Spędziłem całe swe życie doglądając go i przeklinając Appsałańczyków, którzy ukryli przed nami swój sekret. Ale ty nam go wyjawisz! Będziemy budować swoje własne silniki i jeżeli będą chcieli od nas wodę mocy, zapłacą za nią drogo.

- Czy mógłbyś wyrażać się nieco jaśniej? - zapytał Jason. - Jak żyję, nie słyszałem jeszcze niczego równie poplątanego.

- Pokażę ci, człowieku z odległego świata, a ty odsłonisz nam appsałańskie tajemnice. Widzę nadchodzące nowe czasy dla Putl'ko.

Otworzył drzwi i zawołał strażników oraz swego syna, Narsisiego. Narsisi przybył, gdy Jasona odczepiono od kółka. DinAlt natychmiast poznał, że jest to ów zaspany, z wiecznie spuszczonej oczyma *d'zerta-no*, który pomagał Ediponowi prowadzić ów niezgrabny wehikuł.

- Chwyć ten łańcuch, mój synu, i trzymaj swą palkę w pogotowiu. Jeżeli ten niewolnik spróbuje uciec, zabij go. Jeżeli nie uczyni tego, nie wyrządź mu krzywdy, jest on bowiem wielce cenny. Chodźmy.

Narsisi pociągnął za łańcuch, ale Jason zapał się obcasami i ani drgnął. Zdziwieni spojrzeli na niego.

- Jeszcze parę spraw, zanim pójdziemy. Człowiek, który ma rozpocząć nowe czasy dla Putl'ko nie jest niewolnikiem. Wyjaśnijmy to sobie, zanim zabierzemy się do innych spraw. Wymyślimy coś w sprawie łańcuchów i strażników, żeby nie mógł uciec, ale niewolnictwo odpada.

- Ale przecież nie jesteś jednym z nas, a skoro tak, to musisz być niewolnikiem.

Właśnie uzupełniłem wasz porządek społeczny

o trzecią kategorię - pracownika. Wprawdzie niechętnie, ale jestem twoim pracownikiem, wykwalifikowanym robotnikiem i chcę, by mnie w taki właśnie sposób traktowano. Sam pomyśl. Zabijesz niewolnika i co utracisz? Niewiele, bo w komórce masz następnego, którego możesz postawić na miejsce zabitego. A jak mnie zabijesz, to co będziesz miał? Trochę mózgu na maczudze i żadnego pożytku.

- Czy to znaczy, że nie mogę go zabić? - zapytał ojca Narsisi z równie zaskoczoną, co zaspaną miną.

- Nie, nie o to mu chodzi - odparł Edipon. - Chce przez to powiedzieć, że jeżeli go zabijemy, nikt inny nie wykona dla nas tej pracy, co on. Ale mi się to nie podoba. Są tylko niewolnicy i ich panowie! Wszystko inne przeciwne jest naturalnemu porządkowi rzeczy. Ale złapał nas między *satano* a burzą piaskową, musimy mu więc pozwolić na nieco swobody. A teraz zaprowadźcie niewolnika - miałem na myśli pracownika - i zobaczymy czy zdoła uczynić to, co nam obiecał. Jeżeli nie zrobi tego, sam go z przyjemnością zabiję, bo nie lubię rewolucyjnych pomysłów. Przeszli gęsiego do zamkniętego i strzeżonego budynku. Gdy otwarto jego olbrzymie drzwi, przed ich oczyma pojawiły się masywne kształty siedmiu *caroj*.

- Spójrzcie na nie! - zawołał Edipon, chwytając się za nos. - Najwspanialsze i najpiękniejsze maszyny, które przejmują strachem serca naszych wrogów, niosą nas gładko przez piaski pustyni, dźwigają na swych grzbietach wielkie ciężary i tylko trzy z tych przeklętych rzeczy mogą się

poruszać.

- Problemy z silnikami? - zapytał Jason lekkim tonem.

Edipon zaklął pod nosem i poprowadził wszystkich na wewnętrzny podwórzec, gdzie stały cztery olbrzymie, czarne pudła pokryte wymalowanymi trupimi czaszkami, kośćmi, fontannami krwi i groźnie wyglądającymi znakami kabalistycznymi.

- Te appsalańskie świny biorą od nas wodę mocy i nie dają nic w zamian. No tak, pozwalają nam korzystać z ich maszyn, ale po kilku miesiącach jazdy, te przeklęte rzeczy stają i nie można ich uruchomić. Wtedy musimy zawieźć je do miasta, żeby wymienić na nowe i płacić, płacić, ciągle płacić.

- Niezły kant - stwierdził Jason przyglądając się zaspawanej pokrywie jednej z machin. -

Dlaczego nie dobieżecie się im do środka i sami ich nie zreperujecie? To nie powinno być bardzo skomplikowane.

- To śmierć! - jęknął Edipon i obaj *d'zertanoj* odskoczyli od *caroj* na samą myśl o podobnym czynie. - Próbowano, za dni ojca mego ojca, nie jesteśmy bowiem tak przesądni jak niewolnicy i wiemy, że są one uczynione przez ludzi, nie przez bogów. Ale te sprytnie węże z Appsali ukryły z wielkim sprytem swą tajemnicę. Jeżeli ktoś spróbuje otworzyć pokrywę, wydostaje się z niej straszliwa śmierć i napełnia powietrze. Ludzie, którzy oddychali tym powietrzem, giną natychmiast, a ci, których tylko ono dotknęło, pokrywają się straszliwymi pęcherzami i umierają w męczarniach. Ludzie z Appsali śmiali się, gdy przytrafiło się to naszym przodkom i jeszcze bardziej podnieśli cenę.

Jason obszedł dookoła jedno z pudeł ciągnąc za sobą Narsisiego, który trzymał koniec łańcucha. Było ono wyższe od niego i dwa razy dłuższe. Z przeciwległych stron sterczał potężny wał, który zapewne przeka-

zywał napęd na koła. Przez otwór z boku Jason widział dźwignie i dwie małe kolorowe tarcze, ponad nimi zaś trzy otwory w kształcie ust. Stając na palcach mógł obejrzeć wierzchnią część maszyny, ale znajdowała się tam jedynie zakopcona, otoczona kryzą dziura, która zapewne służyła do mocowania komina. Poza tym z tyłu znajdował się jeszcze jeden niewielki otwór. Żadnych innych przyrządów nie było.

- Łamigłówka *zaczyna* mi się układać, ale musicie mi powiedzieć, jak to działa.

- Najpierw śmierć! - wrzasnął Narsisi. - Tylko moja rodzina...

- Zamknij się! - odwrzasnął Jason. - Pamiętasz? Nie masz już prawa znęcać się nad pracownikiem. Nie ma tu żadnych tajemnic. Poza tym od pierwszego spojrzenia prawdopodobnie znam się na tym lepiej niż ty. Do tych trzech otworów doprowadzasz olej, wodę i paliwo, gdzieś wtykasz łuczywo, najprawdopodobniej w tę zakopconą dziurę na dole i otwierasz zawór paliwa. Drugi zawór pozwala ci jechać szybciej lub wolniej, a trzeci reguluje dopływ wody. Tarcze są jakimiś wskaźnikami. - Narsisi zbladł i cofnął się. - Siedź więc cicho, a ja pogadam z twoim ojczulkiem.

- Jest tak, jak powiedziałeś - rzekł Edipon. - Usta muszą być zawsze pełne i biada, jeżeli staną się puste. Siła ustanie albo nawet gorzej. Tu, jak się domyśliłeś, wkładamy ogień, a kiedy zielony palec przesunie się do przodu, ta dźwignia wprawia maszynę w ruch. Następna jest, by jechać wolniej lub szybciej. Ostatnia znajduje się pod znakiem czerwonego palca, który wskazując ją, oznajmia pragnienie. Wtedy trzeba dźwignię przekręcić i przytrzymać aż do chwili, gdy palec się cofnie. Z otworu w tyle wydobywa się biały oddech. To wszystko.

- Właśnie tego się spodziewałem - mruknął Jason ostukując pudło kostkami palców, aż dudniło. - Dali wam tylko tyle przyrządów kontrolnych, żeby umożliwić wam posługiwanie się maszyną, ale jednocześnie uniemożliwili wam dowiedzenie się czegokolwiek o podstawowych zasadach jej działania. Bez teorii nigdy nie doszlibyście, która dźwignia jaką spełnia funkcję, że zielony wskaźnik porusza się, gdy zmienia się ciśnienie, a czerwony informuje o poziomie wody w kotle. Bardzo sprytnie. No a całość zapakowali do puszek i zaminowali, na wypadek gdyby komuś przyszło do głowy, żeby samemu przejąć ten interes. Pokrywa dźwięczy tak, jakby miała podwójne ścianki i sądząc z twojego opisu, wpakowali między nie jakiś parzący gaz bojowy w płynnej postaci, na przykład gaz musztardowy. Każdy, kto spróbuje rozciąć pokrywę, po porcyjce tego środka bardzo szybko zapomni o swoich ambicjach. Musi być jednak jakiś sposób, by dostać się

do środka i naprawić silnik. Przecież nie wyrzucają wszystkiego po zaledwie kilku miesiącach używania. Biorąc pod uwagę poziom technologii zademonstrowany przy produkcji tego potwora, sądzę, że uda mi się odnaleźć sposób, by ominąć tę i inne założone pułapki. Chyba podejmę się tej pracy.

- Bardzo dobrze, zaczynaj.

- Chwileczkę, szefie. Musisz się jeszcze nauczyć paru spraw na temat pracy najemnej. Zawsze są z tym związane pewne problemy warunków pracy i rozmaite umowy, które z przyjemnością ci wyliczę.

Rozdział 8

Nie rozumiem tylko, po co musisz mieć innego niewolnika? - wyjęczał Narsisi. - To, że chcesz mieć kobietę, jest zupełnie naturalne, podobnie jeżeli chodzi o własne mieszkanie. Mój ojciec dał swe pozwolenie. Ale powiedział również, że ja i moi bracia mamy ci pomagać, by tajemnice silnika nie zostały odkryte przed nikim obcym.

No to pofatyguj się znowu do niego i uzyskaj pozwolenie, by niewolnik Mikah przyłączył się do mojej pracy. Możesz wytłumaczyć mu, że pochodzi on z tego samego kraju co ja i że wasze tajemnice są dla niego dziecinną igraszką. A jeżeli twój tatuś będzie wymagał jeszcze jakichś powodów, to powiedz mu, że potrzebuję wykwalifikowanego pomocnika, kogoś, kto wie jak się obchodzić z narzędziami i komu będę mógł zaufać, że będzie dokładnie wykonywać polecenia. Ty i twoi bracia macie zdecydowanie za dużo własnych pomysłów, co i jak robić oraz zdradzacie skłonności do pozostawiania szczegółów interwencji bogów i używania młotka, jeżeli coś nie idzie tak, jak powinno.

Narsisi odszedł, mrużąc wściekle pod nosem, podczas gdy Jason skulił się przy piecyku obmyślając

następny krok. Większą część dnia zajęło ułożenie okrągłych kłód drewna i przetoczenie silnika do piaszczystej doliny, daleko od osady ze źródłem ropy. Do przeprowadzenia eksperymentów, w czasie których mogło dojść przypadkowo do uwolnienia chmury gazu bojowego, otwarta przestrzeń była konieczna. Nawet Edipon ostatecznie zrozumiał sens tych środków ostrożności, choć przede wszystkim pragnął, by wszystkie doświadczenia były wykonane w wielkiej tajemnicy, za zamkniętymi drzwiami. Zgodził się dopiero wtedy, gdy wybudowano skórzany płot, który można było otoczyć strażą, a przypadkowo okazało się, że skórzane osłony stanowią również bardzo pożądaną ochronę przed wiatrem.

Po długiej dyskusji zdjęto Jasonowi zwisające z rąk łańcuchy i zastąpiono je lekkimi kajdanami na nogi. Musiał chodzić powłócząc stopami, ale ręce miał zupełnie swobodne, było to wielkie udogodnienie, mimo że jeden z braci pilnował go wciąż z napiętą kuszą. Teraz Jason musiał zdobyć trochę narzędzi i zorientować się, zanim będzie mógł przystąpić do pracy, jakim zasobem wiedzy technicznej dysponują ci ludzie. Niewątpliwie wywoła to kolejną bitwę o ich drogie tajemnice.

- Chodźmy - zawołał strażnika. - Musimy znaleźć Edipona i znowu podrażnić jego wrzód żołądka.

Po opadnięciu fali pierwszego entuzjazmu nowy plan dawał przywódcy *d'zertanoj* niewiele powodów do radości.

- Masz własne mieszkanie - mrużąc - i niewolnicę, która będzie dla ciebie gotować i właśnie pozwoliłem, by mógł ci pomagać inny niewolnik. A teraz nowe żądania! Czy chcesz wytoczyć całą krew z moich żył?

- Nie demonizuj. Po prostu potrzebuję trochę narzędzi do pracy i chciałbym zobaczyć wasz warsztat, czy jak tam nazywacie miejsce, w którym wykonujecie prace mechaniczne. Zanim będę mógł się zabrać do pracy nad tym pudełkiem z niespodziankami, muszę choć trochę się zorientować, w jaki sposób rozwiążecie problemy techniczne.

- Wstęp jest wzbroniony.

- W obecnych czasach przepisy łamią się jak żdzbla trawy, możemy więc posunąć się nieco dalej i wykończyć jeszcze parę. Wskażesz drogę?

Strażnicy ociągali się z otwarciem bramy rafinerii przed Jasonem, spoglądali spode łba i

pobrzękiwali tylko kluczami. Paru śmierdzących oparami ropy naftowej *d'zertanoj* w podeszłym wieku wyłoniło się ze środka i przyłączyło do krzykliwej kłótni z Ediponem. Ostatecznie Edipon zwyciężył. Jason, ponownie zakuty w łańcuchy i pilnowany jak przestępca, został niechętnie wprowadzony do ciemnego wnętrza. To, co w nim zobaczył, sprawiało przygnębiające wrażenie.

- Strasznie prymitywne - skrzywił się i kopnął pudło wypełnione niezgrabnymi wykutymi ręcznie narzędziami. Topornie wykonane, stanowiły produkt jakiejś neolitycznej ery maszynowej. Retorta destylacyjna była pracowicie uformowana z miedzianych blach niezdarnie przynitowanych do siebie. Przeciekała straszliwie, podobnie jak zalutowane szwy ręcznie uformowanej rury. Większość narzędzi stanowiły rozmaite kowalskie szczypce i młoty. Serce Jasona uradowały jedynie potężna wiertarka pionowa i tokarka, poruszane pasami transmisyjnymi doprowadzonymi od obracanego przez niewolników kieratu. W uchwycie narzędziowym tokarki był zamocowany kawałek jakiegoś twardego minerału, który nieźle sobie radził z obróbką żelaza i stali nisko węglowej. Jeszcze bardziej pocieszający był widok gwintowanego przesuwu głowicy nacinającej, stosowanej do produkcji olbrzymich nakrętek i śrub mocujących do osi koła *caro*.

Mogło być gorzej. Jason wybrał najmniejsze i najbardziej poręczne narzędzia i odłożył je na bok. Przydadzą się jutro rano. Słońce prawie już zaszło i dziś nie było sensu zaczynać pracy. Zbrojna procesja wyszła i dwaj strażnicy doprowadzili Jasona do przypominającego psią budę pomieszczenia, które miało odtąd być jego prywatnym apartamentem. Z hukiem zasunięto rygiel w drzwiach i Jason zamrugał, ogarnięty gęstymi oparami nafty, przez które ledwo przebijało się światło lampy.

Ijale siedziała w kucki koło piecyka, gotując coś w glinianym garnku. Uniosła głowę, uśmiechnęła się niepewnie do Jasona i szybko odwróciła do piecyka. Jason podszedł bliżej, pociągnął nosem i wzdrygnął się.

- Cóż za ucztą! Zupa z *kreno*, a potem jak sądzę *kreno* na surowo i sałatka z *kreno*. Muszę jutro postarać się o jakieś urozmaicenie naszego jadłospisu.

- Ch'aka wielki - szepnęła Ijale nie podnosząc oczu. - Ch'aka potężny...

- Mam na imię Jason. Straciłem posadę Ch'aki, kiedy zabrali mi mundurek.

- ... Jason jest potężny, rzucił urok na *d'zertanoj* i zmusił ich, by robili co chce. Jego niewolnica dziękuje.

Uniósł jej podbródek i przebiegł go dreszcz na widok pokornego posłuszeństwa malującego się w jej

spojrzeniu. - Czy nie moglibyśmy zapomnieć o niewolnictwie? Razem siedzimy w tym po uszy i razem się stąd wydostaniemy.

- Uciekniemy, Ijale wie. Zabijesz wszystkich *d'zer-tanoj*, uwolnisz swoich niewolników i zaprowadzisz nas znowu do domu, gdzie będziemy mogli iść i zbierać *krenoj*, daleko od tego straszego miejsca.

- Niektóre dziewczyny jest cholernie łatwo zadowolić. Ogólnie rzecz biorąc, to właśnie miałem na myśli, z tym tylko wyjątkiem, że pójdziemy w zupełnie drugą stronę, tak daleko od twoich krenojadów, jak mi się uda.

Ijale słuchała uważnie, mieszając zupę jedną ręką, a drugą drapiąc się pod skórzaną odzież. Jason uzmysłowił sobie, że również się drapie i sądząc po obolałych miejscach na skórze, robił to cholernie często od chwili, kiedy wyciągnięto go z oceanu tej niegościnniej planety.

- Dostyc tego! - wybuchnął. Podszedł do drzwi i zaczął w nie łomotać. - Wiem, że to miejsce ma niewiele wspólnego z cywilizacją, ale nie widzę powodu, dla którego nie moglibyśmy się tu urządzić tak wygodnie, jak to możliwe. - Rozległo się brzęczenie łańcuchów i rygli, po czym w drzwiach pojawiła się ponura facjata Narsisiego.

- Dlaczego hałasujesz? Co się stało?

- Potrzebuję wody, dużo wody.

- Przecież masz wodę - stwierdził zdziwiony Na-rsisi i wskazał kamienny dzban, stojący w kącie.

- Tyle wody powinno starczyć na wiele dni.

- Według twoich wymagań Nars, staruszku, ale nie moich. Chcę przynajmniej dziesięć razy więcej

i chcę mieć ją zaraz. I trochę mydła, jeżeli znajdziecie je w tym barbarzyńskim miejscu.

Po długiej sprzeczce Jason ostatecznie postawił aa swoim, tłumacząc, że woda jest mu potrzebna do rytualnych ceremonii, które mają zapewnić pomyśli ność jutrzejszej pracy. Przyniesiono ją w zadziwiającej kolekcji rozmaitych pojemników, razem z płytką misą pełną miękkiego mydła.

- No, to do roboty - zarechotał Jason. - Zdejmuj ubranie, mam dla ciebie niespodziankę. *

- Tak, Jason - odparła Ijale, uśmiechając się radość nie i kładąc na wznak. -

- Nie! Będziesz się kąpać. Nie wiesz, co to takiego kąpiel?

- Nie - odrzekła i zadrżała. - Ale to brzmi, jak coś złego.

- Stań tutaj i ściągnij ubranie - rozkazał, wskazując dziurę w podłodze. - To będzie odpływ - w każdym razie woda, którą tu wlałem, spłynie.

Woda została podgrzana na piecyku, ale **Ijale** wciąż siedziała, skulona pod ścianą i zadygotała, gdy ją oblał. Wrzasnęła, gdy *zaczai* wcierać mydło w jej **włosy** i musiał zakryć jej usta dłonią, by krzyki nie sprowadziły straży. Sam również namydlił głowę i czuł, jak skóra zaczęła rozkosznie świerzbić. Trochę mydła dostało mu się do uszu, zagłuszając dźwięki i dopiero ochrypy krzyk Mikaha pozwolił mu się zorientować, że drzwi są otwarte. Samon stał z wyciągniętym palcem, trzęsąc się z oburzenia, a przez jego ramię zerkał Narsisi zafascynowany dziwną ceremonią religijną.

- Cóż za hańba! - grzmiał Mikah. - Zmusiłeś tf

biedną istotę, by poddała się twojej woli, poniżyłeś ją, zdarłeś z niej odzież i patrzysz na nią, choć nie jesteście połączeni uświęconym przez prawo związkiem małżeńskim. - Oślonił oczy uniesionym ramieniem. - Jesteś zły, Jasonie, jesteś demonem zła i musi cię dosięgnąć ramię prawa...

- Won! - ryknął Jason i obróciwszy Mikaha, wyrzucił go za drzwi podpatrzonym u Ch'aki kopniakiem. - To zło istnieje tylko w twoich myślach, ty wredny hipokryto! Wyszorowałem tę dziewczynę po raz pierwszy w jej życiu i powinieneś dać mi medal za krzewienie higieny wśród tubylców, zamiast drzeć się tutaj!

Wypchnął obu intruzów za drzwi i wrzasnął na Narsisiego. - Chciałem, żebyś mi przyprowadził tego niewolnika, ale nie teraz! Zamknij go, a rano przyprowadź z powrotem. Zatrzasnął z hukiem drzwi i pomyślał sobie, że musi zadbać, by założono rygiel także od wewnętrznej strony.

Ijale dygotała. Jason splukał z niej pianę ciepłą wodą i podał kawałek czystego futra, by się nim wytarła. Teraz, po usunięciu brudu, jej ciało wyglądało młodo i silnie. Piersi miała jędrne, szerokie biodra... Nagle przypomniał sobie oskarżenie Mikaha. Mruczając że złości pod nosem, odwrócił się, rozebrał i wyszorował dokładnie, a potem wyprał ubranie w pozostałej wodzie.

Dawno nie doświadczane uczucie zystości znowu podniosło go na duchu i nucił z cicha, gasząc lampę i wycierając w ciemności. Położył się, przykrył futrami i właśnie obmyślał, jak zabierze się jutro rano do pracy nad silnikiem, gdy poczuł jak

przylula się do niego gorące ciało Ijale, natychmiast odpędzając wszelkie problemy techniczne.

- Jestem - powiedziała zupełnie niepotrzebnie.

- Tak - odparł i odkaszlnął. Czuł, że ma pewne kłopoty z mówieniem. - Nie to miałem na myśli, robiąc ci kąpiel...

- Nie jesteś za stary. O co więc chodzi? - powiedziała zaskoczona.

- Po prostu nie chcę wykorzystywać... musisz to zrozumieć... Był nieco zmieszany.

- Co to znaczy? Jesteś jednym z tych, którzy nie lubią dziewcząt! - zaczęła płakać i poczuł jak drży.

- Wlałeś między wrony... - westchnął i pogładził ją po plecach.

Na śniadanie znowu były *krenoj*, ale Jason czuł się zbyt dobrze, by zwracać na to uwagę. Był wyszorowany i czyściutki, nawet przestała go swędzić rosnąca broda. Metalizowany materiał pyrrusańskiego kombinezону wysechł prawie natychmiast po upraniu, miał więc na sobie również czyste ubranie. Ijale wciąż dochodziła do siebie po psychicznym wstrząsie spowodowanym kąpielą, ale wyglądała nader pociągająco - umyta, z czystymi i nieco przyczesanymi włosami. Będzie musiał znaleźć dla niej jakiś kawałek miejscowego materiału, bo szkoda by było zmarnować ciężką pracę, pozwalając jej znowu wleźć w te źle wyprawione skóry, które nosiła poprzednio.

To właśnie owo wspaniałe samopoczucie kazało mu ryknąć, by otworzono drzwi i pomaszerować

w rześki poranek na swoje stanowisko pracy. Mikah już tam był - ponury, zły i pobrzękujący łańcuchami. Jason uśmiechnął się doń najbardziej przyjacielsko jak potrafił, ca jedynie jeszcze bardziej rozjątrzyło moralne rany Samona. *

- Dla niego również tylko kajdany na nogi - poleciał Jason. - I to prędko. Mamy przed sobą wielką robotę. Obrócił się w stronę silnika, zacierając ręce w radosnym podnieceniu.

Zakrywająca silnik osłona była wykonana z cienkiego metalu; nie mogło się pod nią ukrywać zbyt wiele sekretów. Ostrożnie zeszkrobał nieco farby i odnalazł tylko "pomarszczony, zalutowany styk dwóch krawędzi. Przez jakiś czas ostukiwał osłonę od góry do dołu, przyciskając ucho do metalu i w końcu był już zupełnie pewien, że, tak jak podejrzewał za pierwszym razem, osłona istotnie jest wypełnionym jakimś płynem metalowym zasobnikiem o dwóch ściankach. Wystarczy go przebić i koniec. Osłona służyła więc jedynie do ukrycia tajemnic silnika. Ale przecież Appsalańczycy musieli jakoś ją rozbrajać, by reperować silnik. Czy rzeczywiście musieli? Cała konstrukcja miała z grubsza kształt prostopadłościanu i osłona tworzyła tylko pięć ścian. A co z szóstą - z podstawą?

- Widzę, że zaczynasz myśleć, Jaśonie - powiedział do siebie i uklęknął, by zbadać spód. Naokoło wystawała szeroka kryza z lanego żelaza przewiercona czterema otworami na śruby. Wyglądało na to, że osłona została przylutowana do podstawy, musiały być jednak i inne, ukryte połączenia, ponieważ okrywające silnik pudło nie drgnęło nawet, mimo że ostrożnie zeszkrobał część zalutowanego połączenia.

A więc rozwiązanie musiało znajdować się na szóstej ścianie.

- Chodź tu, Mikah - zawołał. Samon niechętnie oderwał się od ciepłego piecyka i podszedł, powłócząc nogami. - Zbliź się i patrz na tę średniowieczną maszynę. Pogadamy, a ty udawaj, że omawiamy sprawy techniczne. Będiesz ze mną współpracował?

- Nie chcę, Jaśonie. Obawiam się, że zbrukasz mnie swym dotknięciem, tak jak zbrukałeś innych.

- No cóż, nie powiedziałbym, że jesteś zbyt czysty...

- Nie miałem na myśli brudu fizycznego.

- A ja tak. Doprawdy, przydałaby ci się kąpiel i dobry szampon. Nie obawiam się o stan twojej duszy, możesz walczyć o nią kiedy zechcesz. Ale jeżeli będziesz współpracować ze mną, znajdę sposób, by się stąd wydobyć i dostać do miasta, w którym wyrabiają te silniki. Jeżeli gdziekolwiek znajdziemy drogę ucieczki z tej planety, to tylko tam.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale wciąż się waham.

- Drobne poświęcenia mogą zaowocować wielkim dobrem. Czyż jedynym powodem tej podróży nie było oddanie mnie w ręce sprawiedliwości? Nie dokonasz tego siedząc tu i pleśnięjąc jako niewolnik.

- Jesteś adwokatem diabła, Jaśonie, igrając tak z moim sumieniem, ale to co powiedziałaś, jest prawdą. Pomogę ci w przygotowaniu naszej ucieczki.

- Doskonale. A teraz bierzemy się do roboty. Powiedz Narsisiemu, by skombinował przynajmniej trzy solidne belki, takie jak te, do których byliśmy przykuci. Dostarcz je razem z kilkoma łopatami.

Niewolnicy złożyli belki pod samym ogrodzeniem

ze skór, Edipon bowiem nie pozwolił im przejść dalej i Mikah wraz z Jasonem z trudem przeciągnęli je na miejsce. Kiedy Jason napomknął, że przypatrujący się *d'zertanoj* mogliby trochę pomóc, producenci wody mocy, którzy nigdy nie zajmowali się pracą fizyczną, uznali to za bardzo śmieszny pomysł. Wreszcie belki znalazły się koło silnika. Jason wykopał pod nimi tunele i wsunął w nie kłody drewna. Gdy to zrobił, ustąpił miejsca Mikahowi, który zabrał się do wybierania piasku spod maszyny. W końcu stanęła nad wykopem, wsparta jedynie na belkach. Jason zszedł na dół i obejrzał spód silnika. Był gładki i bez żadnych szczególnych śladów. Ponownie odskrobał ostrożnie farbę wokół brzegów. W tym miejscu lity metal ustępował lutowi. Jason wydłubywał go dopóty, dopóki się nie przekonał, że fragment arkusza blachy "został zalutowany na brzegach i przymocowany do podstawy. - Spryciarze z tych Appsalańczyków - mruknął pod nosem - i zaatakował spoinę nożem. Kiedy uwolnił już jeden kraniec, ostrożnie odsunął arkusz metalu, uważając, czy nic nie jest doń przymocowane i czy nie uruchomi w ten sposób jakiejś pułapki. Płat blachy zsunął się łatwo i z brzękiem spadł na dno wykopu. Ukazała

się gładka powierzchnia z twardego metalu.

- Starczy jak na jeden dzień - oznajmił Jason wyłaząc z wykopu i otrzepując ręce. Było już prawie ciemno. - Zrobiliśmy już wystarczająco dużo i chcę trochę pomyśleć, zanim przystąpię do dalszej pracy. Jak na razie, mieliśmy szczęście, ale nie sądzę, że dalej pójdzie równie gładko. Mam nadzieję, że wzięłeś ze sobą walizkę, bo przeprowadzasz się do mnie.

- Nigdy! Gniazdo grzechu, deprawacji...

Jason spojrział mu zimno w oczy i mówiąc szturchał go palcem w pierś, akcentując w ten sposób każde słowo.

- Przenosisz się do mnie, bo to konieczne. I jeżeli przestaniesz mówić o moich słabostkach, nie będę mówić o twoich. A teraz chodź.

Zamieszkiwanie wraz z Mikahem Samonem było męczące, ale ostatecznie dało się znieść. Mikah zmusił Jasona i Ijale, by odeszli pod ścianę, odwrócili się plecami i obiecali, że nie będą się oglądać w czasie, gdy on weźmie kąpiel za zasłoną skór. Jason zemścił się, opowiadając Ijale dowcipy. Chichotali oboje. Mikah z,as był przekonany, że śmieją się z niego. Zasłona ze skór pozostała po kąpieli, Mikah wzmocnił ją nawet i ułożył się za nią do snu.

Następnego ranka, Jason obserwowany przez wystraszonych strażników, zabrał się do spodniej części podstawy. Myślał o tym przez większą część nocy i natychmiast poddał próbie swą teorię. Naciskając mocno na trzonek noża, mógł wyłobić w metalu grubą bruzdę. Nie był on tak miękki jak lut, ale sprawiał wrażenie jakiegoś prostego stopu z dużą domieszką ołowiu. Co mogło się pod nim ukrywać? Sondując ostrożnie czubkiem noża, zbadał całą powierzchnię. Wszędzie warstwa metalu była jednakowo gruba, jedynie w dwóch miejscach wykrył pewne nieregularności. Punkty te znajdowały się na osi wzdłużnej podstawy, w równych odległościach od krańców i boków. Wydlubował i zeszkrobywał metal, aż wreszcie ujrzał dwa znajome kształty, każdy wielkości jego głowy.

; - Mikah, zejdź na dół i spojrzysz na to. Powiedz mi, co ci to przypomina.

Samon podrapał się w brodę.

- Są ciągle pokryte metalem. Nie jestem pewien...

- Nie pytam się, czego jesteś pewien. Po prostu chcę się dowiedzieć, co ci to przypomina.

- No cóż. Oczywiście, wielkie mutry. Nakręcone na końce śrub. Ale dlaczego takie wielkie...

- Muszą być takie, jeżeli mają utrzymać całą tę metalową skrzynię. Mam wrażenie, że jesteśmy bardzo blisko rozwiązania sekretu otwierania silnika - i musi-...my być cholernie ostrożni. Ciągłe nie. mogę uwierzyć, że rozwiązanie zagadki mogłoby być tak proste. Mam zamiar zrobić drewniany wzornik mutry, a potem na jego podstawie wykonam klucz. Zostaniesz tu i wy dłu-biesz cały metal ze śruby i gwintu. Będziemy mogli jeszcze przemyśleć sprawę, ale prędzej czy później muszę się zabrać do odkręcania tych mutr. I wciąż nie wychodzi mi z głowy ten gaz musztardowy.

Przy poziomie tutejszej technologii wykonanie klucza stanowiło pewien problem i wszyscy starszycy piastujący tytuł Mistrza Destylarni przystąpili do ożywionych konsultacji. Wreszcie jeden z nich, który okazał się niezłym kowalem, po rytualnej ofierze i modłach, wsunął sztabę w stos węgla drzewnego, podczas gdy Jason dmuchał miechami, aż żelazo rozżarzyło się do białości., Waląc młotem i klnąc na-czym świat stoi, w trudzie i znoju udało im się wykuć solidny, otwarty klucz o wygiętej główce, którą można było założyć na wpuszczoną w gniazdo mutrę. Jason zadbał o to, by otwór był nieco mniejszy, a gdy narzędzie było już gotowe, wzięł jeszcze

nie zahartowa-ny klucz na miejsce i dokładnie go dopasował. Po ponownym rozgrzaniu i ostudzeniu w oleju, miał wreszcie narzędzie, które powinno sprostać zadaniu. Edipon musiał uważnie śledzić postęp prac, gdy bowiem Jason powrócił z gotowym kluczem, *d'zertano* czekał na niego koło maszyny.

- Byłem pod spodem - oznajmił - i widziałem nakrętki, które ten szatański pomiot z Appsalii ukrył pod metalową powierzchnią. Któż mógł się tego spodziewać. Wciąż nie mogę uwierzyć, że jeden metal może być ukryty pod warstwą drugiego. Jakim sposobem można to uczynić?

- Bardzo prosto. Podstawę zmontowanego silnika wstawiono do formy i zalano innym, roztopionym metalem. Musiał mieć niższą temperaturę topnienia niż stal silnika i dlatego jej nie uszkodził. Widocznie w mieście lepiej znają się na technologii metali i liczyli na waszą

niewiedzę.

- Niewiedzę? Obrażasz...

- Cofam moje słowa. Po prostu miałem na myśli, że sądzili, iż ta sztuczka się im powiedzie, a ponieważ się nie udała, sami wyszli na durniów. Czy takie wyjaśnienie cię zadowala?

- Co teraz zrobisz?

- Zdejmę nakrętki. Wtedy powinno się nam udać odczepić osłonę i zdjąć ją z silnika wraz z zawartą w niej trucizną.

- To zbyt niebezpieczne, byś sam się tym zajmował. Wrogowie mogli przygotować inne pułapki, które uruchomi przekręcenie mutr. Przyśle silnego niewolnika, który wykona tę pracę, podczas gdy ty będziesz

przyglądał się z bezpiecznej odległości. Jego śmierć się nie liczy.

- Jestem wzruszony twą troską o moje zdrowie i choć chciałbym skorzystać z twojej propozycji, nie mogę. Sam o tym myślałem i doszedłem do niemiłego wniosku, że jest to robota, którą sam muszę odwalić. To odkręcenie mutr wygląda na zbyt łatwe i dlatego jestem nieufny. Zrobię to sam i przy okazji będę szukał jakichś innych niespodzianek - a niestety, tylko ja mogę dać sobie z nimi radę. A teraz mam propozycję, żebyś wraz ze swymi strażnikami udał się w nieco bezpieczniejsze miejsce.

Nikt nie wahał się ani chwili. Rozległ się szelest stóp na piasku i Jason został sam. Było zupełnie cicho i tylko skórzane osłony trzepotały leniwie na wietrze. Jason popluł w dłonie, próbując opanować ich lekkie drżenie, i zsunął się do wykopu. Klucz dokładnie pasował do mutry. Ujął go oburącz, zaparł się nogami w ścianę wykopu i pociągnął.

I natychmiast zamarł. Z mutry sterczały trzy zwoje gwintu śruby, oczyszczone dokładnie z metalu przez pracowitego Mikaha. W ich wyglądzie było coś cholernie nie tak, choć nie bardzo mógł sobie uzmysłwić co. Wystarczyło jednak samo podejrzenie.

- Mikah! - wrzasnął. Musiał jednak krzyknąć jeszcze dwa razy, zanim jego asystent ostrożnie zajrzał za osłonę. - Podskocz do rafinerii i przynieś mi jedną z ich gwintowanych śrub wraz z mutrą. Rozmiar obojętny, to nieważne.

Jason grzał ręce nad piecykiem do chwili, gdy

^Mikah powrócił z upačkaną w oleju śrubą, po czym

machnięciem ręki polecił mu, by przyłączył się do

pozostałych. Znowu zszedł do wykopu, przyłożył śrubę do wystającej, nagwintowanej części i niemal krzyknął z radości. Apsalańska śruba miała gwint nachylony pod zupełnie innym kątem - tu, gdzie na jego śrubie biegł ku górze, na tamtej skierowany był ku dołowi. Apsalańczycy nacięli odwrotny, lewoskrętny gwint.

W obrębie galaktyki istniało tyle technicznych i kulturalnych różnic, ile planet, ale jedną z niewielu wspólnych cech, odziedziczonych po ziemskich przodkach, był jednakowy sposób nacinania gwintu. Jason nigdy przedtem nie zdawał sobie z tego sprawy, ale teraz, przywołując w pamięci rozmaite zdarzenia, uzmysłwił sobie, że śruby wszędzie były takie same. Wkręcano je w drewno, w nagwintowane otwory, nakręcano na nie mutry - zawsze ruchem zgodnym z ruchem wskazówek zegara. By wykręcić, obracano je w przeciwną stronę. Trzymał w dłoni prymitywną śrubę wykonaną przez *d'zertanoj* i gdy próbował nakręcić na nią mutrę, musiał tak właśnie postępować. Ale nie w przypadku śruby mocującej silnik - by ją odkręcić, musiał obracać mutrę w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara.

Upuścił śrubę z nakrętką, założył klucz na potężną mutrę mocującą silnik i powoli, powoli nacisnął w zupełnie, zdawało się, przeciwnym kierunku - jakby chciał ją zakręcić, nie zaś zluzować. Poddała się wolno. Najpierw ćwierć, potem pół obrotu. Wystające zwoje gwintu zniknęły powoli, aż wreszcie koniec śruby zrównał się z powierzchnią mutry. Teraz poszło łatwiej i po minucie nakrętka spadła na dno wykopu. Rzucił klucz w ślad za nią i szybko wygramolił się z wykopu.

Stojąc na jego krawędzi, ostrożnie wciągał nosem powietrze, gotów do błyskawicznej ucieczki w chwili, gdy tylko poczuje zapach gazu. Nie poczuł nic.

Druga mutra zesłała równie łatwo jak pierwsza i również bez żadnych niespodzianek. Jason wsunął ostre dłuto pomiędzy przykrywającą silnik osłonę a podstawę. Przycisnął rękojeść dłuta i

osłona uniosła się lekko.

Zbliżył się do wyjścia z ogrodzenia i zawołał w stronę znajdującej się w sporej odległości grupki.

- Wracajcie, robota prawie skończona.

Po kolei schodzili na dno wykopu, oglądali sterzące śruby i pomrukiwali z aprobatą, gdy Jason pokazywał im, że osłona się unosi.

- Pozostał jeszcze mały problem -jak zdjąć osłonę - oznajmił. - Jestem pewien, że uniesienie jej byłoby złym rozwiązaniem. To mój pierwszy pomysł, ale przekonałem się, że faceci, którzy zmontowali tę maszynę, mieli w zanadru paskudną niespodziankę dla każdego, kto zacisnąłby te mutry, zamiast je zluźnić. Zanim się nie zorientujemy, co to takiego, musimy chodzić na paluszkach. Słuchaj, Ediponie, czy macie pod ręką duże bryły lodu? Teraz jest zima, prawda?

- Lód? Zima? - wymamrotał Edipon, najwyraźniej zaskoczony raptowną zmianą tematu. Potarł zaczerwieniony koniuszek swego okazałego nosa. - O-czywiście, mamy teraz zimę. Lód... Na jeziorach, wysoko w górach powinien być lód. Zawsze zamarzają o tej porze roku. Ale po co ci lód?

- Zdobądź go, to ci pokażę. Każ go pociąć w ładne, duże bloki, które mógłbym układać. Wcale nie

mam zamiaru podnosić osłony, po prostu wyciągnął spod niej silnik! 7

Zanim niewolnicy przynieśli lód z odległych jezior Jason wybudował wokół maszyny solidną, drewnianą ramę i wsunął zaostrzoną, metalową kryzę pod kra wędz osłony. Następnie przymocował kryzę do ramy Teraz, gdy silnik zostanie opuszczony do wykopu podtrzymywana przez kryzę osłona pozostanie w górze.

Lód wszystko załatwi.

Gdy wreszcie dostarczono lód, Jason ułożył z niego fundament pod silnikiem, a następnie wysunął pod trzymające belki. W miarę topnienia lodu silnik zostanie delikatnie opuszczony do wykopu.

Było zimno i lód nie chciał się topić, aż do chwili kiedy Jason otoczył dziurę w ziemi dymiącymi piecykami. Woda zaczęła spływać do wykopu i Mikah miał pełne ręce roboty, wylewając ją stamtąd. Topnieni trwało przez resztę dnia i prawie całą noc. Jasol i Mikah, wycieńczeni, z zaczerwienionymi oczyma nadzorowali ten powolny proces i gdy *d'zertanoj* powrócili o świcie, silnik spoczywał w błotnistym jezioru na dnie wykopu. Osłona była zdjęta.

- W tej Appsali są niezłe cwaniaki, ale *dinAlt* też nie jest w ciemną bity - triumfował Jason. - Widzicie ten garnek na górze silnika? - Wskazał zapieczętowany pojemnik z grubego szkła. Miał wymiary niewielkie baryłki i wypełniony był oleistym, zielonkawym płynem; przytrzymały go grubo wyściełane wsporniki - To właśnie jest pułapka. Mutry, które zdjąłem były założone na gwintowane końce tych wsporników podtrzymujących osłonę. Wsporniki nie zostały jed nak przymocowane bezpośrednio do osłony, ale połączono je poprzeczką opierającą się o ten garnek. Gdyby któraś nakrętka została zaciśnięta, a nie zluźwana, wspornik by się wygiął i zgniótł szkło. Możecie aę domyśleć, co byłoby potem.

- Płynna trucizna!—

Otóż to. Ta osłona o podwójnych ściankach również jest nią wypełniona. Proponuję, by jak najszybciej wykopać gdzieś w pustyni głęboką dziurę, zasypać w niej pojemnik i osłonę, a potem szybko zapomniać o tym miejscu. Nie sądzę, by silnik krył jeszcze wiele takich niespodzianek, ale będę się z nim ostrożnie obchodził.

- Zreperujesz maszynę? Wiesz, co się popsulo?

-Edipon aż dygotał z radości.

- Jeszcze nie. Ledwo się przyjrzałem silnikowi. W gruncie rzeczy wystarczyło jedno spojrzenie, by się przekonać, że będzie to tak łatwe, jak ukradzenie *krenoj* ślepemu. Silnik jest równie mało wydajny iHymitywnyjak twój szyb naftowy. Gdybyście jedną dziesiątą energii, jaką wkładacie w ukrywanie waszej produkcji przed konkurencją, poświęcali na badania i doskonalenie, latalibyście odrzutowcami. ; - Wybaczam ci tę obelgę, oddałeś bowiem nam przysługę. Naprawiasz nam maszynę i pozostałe ma-ehiny również. Wstaje dla nas nowy dzień!

- Prawdę mówiąc, dla mnie zapada teraz nowa noc - ziewnął Jason. - Łóżko za mną tęskni.

Spróbuj, czy uda ci się namówić twoich synów, by wytarli wodę z silnika, zanim zardzewieje.

Kiedy wróce, spróbuję zrobić, co się da, by znowu był na chodzie.

Rozdział 9

Edipon wciąż był w dobrym nastroju i Jason skorzystał z tego, by zmusić *d'zertano* do jak największych ustępstw. Wspomnił, że w silniku mogą być jeszcze pułapki i bez trudu uzyskał pozwolenie prowadzenia dalszych prac w poprzednim miejscu, nie zaś w zamkniętym i strzeżonym budynku. Pokryta skórą szopa chroniła ich przed zmianami pogody, w jej wnętrzu zaś zostało zmontowane stanowisko badawcze do testowania remontowanych silników. Był to jedyny w swoim rodzaju projekt, zrealizowany dokładnie według wskazówek Jasona, a ponieważ nikt, włącznie z Mikahem, nigdy nie widział ani nie słyszał o czymś takim, udało mu się postawić na swoim.

Okazało się, że pierwszy silnik miał spalone łożyska. Jason naprawił je, przetapiając stop łożyskowy i ponownie odlewając zniszczone części. Kiedy odśrubował głowicę potężnego, pojedynczego cylindra, stwierdził, że w szczeliny pomiędzy tłokiem i ściankami cylindra bez trudu może wetknąć palec. Założył więc na tłok pierścienie, dzięki czemu stopień sprężania i moc silnika zwiększyły się prawie dwukrotnie. Gdy Edipon zobaczył, z jaką prędkością porusza się jego wyremontowane *caro*, przycisnął Jasona do piersi i obiecał mu najwspanialszą nagrodę. Okazało się, że

jest nią codzienny przydział małego kawałka mięsa, który miał urozmaicać monotonię posiłków, oraz podwojona straż pilnująca, by tak cenna inwestycja nie związała. Dotychczas żywili się wyłącznie *krenoj* i Jason wstrząsał się z obrzydzenia na myśl, że zaczął się już do tego przyzwyczajać.

Jason miał swe własne plany i z zapalem wyprodukował sporo przedmiotów, które nie miały nic wspólnego z naprawą silników. W czasie prac remontowych zatroszczył się również o zorganizowanie pomocy.

- Co byś zrobił, gdybym dał ci pałkę? - zapytał potężnie zbudowanego niewolnika, który pomagał mu przeciągnąć belkę do warsztatu. Narsisi i jeden z jego btaci objęli się gdzieś niedaleko, znudzeni swą służbą wartowniczą.

¹ - Co bym zrobił z pałką? - mruknął niewolnik, Marszcząc czoło i rozdziawiając usta. - Właśnie o to cię pytam. I ciągnij, kiedy myślisz. Nie chciałbym, żeby strażnicy coś spostrzegli.

'- Jeżeli mam pałkę, zabiję! - oznajmił niewolnik z podnieceniem, zaciskając w garści wymyśloną broń.

- A czy zabiłbyś mnie?

- Mam pałkę, zabiję cię, ty nie taki duży. - Ale przecież dałem ci tę pałkę, czy nie jestem więc twoim przyjacielem? Czy nie wolałbyś zabić kogoś Mriego?

Niezwykłość tej myśli sprawiła, że niewolnik stanął jak wryty i drapał się w głowę dopóty, dopóki Narsisi nie zapędził go batem do roboty. Jason westchnął i wyszukał następny obiekt swej działalności propa-gandowej.

Trwało to czas jakiś, ale pomysł zaczął zdobywać popularność wśród niewolników. Od *d'zertanoj* mogli oczekiwać jedynie ciężkiej pracy i wczesnej śmierci. Jason proponował im coś innego - broń, szansę zabicia swych panów. Nie bardzo mogli oswoić się z myślą, że muszą działać wspólnie, by osiągnąć ten cel i powstrzymać się przed zabiciem Jasona oraz wymordowaniem się nawzajem w chwili, gdy zostaną uzbrojeni. Był to ryzykowny plan i zapewne wszystko wzięłoby w łeb, zanim dotarliby do miasta. Ale rewolta powinna przynajmniej ich uwolnić, nawet gdyby niewolnicy wkrótce potem uciekli. Przy szybie naftowym było mniej niż pięćdziesięciu *d'zertanoj*. Ich kobiety i dzieci znajdowały się w innej osadzie, położonej dalej, wśród wzgórz. Wybicie lub przepędzenie mężczyzn nie powinno nastręczać trudności i zanim przybyłyby posiłki,

Jason i jego zbiegli niewolnicy dawno by zniknęli. Do realizacji planu brakowało jednak pewnego elementu, ale i ten problem został rozwiązany w chwili, gdy sprowadzono nową grupę niewolników.

- Cudownie - roześmiał się, otwierając drzwi do swego pomieszczenia i zacierając z radością ręce. Strażnik wepchnął w ślad za nim Mikaha i przekreślił klucz w zamku. Jason zasunął

wewnętrzny rygiel, a potem przywołał Mikaha i Ijale do kąta oddalonego od wejścia i małego okna.

- Dostarczono dziś nowych niewolników - powiedział - i jeden z nich pochodzi z Appsalii. To jakiś najemnik, czy żołnierz schwytany w potyczce. Wie, że nie pożyje tu długo i dlatego z wdzięcznością przyjął moje propozycje.

- To rozmowa mężczyzn, której nie rozumiem

- oznajmiła Ijale. Odwróciła się i zaczęła iść w stronę 'kucharki.

- Zrozumiesz - odparł Jason chwytając ją za ramię. - Żołnierz wie, gdzie jest Appsalia i może nas tam zaprowadzić. Nadeszła pora, by porozmawiać o opuszczeniu tego miejsca.

Teraz Ijale i Mikah zaczęli przysłuchiwać się z uwagą.

- Jak to? - szepnęła dziewczyna.

- Poczyniłem pewne przygotowania. Mam dość pilników i wytrychów, by dostać się do każdej komnaty, trochę broni, klucz do zbrojowni i poparcie każdego niewolnika.

- Co masz zamiar zrobić? - spytał Mikah.

- Urządzić bunt niewolników w najlepszym wydaniu. Niewolnicy pokonają *d'zertanów* i wydostaniemy się stąd, być może na czele armii, ale w każdym razie wydostaniemy się stąd.

- Mówisz o rewolucji! - ryknął Mikah. Jason skoczył i przewrócił go na podłogę. Ijale przytrzymała nogi Samona, Jason zaś usiadł mu na piersi i zakrył usta dłonią.

- O co ci chodzi? Chcesz spędzić resztę życia remontując tu silnik? Zbyt dobrze nas pilnują, byśmy zdołali się wyrwać o własnych siłach, potrzebujemy więc sojuszników. I znaleźliśmy ich - wszystkich niewolników.

- Bhewohucja - wymamrotał Mikah.

- Oczywiście, że to rewolucja. Jest to również jedyna szansa przeżycia dla tych nieszczęśników.

Teraz są ludzkim bydłem, bitym i zabijanym przy byle okazji. Chyba nie żal ci *c'zertanów* - każdy z nich jest

przynajmniej dziesięciokrotnym mordercą. Sam widziałeś, że potrafią zatłuc człowieka na śmierć. Czy uważasz, że są zbyt sympatyczni, by spotkała ich taka przykrość jak rewolucja?

Mikah uspokoił się i Jason cofnął nieco dłoń.

- Oczywiście, że nie są sympatyczni - oznajmił Samon. - To zwierzęta w ludzkiej postaci. Wcale nie lituję się nad nimi i uważam, że powinni zostać zmieceni z powierzchni ziemi jak Sodoma i Gomora. Ale nie można dokonać tego za pośrednictwem rewolucji. Rewolucja jest zła, dogłębnie zła.

Jason stłumił jęk.

- W porządku, nie będzie rewolucji - oznajmił siadając i wycierając ręce z obrzydzeniem. - Zmienimy nazwę. Co byś powiedział na ucieczkę z więzienia? Nie, to też by ci nie odpowiadało. Mam - wyzwolenie! Mamy zamiar zerwać kajdany tych biednych ludzi i oddać im ukradzione ziemie. Czy więc przyłączysz się do mojego ruchu wyzwolenieckiego?

- To w dalszym ciągu będzie rewolucja.

- Będzie się to nazywało tak, jak ja zechcę! - wściekł się Jason. - Albo przyłączasz się do mnie i postępujesz zgodnie z moim planem, albo cię zostawimy. Możesz mi wierzyć.

Odszedł na bok, nalał sobie trochę zupy i czekał, aż fala złości opadnie.

- Nie mogę... Nie mogę... - mrucał Mikah wpatrzony w szybko stygnącą zupę jak w kryształową kulę wróżebną. Jason odwrócił się doń plecami.

- Uważaj, żebyś nie skończyła jak on - ostrzegł, Ijale, wskazując łyżką do tyłu. - Prawdę mówiąc, nier sądzę, by ci to groziło, wywodzisz się bowiem ze

społeczeństwa, które stoi twardo obiema nogami na ziemi, czy też raczej, mówiąc ściślej, na grobie. Twój naród dostrzega jedynie konkretne fakty i to tylko te najbardziej oczywiste, a nawet tak proste pojęcia abstrakcyjne jak "zaufanie", przekraczają wasze zdolności pojmowania.

Natomiast ten klaun o końskiej głębie potrafi myśleć używając abstrakcji i im bardziej problem jest nierealny, tym lepiej. Założę się, że pasjonuje go nawet zagadnienie, ile aniołów zmieści się na czubku szpilki.

- Tym chwilowo się nie zajmuję - wtrącił się Mikah, który usłyszał słowa Jasona. Ale kiedyś będę musiał to rozważyć. Jest to problem, którego nie można zbyt lekko traktować.

- Widzisz?

Ijale skinęła głową.-'Jeżeli on się myli i ja się mylę, to znaczy, że ty musisz być tym, który ma rację. - Z zadowoleniem pokiwała głową.

- To bardzo miłe z twojej strony - uśmiechnął się Jason. - I bardzo słuszne. Nie twierdzę, że jestem nieomylny, ale mam pewność, że potrafię lepiej od każdego z was dostrzec różnicę pomiędzy abstrakcją a faktem i o wiele zręczniejszy potrafię się z nimi uporać. Poklepał się z uznaniem po ramieniu. Zebranie klubu miłośników Jasona dinAlta uważam za zamknięte.

- Ty butny potworze! - zawołał Mikah.

- Oj, siedź cicho.

- Pycha poprzedza upadek! Jesteś bluźnierczym, obrazoburczym niedowiarkiem...

- I bardzo dobrze.

- ... i ubolewam, że choć przez sekundę mogłem rozważać kwestię zachowania obojętności lub nawet

wsparcia cię, ty grzeszniku, i obawiam się, że w słabości mej duszy nie byłem w stanie oprzeć się pokusie, tak jak powinienem. Boleję nad tym, ale muszę spełnić swój obowiązek. - Załomotał w drzwi i krzyknął. - Straż! Hej, straż!

'Jason rzucił swą miskę i usiłował zerwać się na nogi. Pośliznął się jednak na rozlanej zupie i upadł. Gdy podniósł się znowu, zazgrzytały zamki i drzwi się otwarły. Gdyby mógł dosięgnąć Mikaha, zanim ten idiota otworzy usta, zamknąłby mu je na zawsze albo przynajmniej uciszyłby go, zanim nie będzie za późno.

Ale było już za późno. Narsisi wetknął głowę do środka i zamrugał, rozespany. Mikah ustawił się w najbardziej dramatycznej pozie i wskazał palcem Jasona. - Schwytajcie i aresztujcie tego człowieka. Oskarżam go o przygotowywanie rewolucji i planowanie morderstw!

Jason zatrzymał się gwałtownie i zawrócił, rzucając się w stronę leżącego przy ścianie zawiniątka. Schwytał je, rozrzucił wokoło jego zawartość i wreszcie zerwał się z młotem w garści.

- Ty zdrajco! - wrzasnęła na Mukaha i podbiegł do Narsisiego, który w osłupieniu obserwował całe to przedstawienie i zdawał się przeżuwać to, co usłyszał z ust Mikaha. Choć wyglądał na dość powolnego, nie mógł się uskarżać na opóźnioną reakcję. Jego tarcza poderwała się do góry, blokując cios, pałka natomiast zatoczyła zgrabny łuk i wyrznęła w dłoń Jasona. Jego palce rozwarły się i młotek upadł na podłogę.

- Chyba będzie lepiej, jeżeli obaj pójdziecie ze mną. Ojciec będzie wiedział, co robić - oznajmił wypychając Jasona i Mikaha za drzwi. Zamknął je

i zawołał jednego ze swych braci, by stanął na straży, a następnie poprowadził swych jeńców wzdłuż sieni. Szli, powłócząc nogami w kajdanach. Mikah ze szlachetną miną męczennika. Jason wściekle zgrzytający zębami.

Edipon nie był wcale taki głupi, gdy problem dotyczył buntu niewolników i połapał się w sytuacji, zanim Narsisi skończył mówić.

- Spodziewałem się tego i wcale mnie to nie dziwi.

- Jego oczy błysnęły wrednie, gdy spojrział na Jasona.

- Wiedziałem, że nadejdzie taka chwila, kiedy spróbujesz mnie obalić i dlatego pozwoliłem, żeby ten drugi ci towarzyszył i uczył się twych umiejętności. Tak jak przypuszczałem, zdradził cię, by zdobyć twe stanowisko, którym go teraz wynagrodzę.

- Zdradził? Nie uczyniłem tego dla osobistych korzyści! - zaprotestował Mikah.

- Tylko kierując się najczystszyimi pobudkami

- roześmiał się Jason zimno. - Nie wierz ani jednemu słowu tego bogobojnego oszusta, Ediponie. Nie planowałem żadnej rewolucji,'oskarżył mnie tylko po to, żeby zdobyć moją pracę.

- Oczerniasz mnie, Jasonie! Nigdy nie kłamie. Szykowałeś rewoltę. Powiedziałeś mi...

- Milczeć, wy dwaj, albo każę was zachłostać na śmierć! Oto mój wyrok. Niewolnik Mikah zdradził niewolnika Jasona, a to, czy niewolnik Jason szykował rewoltę czy nie, jest zupełnie nieistotne. Jego pomocnik nie oskarżyłby go, gdyby nie był pewien, że równie dobrze wykona tę pracę. I tylko to jest dla mnie ważne. Twoje koncepcje klasy pracującej sprawiły mi kłopoty i

będę bardzo zadowolony, Jasonie, jeżeli umrą razem z tobą. Mikahu, nagradzam cię mieszkaniem z kobietą Jasona i dopóki będziesz dobrze wykonywać swoją pracę, nie zabiję cię. Jeżeli długo będziesz się dobrze sprawować, będziesz długo żył.

- Najczystsze pobudki, co? To właśnie powiedziałaś, Mikahu? - krzyknął Jason, kiedy kopniakami wyprowadzono go z komnaty.

Upadek z wyżyn władzy był szybki. Po pół godzinie na przegubach Jasona znalazły się nowe kajdany i przykuto go do ściany w ciemnym pomieszczeniu wypełnionym niewolnikami. Kajdany na nogach pozostały, dodatkowo przypominając o jego nowej pozycji społecznej. Gdy tylko drzwi zostały zamknięte, zagrzecotał łańcuchami i przyjrzał się im w mdłym świetle odległej lampy.

- Jak przebiega rewolucja? - przykuty obok niewolnik nachylił się i zapytał chrapliwym szeptem.

- Bardzo zabawne, cha, cha, cha - odpowiedział Jason i nagle przysunął się bliżej, by spojrzeć na człowieka obdarzonego imponującym zezem - każde jego oko patrzyło w inną stronę. Chyba cię znam. Czy to ty jesteś nowym niewolnikiem, z którym dziś rozmawiałem?

- To ja, Snarbi, doskonały żołnierz, oszczepnik, władam maczugą i sztyłem, siedmiu wrogów zabitych na pewno, dwóch prawdopodobnie. Możesz to sprawdzić w ratuszu.

- Doskonale pamiętam, Snarbi, jak również to, że znasz drogę do Appsalii.

- Bywałem tam.

- A więc rewolucja trwa. W gruncie rzeczy właśnie się zaczyna, ale chcę ograniczyć jej rozmiary. Co byś

powiedział, gdybyśmy, zamiast oswobadzać wszystkich niewolników, uciekali tylko we dwóch?

- Najlepszy pomysł, o jakim słyszałem od chwili wynalezienia tortur. Ci głupole wcale nie są nam potrzebni, tylko plątałoby się pod nogami. Zawsze twierdzą, że takie operacje trzeba przeprowadzić szybko i niewielkimi siłami.

- Ja również tak uważam - przytaknął Jason próbując czubkiem palca namacać coś w bucie.

Kiedy Mikah go zdradził, udało mu się schować tam najlepszy pilnik i wytrych. Na Narsisiego wpadł tylko po to, by odwrócić jego uwagę.

Jason sam wykonał pilnik. Musiał dokonać wielu doświadczeń, by wreszcie otrzymać dobrą, zahartowaną stal, ale rezultat był wyśmienity. Wydlubał glinę, którą zasmarował nacięcie na kajdanach krępujących mu nogi i z zapalem wziął się do przecinania miękkiego żelaza. Po trzech minutach łańcuch leżał na podłodze.

- Jesteś czarownikiem? - szepnął Snarbi.

- Mechanikiem. Na tej planecie słowo to ma identyczne znaczenie. - Rozejrzał się wokoło, ale zmęczeni niewolnicy spali, nic nie słysząc. Owinał pilnik kawałkiem skóry, by stłumić zgrzyt i zaczął przecinać łańcuch łączący bransolety zamocowane na przegubach. - Snarbi - zapytał cicho.

- Czy jesteśmy przykuci do tego samego łańcucha?

- Tak. Łańcuch przechodzi przez żelazne bransolety wszystkich niewolników w tym rzędzie.

Drugi koniec jest przymocowany do pierścienia w ścianie.

- Wymarzona sytuacja. Przecinam jedno z ogniwo, a kiedy puści, będziemy obaj wolni. Sprawdź, czy będziesz mógł przeciągnąć łańcuch przez dziurę w

twoich kajdanach i opuścić go bez zwracania uwagi następnego niewolnika. Od tej pory będziemy nosili żelazne bransolety. Nie mamy czasu, by się z nimi teraz bawić, a poza tym, nie powinny sprawiać nam kłopotów. Czy strażnicy przychodzą tu w nocy, by sprawdzić co się dzieje?

- Od chwili, gdy tu jestem - ani razu. Tylko budzą nas rano, pociągając za łańcuch.

- Musimy więc mieć nadzieję, że będzie tak i tej nocy, bo będziemy potrzebowali sporo czasu.

Już! - Pilnik przeciął ogniwo. - Spróbuj, czy zdołasz mocno przytrzymać swój koniec łańcucha, podczas gdy ja będę trzymał swój. Spróbujemy rozgiąć ogniwo.

W milczeniu pociągnęli, każdy w swoją stronę, aż wreszcie ogniwo puściło. Wysunęli łańcuch z okowów i położyli go na podłodze, po czym bez najmniejszego szmeru podeszli do drzwi.

- Czy na zewnątrz jest straż? - zapytał Jason.

- O ile wiem, nie. Nie sądzę, by mieli wystarczająco dużo strażników, by pilnować wszystkich. Drzwi nawet nie drgnęły pod ich naporem i w skąpym świetle mogli zobaczyć wielką dziurę od

klucza potężnego zamka. Jason delikatnie wsunął w nią swój pilnik i skrzywił się z pogardą.
- Ci idioci zostawili klucz w zamku. - Zdjął najszybszy skórzany owijacz, rozprostował go i wsunął pod dolną krawędź źle dopasowanych drzwi, pozostawiając po swojej stronie jedynie maleńki skrawek, za który mógł chwycić. Potem szturchnął lekko tkwiący w dziurce klucz i usłyszał jak uderzył głucho o ziemię. Wciągnął skórę do środka wraz z leżącym na niej kluczem. Drzwi otworzyły się bezszelestnie i po chwili

byli już na zewnątrz, bacznie wpatrując się w mrok.

- Chodźmy! Uciekajmy, daleko stąd, - powiedział Snarbi, ale Jason schwycił go za gardło i przytrzymał.

- Czy na tej planecie znajdzie się ktoś z odrobiną rozsądku? Jak się masz zamiar dostać do Appsalii bez wody i jedzenia? A jeżeli nawet je znajdziesz, to jakim sposobem uniesiesz wystarczająco dużo zapasów? Jeżeli chcesz przeżyć, wypełniaj polecenia. Najpierw zamknę te drzwi, żeby nikt przypadkowo nie odkrył naszej ucieczki. Potem znajdziemy jakiś środek transportu i odjedziemy stąd jak paniska. Zgoda?

W odpowiedzi usłyszał jedynie zduszone charkota-nie. Zwolnił nieco ucisk palców i wpuścił odrobinę powietrza do płuc Snarbiego. Zduszony jęk musiał być twierdzącą odpowiedzią, Snarbi bowiem chwiejnym krokiem w ślad za Jasonem podążył ciemnym przejściem między budynkami.

Wydostanie się poza mury osiedla otaczającego rafinerię nie sprawiło im najmniejszego kłopotu, ponieważ nieliczni wartownicy spodziewali się zagrożenia jedynie z zewnątrz. Z równą łatwością dotarli do osłoniętego skórzanym parawanem warsztatu i wśliznęli się do wnętrza przez otwór, który Jason swego czasu przezornie wyciął i zasznurował witką.

- Siedź tu i niczego nie dotykaj, bo inaczej zostaniesz przeklęty do końca życia - ostrzegł dygoczącego Snarbiego. Potem zakradł się do głównego wejścia, trzymając w garści niewielki młotek. Z przyjemnością zobaczył, że jeden z synów Edipona drzemie na warcie, oparty óT słup. Jason ostrożnie uniósł jego skórzany hełm jedną ręką, drugą zaś delikatnie stuknął młotkiem. Strażnik zapadł w jeszcze głębszy sen.

- A teraz możemy się wziąć do roboty - powiedział Jason wróciwszy do warsztatu. Skrzesał ogień i zapalił knot lampy.

- Co robisz? - spytał przerażony Snarbi. - Zobaczą nas, zabiją... zbiegli niewolnicy...

- Trzymaj się mnie, Snarbi, a będziesz chodził w butach. Strażnicy nie mogą zobaczyć światła, upewniłem się, wybierając to miejsce. Poza tym mamy do odwalenia małą fuchę przed odjazdem - musimy zbudować *caro*.

Oczywiście nie musieli budować go od początku, ale w pewnym stopniu Jason miał rację. Ostatnio wyremontowany silnik miał największą moc i wciąż był przyśrubowany do stanowiska badawczego. To właśnie stanowiło rekompensatę ryzyka, na które narażał się tej nocy. Trzy koła *caro* leżały wśród rozmaitych rupieci i dwa z nich należało przymocować do silnika umieszczonego na stanowisku. Końce osi napędowej wychodziły poza krawędzie pomostu. Jason założył na nie koła, nakręcił zabezpieczające mutry i polecił Snarbiemu zacisnąć je do oporu. Na drugim końcu stanowiska znajdował się solidny, ruchomy wysięgnik służący jako podstawa kilku przyrządów testowych. Sprawiał wrażenie nieproporcjonalnie wielkiego i rzeczywiście do tych celów był już chyba zbyt duży. Kiedy Jason zdjął przyrządy, pozostała tylko jedna belka, sterująca do tyłu jak rączka rumpla. Po założeniu w przednie koło osi i zamocowaniu jej w rozwidlonej, dolnej części belki, całe stanowisko badawcze przybrało wygląd trzykołowej, sterowanej i wyposażonej w silnik parowy platformy stojącej na wspornikach. Wszystko to dokładnie odpowiadało

założeniom Jasona, wsporniki zaś dawały się łatwo zdjąć po zmontowaniu całości. Ewentualna ucieczka we wszystkich planach Jasona stanowiła zawsze pierwszy punkt programu.

Snarbi przynosił dzbany z olejem, wodą i paliwem, podczas gdy Jason napełnił zbiorniki. Potem rozpałił ogień pod kotłem i załadował na platformę narzędzia oraz mały zapas *krenoj*, które udało mu się zaoszczędzić z codziennych porcji żywnościowych. Wszystko to zabrało mu sporo czasu. Nadchodził świt i nie mógł już dłużej odkładać podjęcia decyzji.

Nie mógł pozostawić tu Ijale, a jeżeli po nią pójdzie, będzie musiał wziąć również Mikaha. W

końcu Samon uratował mu życie i nieistotne było, jakie koszarne idiotyzmy udało mu się od tej pory wyciąć. Jason był zdania, że ma pewien dług wobec człowieka, który przedłużył jego istnienie, ale zarazem zastanawiał się, jak wielki jest jeszcze ten dług. Miał wrażenie, że w przypadku Mikaha jego saldo było cholernie małe, jeżeli nawet go nie przekroczył.

- Pilnuj *caro*, wróć tak szybko, jak będę mógł - powiedział zeskakując na ziemię i nakładając swe oporządzenie.

- Co? Chcesz, żebym został tu z piekielną machiną? Nie mogę! Spali mnie i pożre.

- Zachowuj się jak dorosły, Snarbi, jeżeli nie umyślowo, to przynajmniej fizycznie. Ta jeżdżąca kupa złomu została sporządzona przez ludzi, ja zaś ją zreperowałem i udoskonaliłem. I żadne demony nie miały z tym nic wspólnego. Pałę pod kotłem, żeby otrzymać parę, która wchodzi do tej rury, popycha ten drążek, ten z kolei porusza koła i dzięki temu pojazd jedzie. Tyle o teorii silnika parowego. Może lepiej zrozumiesz to, co ci teraz powiem -ja i tylko ja mogę cię stąd bezpiecznie wydostać. Zostaniesz więc i będziesz robił to, co każę albo rozwalę ci łeb. Jasne?

Snarbi w milczeniu skinął głową.

- Dobra. Masz tylko siedzieć i patrzeć na tę zieloną tarczę. Widzisz ją? Kiedy zobaczysz, że chce odskoczyć, a ja do tego czasu jeszcze nie wrócę, obróć tę dźwignię w tym kierunku. Jasne?

Dzięki temu zawór bezpieczeństwa się nie otworzy, budząc całą okolicę, i będziemy mieli odpowiednie ciśnienie pary.

Jason minął ciągle jeszcze nieprzytomnego strażnika i skierował się z powrotem w stronę rafinerii. Uzbrojony był nie w pałkę i sztylet, lecz w dobrze zahartowany miecz, który udało mu się wykonać pod samym nosem strażników. Sprowadzali wszystko, co przynosił do warsztatu ze swego pokoju, w którym pracował wieczorami, ale zupełnie nie zwracali uwagi na to, co robi, całkowicie bowiem przekraczało to ich zdolności pojmowania. Ten prymitywizm myślenia był wręcz nieoceniony, gdyż dzięki niemu mógł teraz wziąć ze sobą również całe zawiniątko granatów zapalających. Była to prosta broń szturmowa, której pochodzenie ginęło gdzieś w prehistorii. Niewielkie garnki wypełnił płynem. Od smrodu kręciło mu się w głowie, ale miał nadzieję, że w odpowiednim czasie granaty wynagrodzą jego wysiłki. Zresztą, nadzieja była tym, co mu pozostało, gdyż nie miał jeszcze okazji wypróbować swego dzieła. By się posłużyć nim, należało zapalić szmatę, którą owinięty był garnek, i rzucić. Garnek pękał w chwili uderzenia, a lont zapalał zawartość. Taka przynajmniej była teoria.

Powrót był równie łatwy jak wyjście i Jason poczuł coś w rodzaju żalu. Najwidoczniej jego podświadomość miała nadzieję, że wystąpią jakieś przeszkody, które pozwolą mu ratować się ucieczką - najwyraźniej była ona niezbyt zainteresowana ratowaniem niewolnicy oraz jego anioła pomsty, zwłaszcza gdy w grę wchodziła własna skóra. Dotarł jednak do budynku, w którym znajdowało się jego dawne pomieszczenie mieszkalne i zerknął za węgiel, by zobaczyć, czy jest strażnik przy drzwiach. Był. Wprawdzie sprawiał wrażenie pogrążonego w drzemce, ale coś wyrwało go z niej gwałtownie. Nic nie usłyszał, wciągnął jednak powietrze nosem i zmarszczył się. Intensywny zapach wody mocy wydobywający się z granatów rozbudził go i dostrzegł Jasona zanim ten zdążył się cofnąć.

- Kto tam? - wrzasnął strażnik i nadbiegł ciężkim truchtem.

Nie sposób było załatwić tego po cichu. Jason skoczył z okrzykiem i pchnął. Strażnik nigdy przedtem nie widział miecza i jego ostrze trafiło go prosto w gardło zanim zdążył się zasłonić.

Wyzionął ducha z bulgoczącym jękiem, który rozbudził jakieś głosy wewnątrz budynku. Jason przeskoczył przez zwłoki i zaczął mocować się z licznymi zamkami i ryglami. W oddali rozległy się już kroki, gdy wreszcie otworzył drzwi i wbiegł do środka.

- Wyoście się stąd i to szybko. Uciekamy! - krzyknął i popchnął oszołomioną Ijale w stronę drzwi. Z wielką przyjemnością wymierzył potężnego kopa, który dosłownie wyrzucił Mikaha na zewnątrz, gdzie zderzył się z nadbiegającym i wymachującym pałką Ediponem. Jason przeskoczył przez kotłujące się po ziemi ciała, stuknął *d'zertano* za uchem ręką miecza i szarpnięciem postawił Mikaha na nogi.

- Biegnijcie do warsztatu - rozkazał swym wciąż nic nie rozumiejącym towarzyszom. Mam *caro*,

którym będziemy mogli stąd uciec. - Wreszcie zaczęli niezdarnie biec.

Za ich plecami rozległy się okrzyki i ukazał się tłum uzbrojonych *cTzertanoj*. Jason schwycił wiszącą w sieni lampę, parząc sobie ręce o jej gorącą podstawę i przytknął płomień do jednego z granatów. Lont natychmiast zajął się ogniem i Jason cisnął granat w zbliżających się żołnierzy, zanim zdążył poparzyć mu dłonie. Pocisk poleciał w ich kierunku, uderzył w ścianę i pękł z trzaskiem. Łatwo palny płyn rozprysnął się we wszystkie strony, ale płomień zgasł. Jason zaklął i schwycił następny granat. Jeżeli nie będą działać, zginie. *D'zer-tanoj* zawahali się przez chwilę, zastanawiając się czy mają przejść przez kałużę wody mocy i w tej samej chwili *dinAlt* cisnął następny pocisk zapalający. Ten również pięknie się roztrzaskał, tym razem spełnił nadzieje swego producenta, zapalił bowiem również pierwszy granat. Całe przejście przesłoniła ściana ognia. Jason osłonił knot dłonią, by uruchomić go przed zgaśnięciem i pobiegł w ślad za swymi towarzyszami.

Mimo wszystko poza budynkiem nie wszczęto jeszcze alarmu. Jason zaryglował drzwi z zewnątrz. Zanim je wyłamał i opanował zamieszanie, cała trójka wydostała się z rafinerii. Lampa nie była już potrzebna i mogła tylko go zdradzić, więc ją zdmuchnął. Z pustyni dobiegł przeciągły, przeszywający gwizd.

- Ó rany - jęknął Jason. - Nie dopilnował. To zawór bezpieczeństwa!

Wpadł w ciemności na oszołomionych *Ijale* i *Mika-ha*, kopnął *Samona*, wyrażając w ten sposób nienawiść do całego rodzaju ludzkiego i biegiem poprowadził oboje uciekinierów w stronę warsztatu.

Dzięki panującemu wokół zamieszaniu udało im się umknąć bez szwanku. Wyglądało na to, że *cTzertanoj* nigdy dotąd nie zostali zaatakowani w nocy. Uznali jednak, że tak właśnie się stało i w związku z tym biegali bezładnie, robiąc niewiarygodny hałas. Płonący budynek i wyniesiony z ognia nieprzytomny *Edipon* wywołały jeszcze większe podniecenie i bałagan. Wszystkich *d'zertanoj* dodatkowo zdenerwował gwizd pary, która bezpowrotnie uciekała z zaworu bezpieczeństwa w mroźne powietrze nocy.

Nikt nie dostrzegł uciekających niewolników i *Ja-son* poprowadził ich prosto w stronę warsztatu, wymijając posterunek na murach. Zauważono ich dopiero, gdy wyszli na otwartą przestrzeń i po chwilowym wahaniu strażnicy ruszyli w pościg. Jason wiedział, że wskazuje nieprzyjaciółom drogę wprost do swego bezcennego pojazdu, ale nie miał wyboru. Tak czy owak, machina zdradziła już swą obecność i jeżeli natychmiast do niej nie dotrze, ciśnienie pary spadnie tak, że znajdą się w pułapce. Przeskoczył nad leżącym w wejściu strażnikiem i podbiegł do pojazdu. *Snarbi* siedział skulony za jednym z kół, ale nie było czasu, żeby się nim teraz zajmować. W chwili gdy Jason wskoczył na platformę, zawór bezpieczeństwa się zamknął i zapadła przerażająca cisza.

Gorączkowo przekręcił zawory i spojrzął na wskaźniki - pary nie wystarczyłoby nawet na przejechanie dziesięciu metrów. Woda bulgotała, kocioł potrzaskiwał i syczał, ze strony zaś *d'zertanoj*, którzy wbiegli do nagrody i ujrzeni *caro*, zerwała się burza wściekłych wrzasków. Jason wetknął lont granatu do paleniska. Zajął się natychmiast. Odwrócił się i cisnął granat w prześladowców. Okrzyki wściekłości zmieniły się we wrzaski przerażenia, gdy języki płomieni zaczęły lizać napastników. Rzucili się do bezładnej ucieczki. Jason przyspieszył ją jeszcze, ciskając następny granat. Wyglądało na to, że *d'zertanoj* wycofali się aż pod mury rafinerii, ale trudno było przewidzieć, czy niektórzy z nich nie skradają się gdzieś z boku pod osłoną ciemności.

Biegiem wrócił do *caro*, stuknął w tkwiący nieruchomo wskaźnik ciśnienia pary i otworzył na cały regulator dopływ paliwa. Po chwili namysłu zablokował również zawór bezpieczeństwa, wzmocniony bowiem kocioł mógł wytrzymać o wiele większe ciśnienie. Gdy skończył to robić, mógł tylko usiąść i czekać, ponieważ dopóki ciśnienie znowu nie wzrośnie, był zupełnie bezradny. *D'zertanoj* zbiorą się, ktoś obejmie dowództwo i zaatakują warsztat. Jeżeli, zanim do tego dojdzie, w kotle będzie już wystarczająco dużo pary, zdołają uciec. Jeżeli nie...

- *Mikah*... *Snarbi*, ty skulony mazgaju, ty też... stańcie za machiną i pchajcie - rozkazał Jason.

- Co się stało? - zapytał *Mikah*. - Rozpocząłeś rewolucję? Jeżeli tak, to nie będę pomagał...

- Uciekamy, jeżeli cię to uspokoi. Tylko ja, *Ijale* i przewodnik, który wskaże nam drogę. Nie

musisz się do nas przyłączać.

- Przyłączę się. Ucieczka od tych barbarzyńców nie jest przestępstwem.

- To miłe, że tak uważasz. A teraz pchaj. Chcę żeby ten paromobil stanął pośrodku, daleko od ogrodzenia i skierowany był w stronę pustyni. W głąb doliny, jak sądzę. Mam rację, Snarbi?

- Tak, w głąb doliny, tam jest droga. - Jason z przyjemnością zauważył, że Snarbi wciąż jest zachrypnięty.

- Ustawcie go tutaj i wszyscy na pokład. Złapcie się za te prety, które przymocowałem z boków, żeby was nie wyrzuciło... jeżeli w ogóle ruszymy...

Jason szybko rozejrzał się po warsztacie, by upewnić się, że zabrał wszystko, czego będą mogli potrzebować, po czym ociągając się wspinał się na platformę i zdmuchnął latarnię. Siedzieli w ciemności, z twarzami oświetlonymi jedynie migoczącym odbłaskiem płomieni z paleniska i czuli wzrastające napięcie. Nie mieli możliwości mierzenia upływającego czasu i każda sekunda wydawała się trwać całą wieczność. Skórzane ściany nie pozwalały zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz i wyobraźnia zaludniała mroki nocy skradającymi się hordami, gromadzącymi się za cienką przegrodą, gotowymi runąć i zmiażdżyć ich swym naporem.

- Uciekamy - wybełkotał Snarbi, próbując zeskoczyć z platformy. - Jesteśmy w pułapce, nigdy się stąd nie wydostaniemy.

Jason podciął go, przewrócił i kilkakrotnie wyrzucił głową Snarbiego w deski.

- Solidaryzuję się z tym nieszczęśnikiem - stwierdził poważnie Mikah. - Jesteś brutalem, Jasonie, traktując go w ten sposób. Przerwij te sadystyczne ekscesy i przyłącz się do mych modłów.

- Gdyby ten nieszczęśnik, którego tak żałujesz, zrobił to, co do niego należało i dopilnował kotła, bylibyśmy już daleko stąd. A jeżeli masz wystarczająco dużo tchu w piersiach, by się modlić, lepiej zrobisz dmuchając w palenisko. To nie pobożne życzenia, modlitwy czy też opatrność nas stąd wyciągną, ale ciśnienie pary...

Rozległ się okrzyk bojowy, podjęty przez liczne głosy i grupa *d'zertanoj* wdarła się przez wejście do warsztatu. W tej samej chwili runęła tylna ściana i w wyłomie zaroilo się od zbrojnych. Nieruchome *caro* znalazło się między dwoma atakującymi oddziałami. Napastnicy biegali rechocząc z radości. Jason zaklął, zapalił jednocześnie lonty czterech granatów i cisnął po dwa w każdą stronę. Zanim uderzyły w cel, podskoczył do zaworu i puścił parę do kotła. Z syczącym szcękaniem *caro* drgnęło i ruszyło naprzód. Na chwilę *d'zertanoj* powstrzymały ściany ognia, a gdy machina zaczęła wypełzać pomiędzy obu grup, wybuchnęli wściekłym wrzaskiem. W powietrzu zaświstały bełty z kusz, ale większość była źle wycelowana i tylko kilka wbiło się w bagaże. Prędkość narastała z każdym obrotem kół i gdy uderzyli w ogrodzenie, skóry pękły z trzaskiem, smagnawszy ich strzypami. Okrzyki za nimi stawały się coraz cichsze, ognie coraz mniejsze, podczas gdy machina z samobójczą prędkością mknęła w głąb doliny sycząc i pobrzekując na wybojach. Jason z całych sił trzymał rumpel i dał się na Mikaha, by przyszedł i go zmienił przy sterze. Gdyby puścił rumpel, pojazd natychmiast by się przewrócił, a dopóki go trzymał, nie mógł zmniejszyć dopływu pary.

Wreszcie któryś z okrzyków dotarł do Mikaha, który rozpaczliwie chwytając każdy dostępny chwyt, doczoł-gał się na przód pomostu i kucnął obok Jasona.

- Złap za rumpel, trzymaj go prosto i staraj się wyminąć wszystko, co zdołasz zobaczyć.

Jason, wreszcie przekazawszy ster, przedostał się do silnika i zakręcił zawór. Machina zwalniała stopniowo i wreszcie stanęła. Ijale jęknęła, a Jason czuł się tak, jakby każdy cal jego ciała był dokładnie zbity młotkiem. Pościgu nie było - upłynie przynajmniej godzina, zanim zdołają podnieść ciśnienie pary w swoich *caroj*, a nikt nie zdoła na piechotę dorównać ich zawrotnej prędkości. Latarnia, której poprzednio używali, zniknęła podczas tej szaleńczej jazdy i Jason wyciągnął drugą, swej własnej konstrukcji.

- Wstawaj, Snarbi - rozkazał. - Wydobyłem nas z okowów i najwyższa pora, byś przystąpił do wypełniania swoich obowiązków przewodnika. Nigdy nie nadarzyła mi się sposobność zamontowania reflektorów do tego *caro*, będziesz więc musiał iść z tym światłem przed nami i wybierać gładką drogę prowadzącą we właściwym kierunku.

Snarbi niepewnie zlął z platformy i ruszył przodem. Jason odkręcił nieco zawór i wehikuł ruszył grzechocząc. Mikah sterował, kierując się w ślad za Snarbim, Ijale zaś podczołgała się do Jasona i

przytuliła do jego boku, drżąc z zimna i strachu. Poklepał ją po ramieniu.

- Uspokój się - powiedział. - Od tej pory będzie to zwykła przejażdżka.

Rozdział 10

Byli już sześć dni drogi od PutPko i ich zapasy prawie uległy wyczerpaniu. Kraj, w którym znaleźli się po opuszczeniu gór, stał się bardziej żyzny i pofalowane lekko, pokryte trawą prerie pełne strumieni i stad zwierząt pozwalały sądzić, że nie umrą z głodu czy pragnienia. Problemem było paliwo i tego popołudnia Jason otworzył ostatni dzban. Zatrzymali się kilka godzin przed zapadnięciem ciemności, skończyło się bowiem świeże mięso. Snarbi wziął kuszę i wyruszył upolować coś do jedzenia. Ponieważ był jedynym człowiekiem, który potrafił obchodzić się z tą niezgrabną bronią i znał miejscową zwierzynę, jemu właśnie powierzono ten obowiązek. Po dłuższym obcowaniu, jego strach przed *caro* zmniejszył się, natomiast uznanie, którym cieszył się jako myśliwy, wyraźnie podniosło go we własnych oczach. Pomaszerował dumnie przez sięgającą mu do kolan trawę, przerzuciwszy kuszę przez ramię i fałszywie pogwizdując przez zęby. Jason patrzył w ślad za nim i znowu poczuł ogarniający go niepokój.

- Nie ufam temu krzywookiemu najemnikowi, nie ufam mu ani na jotę.

- Mówiłeś coś do mnie? - zapytał Mikah.

- Nie, ale teraz mam do ciebie pytanie. Czy zauważyłeś coś ciekawego w okolicy, przez którą przejeżdżaliśmy, coś innego?

- Nic. To dzięki miejsce, nietknięte ludzką ręką.

- No to musisz być ślepy, bo od dwu dni to i owo wpadło mi w oko, choć na tropieniu znam się równie mało, jak ty. Ijale! - zawołał i dziewczyna odwróciła się od kotła, na którym podgrzewała rzadką zupkę z ostatnich *krenoj*. - Zostaw tę lurę - i tak będzie smakować koszmarnie, bez względu na to co z nią zrobisz, a jeżeli Snarbi będzie miał szczęście, zjemy pieczone mięso. Powiedz mi, czy widziałaś coś dziwnego albo innego w miejscach, przez które przejeżdżaliśmy dzisiaj?

- Nic dziwnego, tylko ślady ludzi. Dwa razy mijaliśmy miejsca, w których trawa była zgnieciona, a gałęzie połamane, jakby przejeżdżało tędy jakieś *car o*, dwa, trzy dni temu, może więcej. I raz było miejsce, gdzie ktoś palił ognisko, ale to było bardzo stare.

- Zupełnie nic, co, Mikah? - powiedział Jason unosząc brwi. - Popatrz, co poszukiwanie *krenoj* może zrobić z ludzkim zmysłem obserwacji.

- Nie jestem dzikusiem. Nie możesz się spodziewać, bym zwracał uwagę na tego typu rzeczy.

- Nie mogę. W ogóle nauczyłem się nie spodziewać od ciebie niczego, poza kłopotami. Ale teraz potrzebna mi będzie twoja pomoc. To będzie ostatnia noc Snarbiego na wolności, poza tym nie chcę, by tej nocy stał na warcie. Musimy więc pełnić straż tylko we dwóch.

Mikah był zdziwiony. - Nic nie rozumiem. Co miałeś na myśli mówiąc, że to jego ostatnia noc na wolności?

- Po tym jak miałeś możliwość zaobserwować funkcjonowanie tutejszej etyki, powinno to być oczywiste nawet dla ciebie. Jak myślisz, co powinniśmy zrobić, kiedy dojedziemy do Appsalii? Isć za Snarbim jak owce na rzeź? Nie mam pojęcia, co zamierza, ale wiem, że na pewno coś kombinuje. Kiedy pytam go o miasto, odpowiada tylko ogólnikami. Oczywiście, to tylko najemnik, który może nie znać zbyt wielu szczegółów, ale musi wiedzieć o wiele więcej, niż nam mówi. Twierdzi, że jesteśmy jeszcze cztery dni drogi od miasta. Ja natomiast sądzę, że nie więcej niż jeden czy dwa. Mam zamiar rankiem schwytać go i związać, a potem odjechać w bok, między te wzgórza. Tam przycupniemy. Przyszykuję łańcuchy dla Snarbiego, żeby nie mógł zwiać, a następnie wybiorę się do miasta na zwiady.

- Masz zamiar bez żadnego powodu zakuć tego nieszczęśnika w łańcuchy?

- Nie mam zamiaru robić z niego niewolnika. Zakuję go profilaktycznie, by się upewnić, że nie wciągnie nas w jakąś pułapkę. To podrasowane *caro* jest wystarczająco cenne, by skusić kogoś z miejscowych, a gdyby udało mu się również sprzedać mnie jako inżyniera-niewolnika, to na pewno zbije fortunę.

- Nie chcę tego słuchać! - ryknął Mikah. - Skazałeś tego człowieka nie mając nawet cienia dowodu, tylko na podstawie swych perfidnych uprzedzeń. Nie sądzicie, byście nie byli sądzeni! I

nie bądź hipokrytą, dobrze bowiem pamiętam, jak sam mi tłumaczyłeś, że człowiek jest niewinny dopóty, dopóki jego wina nie zostanie udowodniona.

- Cóż, ten człowiek jest winny, jeżeli chcesz widzieć to w ten sposób, winny należenia do tego pieprzonego społeczeństwa. Oznacza to, że w określonych okolicznościach będzie zawsze działał w określony sposób. Czy niczego nie zdążyłeś się jeszcze nauczyć o tych ludziach? Ijale! - Dziewczyna uniosła oczy, przerywając szczęśliwe przeżuwanie *kreno*. Najwidoczniej nie zwracała uwagi na całą tę sprzeczkę.

- Powiedz mi, jak ty uważasz? Wkrótce przybędziemy do miejsca, gdzie Snarbi ma przyjaciół albo też ludzi, którzy mu pomogą. Jak sądzisz, co zrobi?

- Powie "cześć" znajomym. Może dadzą mu *kreno*. - Uśmiechnęła się, zadowolona z odpowiedzi i ugryzła jeszcze raz.

- To nie to, o co mi chodziło - wyjaśniał cierpliwie Jason. - Co się stanie, gdy będziemy z nim razem, kiedy przyjedziemy do tych ludzi i zobaczą nas i *caro*...

Zerwała się przerażona.

- Nie możemy z nim jechać. Jeżeli będą z nim ludzie, pokonają nas, wezmą w niewolę, zabiorą *caro*. Musimy zaraz zabić Snarbi.

- Krwiożercza poganka... - rozpoczął Mikah swym najbardziej prokuratorskim tonem, ale urwał, widząc jak Jason bierze do ręki ciężki młotek.

- Czy jeszcze nie zrozumiałeś? - zapytał dinAlt.

- Wiążąc Snarbiego, po prostu stosuję się do miejscowego kodeksu etycznego, do zwyczajów takich jak salutowanie w wojsku, czy też niejedzenie palcami w towarzystwie. Prawdę mówiąc jestem trochę niechlujny, ponieważ zgodnie z miejscowymi obyczajami powinienem go zabić, zanim narobi nam kłopotów.

- To niemożliwe. Nie wierzę. Nie możesz osądzić i skazać człowieka na podstawie tak nikłych dowodów.

- Nie potępiam go - rzekł Jason, czując wzrastającą irytację. - Po prostu chcę się upewnić, że nie podłoży nam jakiejś świni. Nie musisz mi pomagać, tylko mi nie przeszkadzaj. I pełń wartość na zmianę ze mną. Cokolwiek zrobię rano, będzie to wyłącznie mój kłopot i możesz się tym nie przejmować.

- Wraca - szepnęła Ijale i w chwilę potem Snarbi wyłonił się z wysokiej trawy.

- Upolowałem *ceno* - oznajmił dumnie i rzucił zwierzę przed nimi. - Pokrój je, z mięsa dobry gulasz i pieczeń. Będziemy jeść.

Sprawił wrażenie uosobienia niewinności. Jedyłą rzeczą, która mu nadawała podstępny wygląd, było biegające spojrzenie, które jednak można było przypisać zezowi. Jason zastanawiał się przez chwilę, czyjego przecucie niebezpieczeństwa było słuszne, potem jednak przypomniał sobie, gdzie się znajduje i natychmiast stracił wątpliwości. Jeżeli Snarbi spróbuje go zabić lub uwięzić, nie popełni żadnego przestępstwa, będzie robił po prostu to, co każdy szanujący się przedstawiciel tego barbarzyńskiego, niewolniczego społeczeństwa by uczynił. Jason zaczął szukać w swej skrzynce na narzędzia odpowiednich nitów, dzięki którym mógł założyć kajdany na nogi Snarbiego.

Najedli się do syta, a gdy pozostali wraz z zapadnięciem zmroku zasnęli szybko, Jason ocieężały po

posiłku i zmęczony całodziennym trudem wędrówki, bronił się przed zapadnięciem w sen. Niebezpieczeństwo, którego się spodziewał, mogło zaistnieć w samym obozie, jak też nadciągnąć z zewnątrz. Gdy sen począł morzyć go coraz silniej, wstał i zaczął chodzić naokoło obozu, aż do chwili, kiedy chłód zapędził go znowu w pobliże ciągle jeszcze gorącego kotła. Nad jego głową gwiazdy przesuwały się z wolna i gdy jedna, najjaśniejsza dotarła do zenitu, uznał, że jest już północ albo tuż po pomocy. Obudził Mikaha.

- Teraz ty. Wyteżaj wzrok i słuch, uważaj, czy coś się nie rusza i pamiętaj, żeby pilnie zważać na tego tam.

- Wskazał kciukiem nieruchomą postać Snarbiego.

- Obudź mnie, gdyby zdarzyło się coś podejrzanego.

Sen nadszedł natychmiast i Jason prawie nie drgnął aż do chwili, kiedy na niebie pojawił się pierwszy brzask. Widać było tylko najjaśniej świecące gwiazdy i mgłę unoszącą się z otaczających ich traw. Niedaleko dostrzegł skulone kształty dwojga śpiących ludzi. Leżący dalej poruszał się przez sen i Jason stwierdził, że jest to Mikah.

Ściągnął z niego przykrywające skóry i potrząsnął za ramiona. - Dlaczego śpisz? - krzyknął rozwścieczony. - Miałeś stać na warcie!

Mikah otworzył oczy i zamrugnął z majestatyczną pewnością siebie. - Stałem na straży, ale gdy zbliżał się ranek, Snarbi obudził się i zaproponował, że teraz on popilnuje. Nie mogłem mu odmówić.

- Nie mogłeś? Po tym co ci powiedziałem...

- Właśnie dlatego. Nie mogę uznać nie udowodnionej winy tego człowieka i współuczestniczyć w

twych niesłusznych poczynaniach. Dlatego też pozwoliłem mu stanąć na warcie.

- Pozwoliłeś stanąć mu na warcie! - Jason nieomal dusił się słowami. - No to gdzie on jest?

Czy widzisz, by ktokolwiek stał na straży?

Mikah uważnie rozejrzał się wokół i spostrzegł, że pozostali tylko oni dwaj i budząca się ze snu Ijale.

- Wygląda na to, że sobie poszedł. Okazał się więc człowiekiem niegodnym zaufania i w przyszłości nie pozwolimy mu stać na straży.

Jason zamachnął się nogą, chcąc go kopnąć, ale uzmysłowił sobie, że nie czas teraz na przyjemności i skoczył do parowozu. Krzesiwo, ku jego zdumieniu, natychmiast dało iskrę i udało mu się rozpaść pod kotłem. Płomień zahuczał radośnie, ale gdy postukał we wskaźnik, zobaczył, że paliwa już nie ma. Zawartość osatniego dzbana powinna pozwolić im dojechać w bezpieczne miejsce, zanim dadzą o sobie znać kłopoty, które Snarbi chciał im ściągnąć na głowę. Ale dzbana również nie było.

- No to jesteśmy załatwieni - oznajmił Jason z goryczą po gorączkowych poszukiwaniach na platformie *caro* i w najbliższej okolicy. Woda mocy zniknęła wraz ze Snarbim, który, choć pełen obaw przed machiną parową, był wystarczająco bystry, by obserwując jak Jason uzupełnia paliwo, uzmysłowił sobie, że *caro* nie pojedzie bez tego tajemniczego płynu.

Uczucie całkowitej rezygnacji wyparło poprzednią wściekłość. Przecież wiedział, że nie powinien ufać Mikahowi w niczym, szczególnie jeżeli wiązało się to z jego koncepcjami etycznymi. Patrzył, jak Samon

konsumuje kawałek zimnego mięsa i podziwiał jego niezmacony spokój.

- Czy nie przejmujesz się tym drobiazgiem - zapytał - że w gruncie rzeczy ponownie skazałeś nas na niewolnictwo?

- Uczyniłem to, co uważałem za słuszne. Nie miałem wyboru. Musimy albo żyć jako istoty moralne, albo zniżyć się do poziomu zwierząt.

- Kiedy jednak żyjesz wśród ludzi, którzy zachowują się jak zwierzęta, to w jaki sposób zamierzasz przeżyć?

- Żyją tak, jak ty żyjesz, Jasonie - oznajmił Mikah z ciężką ironią - wijąc się i skręcając ze strachu, ale mimo swych wysiłków, niezdolni do uniknięcia swego losu. Można też żyć tak, jak ja to czynię, żyć jak człowiek, który ma przekonania, wie co jest słuszne i nie pozwoli zawrócić sobie głowy drobnymi potrzebami dnia codziennego. Jeżeli żyje się według tych zasad, można umrzeć szczęśliwie.

- Więc umrzyj szczęśliwy! - syknął Jason i schwycił rękojeść miecza. Puścił ją jednak z ponurą miną, nie dobywając ostrza z pochwy. - Pomyśleć, iż kiedykolwiek miałem złudzenie, że zdołam cię czegoś nauczyć o realiach tutejszego życia, skoro nigdy przedtem nie miałeś do czynienia z rzeczywistością. I pewnie do śmierci nie będziesz miał. Stosujesz się do własnego kodeksu zachowań, które są twą realnością, otaczają cię zawsze i wszędzie i są bardziej materialne dla ciebie niż ziemia, na której siedzisz.

- Po raz pierwszy się zgadzamy, Jasonie. Próbowałem otworzyć twe oczy na światło prawdy, ale

ty się odwracasz i nie chcesz go dostrzec. Nie zwracasz uwagi na Wieczne Prawo, zaślepiony wymogami chwili i dlatego też zostaniesz potępiony. Wskaźnik ciśnienia zasyczał i odskoczył, ale poziom paliwa spadł do zera.

- Weź trochę jedzenia na śniadanie Ijale - powiedział Jason - i odsuń się od maszyny. Paliwo się skończyło, a *car o* również zaraz szlag trafi.

- Mogę zrobić węzełek i uciekniemy pieszo.

- Nie, to odpada. Snarbi zna okolicę i wie również, że o świcie zorientujemy się, że zniknął. Nie wiem, jakie świństwo nam przygotował, ale na pewno jest już gdzieś blisko i pieszo nie zdołamy przed nim uciec. Lepiej więc będzie oszczędzać nasze siły. Ale na pewno nie dostaną mojego wychuchanego, podrasowanego paromobilu! - dodał gwałtownie, chwytając kuszę. - Cofnijcie się oboje, cofnijcie się. Znowu zrobią ze mnie niewolnika, ale nie dostaną próbki mojego talentu. Jeżeli będą chcieli mieć takie *supercaro*, będą musieli za nie zapłacić!

Położył się w odległości maksymalnego zasięgu kuszy i trzecim pociskiem trafił. Kocioł eksplodował z przepięknym hukiem i małe odłamki metalu oraz drewna posypały się wokół. Z oddali dobiegły okrzyki i szczekanie psów.

Wstał i dostrzegł, że przez wysoką trawę nadchodzi grupka mężczyzn. Gdy podeszli bliżej, zobaczył również wielkie psy, biegnące na smyczy. Choć przez tych kilka godzin musieli przebyć spory dystans, zbliżali się równym truchtem - doświadczeni biegacze w odzieży z cienko wyprawionej skóry, uzbrojeni w krótkie łuki i kołczany pełne strzał. Rozsypali się w półkole zatrzymując się w chwili, gdy Jason i jego towarzysze znaleźli się w zasięgu strzału. Założyli strzały na cięciwy i stali tak nieruchomo, czujnie, w sporej odległości od dymiących szczątków *caro*, do chwili gdy wreszcie przywłókł się Snarbi, podtrzymywany przez dwóch biegaczy.

- Należyście... teraz do... Hertuga Perssona... i jesteście jego... niewolnikami... - wykrztusił. Był chyba zbyt zmęczony, by zwracać uwagę na otoczenie. - Co się stało z *caro*? - wrzasnął wreszcie, gdy zobaczył dymiący wrak. Zapewne przewróciłby się z wrażenia, gdyby nie podtrzymujące go ramiona. Najwidoczniej wraz z utratą maszyny wartość niewolników spadła.

Snarbi pokuśtykał do smętnych resztek wehikułu i ponieważ żaden z żołnierzy nie zechciał przyjść mu z pomocą, sam pozbierał odnalezione narzędzia i wykonane przez Jasona przedmioty. Gdy wreszcie zapakował je, piesi kawalerzyści widząc, że nie odniósł żadnego szwanku, niechętnie zgodzili się je nieść. Jeden z żołnierzy, ubrany tak jak pozostali, sprawiał wrażenie dowódcy i gdy dał znak do powrotu, jego podwładni zbliżyli się do jeńców i szturchając ich łokciami, zmusili do powstania.

,- Dobra, dobra - powiedział Jason, kończąc o-gryzać kość - zaraz pójde. Oczywiście wyobraźni widzę długi szereg posiłków składających się wyłącznie z *kre-noj*, chcę więc nacieszyć się swym ostatnim śniadaniem przed powrotem w grono niewolników.

Żołnierze patrzyli po sobie zdezorientowani i spytali swego dowódcę o rozkazy.

- Kto to taki? - zwrócił się do Snarbiego, wskazując siedzącego wciąż na ziemi Jasona. - Czy jest jakiś powód, dla którego nie mogę go zabić?

- Nie możesz! - wykrztusił zdławionym głosem Snarbi, bielejąc jak mocno przybrudzone płótno. - To on właśnie zbudował diabelski pojazd i zna wszystkie jego tajemnice. Hertug Persson zmusi go torturami, by zbudował drugi.

Jason wytarł palce o trawę i wstał.

- W porządku, panowie, idziemy. A po drodze może ktoś zechce mi powiedzieć, kto to taki ten Hertug Persson i co mamy dalej w programie.

- Powiem ci - helpił się Snarbi, idąc obok Jasona. - On jest Hertugiem Perssonoj. Walczyłem dla Persso-noj, znają mnie i dlatego mogłem ujrzeć Hertuga we własnej osobie, i on mi uwierzył. Perssonoj są bardzo potężni w Appsali i znają wiele ogromnych tajemnic, ale nie są tak potężni jak Trozelligoj, którzy posiadli sekrety *car oj* i *jetilo*. Wiem, że będę mógł *zaządać* od Perssonoj każdej ceny, jeżeli dostarczę im sekret *caroj*. I zrobię to. - Przynął twarz do twarzy Jasona i wykrzywił się straszliwie. - Ujawnisz im ten sekret. Pomogę im torturować cię, dopóki nie powiesz.

Jason wysunął lekko nogę. Snarbi potknął się i gdy upadł jak długi, DinAlt ze spokojem

pomaszerał po nim. Żaden z żołnierzy nie zwrócił uwagi na ten incydent. Kiedy wszyscy przeszli, zdrajca podniósł się *zataczając* i pokuśtykał ich śladem, miotając przekleństwa. Jason prawie go nie słyszał. Miał na głowie wystarczająco dużo własnych kłopotów.

Rozdział 11

Z otaczających wzgórz Appsala wyglądała jak płonące miasto zalewane przez morze. Dopiero gdy podeszli bliżej, mogli się przekonać, że dym wydobywa się z niezliczonych kominów, dużych i małych, sterczących ze wszystkich budynków, miasto zaś zaczyna się na brzegu i jest położone na licznych wyspach rozsypanych na płytkiej lagunie. Do nabrzeża, znajdującego się na mierzei oddzielającej lagunę od morza, zacumowane były duże statki morskie, natomiast bliżej lądu stałego, po kanałach kursowały mniejsze jednostki. Jason rozglądał się z niepokojem, próbując odnaleźć kosmoport lub ślady kontaktów międzyplanetarnych, ale bez skutku. Kiedy droga zaczęła przebiegać po zboczach, pagórki przesłoniły widok. Do brzegu zbliżali się w pewnej odległości od miasta.

Do cypla kamiennego nabrzeża był przycumowany okazały żaglowiec, oczekujący najwyraźniej na nich. Jeńcom związano ręce i nogi, po czym wrzucono ich do ładowni. Jason wiercił się i kręcił tak długo, aż wreszcie zdołał przytknąć oko do szpary między dwiema źle dopasowanymi deskami. Zaczął opisywać i komentować to, co widział podczas tej krótkiej podróży.

Pozornie czynił to, by poinformować swych towarzyszy, ale na dobrą sprawę, bardziej chodziło mu o własne samopoczucie, słysząc bowiem swój głos czuł się zawsze różnie.

- Nasza podróż zbliża się do końca i przed nami ukazuje się romantyczne i starodawne miasto Appsala słynne ze swych obrzydliwych obyczajów, tubylców o morderczych skłonnościach i archaicznych instalacji sanitarnych. Dzięki nim wody kanału, po którym żeglujemy, przypominają raczej gigantyczną kloakę. Po obu stronach widać wyspy. Mniejsze pokryte są ruderami, przy których nora najędzniejszego nawet zwierzęcia żyjącego na Ziemi wydaje się być pałacem. Natomiast większe wyspy przypominają raczej fortece - każda z nich jest otoczona murem i zaopatrzona w baszty oraz barbakan. Trudno przypuszczać, by w mieście o takich rozmiarach było aż tyle fortów, dlatego też sądzę, że każda z wysp jest umocnioną i strzeżoną siedzibą jednego plemienia, szczepu czy jednej grupy, o których mówił nasz przyjaciel Judasz. Spójrzcie na te pomniki krańcowej pychy i baczcie na me słowa - oto ostateczny produkt systemu, który opiera się na posiadaczach niewolników takich jak były Ch'aka oraz na plemionach krenożerców, prowadzi przez rodzinne hierarchie takie jak *d'zertanoj* i swój zenit nieprawości osiąga tu, za tymi potężnymi murami. Oto absolutna władza, która rządzi w sposób absolutny - każdy człowiek musi walczyć o swoje, jedyna droga do góry prowadzi pa ciałach innych, wszystkie zaś odkrycia i wynalazki uznane są za prywatne i osobiste sekrety, ukryte i używane tylko dla własnej korzyści. Nigdy nie widziałem ludzkiej chciwo-

ści i egoizmu posuniętego aż do takiego stopnia i podziwiam Homo Sapiens za to, że nie zważając na trudności, podążył do tego szczytnego celu.

Statek zwolnił raptownie i Jason spadł ze swej wąziutkiej grzędy do śmierdzącej żęzy. - Upadek człowieka - mrucał, wyczołgując się na wierzch.

Burty otarły się o kamienne płyty i po wielu okrzykach, klątwach i rozkazach, statek się zatrzymał. Odsunięto nad ich głowami pokrywę luku i trójka jeńców została wywleczone na pokład. Statek był zacumowany w niewielkim basenie otoczonym budynkami i wysokimi murami. Za nimi zamykała się właśnie potężna brama morska, przez którą przed chwilą wpłynęli. Nie spostrzegli nic więcej, gdyż popchnięto ich w stronę wejścia i popędzono korytarzami.

Wędrówka zakończyła się w wielkiej, centralnej komnacie. Była zupełnie nieumeblowana, wyjątek stanowiło widoczne w końcu sali podwyższenie, na którym stał wielki, zardzewiały, żelazny tron. Zasiadający na tronie jegomość, niewątpliwie Hertug Persson we własnej osobie, miał bujną brodę i włosy do ramion, nos miał kartoflowaty i czerwony, oczy zaś niebieskie i wodniste. Nadgryzł *kreno* nabite delikatnie na dwuzębny, żelazny widelec.

- Powiedzcie mi — wrzasnął nagle - dlaczego nie powinienem was natychmiast zabić?

- Jesteśmy twymi niewolnikami, Hertugu, jesteśmy twymi niewolnikami - krzyknęli chórem wszyscy obecni w komnacie, machając jednocześnie dłońmi w powietrzu. Jason opuścił pierwsze

wejście, ale zdążył na drugie. Tylko Mikah nie przyłączył się do powszechnych okrzyków i machania rękami, kiedy zaś

owa przysięga wierności została zakończona, w ciszy, która zapadła, rozległ się jego głos:

- Nie jestem niczym niewolnikiem!

Łuk trzymany przez dowódcę żołnierzy zatoczył półkole, trafiając w czubek głowy Mikaha. Samon, ogłuszony, runął na podłogę.

- Masz nowego niewolnika, o Hertugu! - oznajmił dowódca.

- To on, o Potężny. Umie robić *caroj* i sporządzić miksturę, która płonie i porusza je. Wiem o tym, bo widziałem, jak to robił. Umie także robić ogniste kule, którymi spalił *d'zertanoj, ja*. także wiele innych rzeczy. Przyprowadziłem ci go, by został twym niewolnikiem i robił *caroj* dla Perssonoj. Oto kawałki *car o*, którym podróżowaliśmy, to co pozostało po tym, jak zniszczył je ogień. - Snarbi wysypał narzędzia i popalone szczątki na podłogę. Hertug skrzywił się, patrząc na nie.

- Cóż to za dowód? - zapytał i zwrócił się do Jasona: - To nic nie znaczy. Jak udowodnisz, niewolniku, że możesz zrobić to, o czym on mówił?

Jason przez chwilę walczył z pokusą zaprzeczenia wszystkiemu. Byłaby to cudowna zemsta na Snarbim, który niechybnie skończyłby marnie za to, że ośmielił się robić wiele hałasu o nic, ale porzucił tę myśl natychmiast, gdy się pojawiła. W pewnym stopniu kierowały nim humanitarne pobudki, cóż bowiem Snarbi mógł poradzić na to, że był nieodrodnym synem swego społeczeństwa, ale przede wszystkim Jason nie miał ochoty, aby poddano go torturom. Nic nie wiedział o tutejszych metodach wymuszania zeznań i wcale nie miał ochoty się z nimi zapoznać.

- Dowiodę tego z łatwością, o Hertugu wszystkich Perssonoj, wiem bowiem wszystko o wszystkim. Mogę zbudować maszyny, które chodzą, które mówią, które biegają, fruują, pływają, szczekają jak pies i tarzają się na grzbiecie.

- Czy zbudujesz *caroj* dla mnie?

- To da się zrobić, jeśli macie odpowiednie narzędzia, których mógłbym użyć. Muszę jednak najpierw się dowiedzieć, w czym specjalizuje się twój klan, jeżeli wiesz, co mam na myśli. Na przykład Trozelligoj robią silniki, a *d'zertanoj* wydobywają ropę naftową. A co robią twoi ludzie?

- Nie wygląda mi na to, byś wiedział tak wiele, jak się chwalisz, skoro nie znasz chwały Perssonoj!

- Przybyłem z dalekiego kraju, a jak się orientujesz, wieści w tych stronach wędrują wolno.

- Ale nie wśród Perssonoj - rzekł Hertug pogardliwie i rąbnął pięścią w pierś. - Możemy mówić na odległość całego kraju i zawsze wiemy, gdzie są nasi nieprzyjaciele. Możemy naszą magią sprawić, że szklana kula zacznie świecić albo że nieprzyjaciółom miecz wyrwie się z ręki, a w serca ich wstąpi strach.

- Wygląda na to, że macie monopol na elektryczność i jest to zupełnie dobra wiadomość. Jeżeli macie ciężki sprzęt kuźniczy...

- Stój! - przerwał mu Hertug. - Precz. Wszyscy precz, oprócz *sciuloj*. Nie, ten nowy niewolnik zostaje - wrzasnął, gdy żołnierze schwycili Jasona.

Wszyscy wyszli, pozostała tylko grupka niemłodych ludzi. Każdy z nich miał na piersi mosiężną odznakę przypominającą słońce. Byli to niewątpliwie adepci tajemnych nauk elektrycznych.

Wszyscy ścis-

kali rękojeści swych sztyletów i mruzcili z wściekłością.

- Użyłeś świętego słowa - odezwał się ponownie Hertug. - Kto ci je zdradził? Powiedz, bo zginiesz.

- Czyż ci nie mówiłem, że wiem wszystko. Mogę zbudować *caroj* i jeżeli będę miał nieco czasu, będę mógł ulepszyć twoją aparaturę elektryczną, o ile jest ona na takim samym poziomie jak wszystko na tej planecie.

- Czy wiesz, co znajduje się za tym wejściem?

- zapytał Hertug, wskazując zamknięte, zabezpieczone sztabami i strzeżone drzwi w drugim końcu sali. - Nie mogłeś nigdy widzieć tego, co się tam znajduje, ale jeżeli powiesz mi co jest za nimi, uwierzę, że jesteś istotnie tak wielkim czarnoksiężnikiem, jak twierdzisz.

- Mam dziwne uczucie, że już kiedyś to słyszałem

- westchnął Jason. - W porządku. No to jedziemy. Ty i twoi ludzie wytwarzacie elektryczność. Może robicie to dzięki znajomości chemii, choć wątpię czy zdołalibyście w ten sposób uzyskać wystarczająco dużą moc. A więc musicie mieć jakiś generator. To na pewno wielki magnes, kawał specjalnego żelaza mogącego przyciągać inne żelazo, wokół którego obracacie szybko drut i otrzymujecie elektryczność. Po miedzianym drucie doprowadzacie ją do waszych urządzeń - a nie sądzę, byście mieli ich bardzo dużo. Powiedziałeś, że możecie mówić na odległość. *Założę się, że wcale nie mówicie, ale posyłacie takie małe stuknięcia.* Mam rację, prawda? - Szuranie stóp i narastający szmer głosów uczonych mężów przekonały go, że trafił.

- Mam pewien pomysł. Sądzę, że wynajdę dla was telefon. Co byście powiedzieli, by zamiast używać tego

przestarzałego stuk-puk, naprawdę mówić? Będziecie mówić do jednego dzyngsu, a z drugiej strony drutu będzie słychać wasz głos.

Świńskie oczy Hertuga rozblęsnęły chciwie. - Powiadają, że dawnymi czasy tak właśnie robiono.

My też próbowaliśmy i nie udało się. Czy możesz zrobić coś takiego?

- Mogę, o ile wpieryw dojdziemy do porozumienia. Zanim jednak będę mógł ci cokolwiek obiecać, najpierw muszę zobaczyć twoje urządzenia.

Słowa Jasona wywołały pomruk wśród uczonych, zazdrosnych o swe tajemnice. W końcu chciwość zwyciężyła i przed Jasonem eskortowanym przez dwóch *sciuloj* z obnażonymi sztyletami otworzyły się drzwi prowadzące do świętości nad świętościami. Hertug szedł przodem, za nim Jason ze swymi leciwymi strażnikami, ich śladem dreptała cała reszta. Każdy *sciuloj*, wkraczając do sanktuarium, skłonił się i wymamrotał modlitwę, podczas gdy Jason z trudem mógł powstrzymać się przed wybuchnięciem pogardliwym śmiechem. Przechodzący przez dalszą ścianę wał, niewątpliwie poruszany siłą mięśni niewolników, napędzał rozklekotaną kolekcję pasów transmisyjnych i kół, które ostatecznie wprawiały w ruch niezgrabną i paskudną maszynę. Zgrzytała, skrzypiała, trzęsąc całym pomieszczeniem. Początkowo Jason był zaskoczony jej wyglądem, kiedy jednak przyjrzał się bliżej i zbadał jej konstrukcję, wszystko stało się jasne.

- Czego innego mogłem się spodziewać? - mruknął pod nosem. - Jeżeli są dwa sposoby zrobienia czegoś, można być pewnym, że wybiorą gorszy.

Ostatnie koło napędowe było przymocowane do

drewnianego wału, który obracał się z imponującą prędkością, z wyjątkiem momentów, kiedy jeden z pasów transmisyjnych zeskakiwał z koła, a zdarzało się to z męczącą regularnością. Stało się tak również w tej chwili. Wał natychmiast wyraźnie zwolnił obroty i Jason zobaczył, że metalowe pierścienie naszpikowane kawałkami *żelaza* w kształcie litery U były przymocowane na całej długości waha. Jego połowa była ukryta w zawieszanej na nim klatce ze zwiniętych w pierścienie drutów. Całość wyglądała jak ilustracja z "Pierwszych Kroków Elektryka" wydanej w epoce kamiennej.

- Czy twoja dusza nie zamiera z podziwu na widok tych cudów? - zapytał Hertug widząc zbaraniałą minę Jasona.

- Oczywiście, że zamiera - odparł Jason. - Ale z przerażenia na widok tej poronionej kolekcji poronionych pomysłów.

- Błuznierca! - wrzasnął Hertug. - Zabić go!

- Chwileczkę! - powiedział Jason przytrzymując uzbrojone w sztylety dłonie dwóch stojących obok niego *sciuloj* i zasłaniając się nimi przed pozostałymi mędrkami. - Źle mnie zrozumiałeś. Ten wasz wielki generator jest siódmym cudem świata - choć największym cudem jest to, że w ogóle jest w stanie wytworzyć elektryczność. Cudowny wynalazek, o wiele lat wyprzedza swą epokę. Mimo wszystko jednak, mógłbym zaproponować kilka drobnych ulepszeń, dzięki którym można będzie otrzymać więcej elektryczności mniejszym nakładem sił. Sądzę, że wiesz, iż prąd elektryczny powstaje w drucie, gdy pole magnetyczne przesuwają się w poprzek niego?

- Nie mam zamiaru dyskutować o problemach teologicznych z niewiernym - odparł Hertug.

- Nazywaj to jak chcesz - teologią albo nauką, ale odpowiedź będzie zawsze taka sama. - Jason naprężył nieco swe wytrenowane na Pyrrusie mięśnie i obaj starszycy wrzasnęli z bólu i upuścili sztylety na podłogę. Pozostali *sciuloj* nie zdradzali ochoty do ataku. - Czy jednak kiedykolwiek pomyślałeś choć przez chwilę, że równie łatwo możesz otrzymać prąd przesuwając

drut przez pole magnetyczne, a nie na odwrót? Otrzymasz ten sam prąd, a pracy będzie dziesięć razy mniej.

- Zawsze robiliśmy to w ten sposób, a co wystarczało naszym przodkom...

- Wiem, wiem, możesz nie kończyć. Mam wrażenie, że już to u was słyszałem. - Uzbrojeni *sciuloj* znowu zaczęli się przybliżać ze sztyletami w dłoniach. - Słuchaj, Hertug, czy chcesz, żeby mnie zabili, czy nie? Powiedz swoim chłopakom.

- Nie zabijajcie go - odparł Hertug po chwili namysłu. - To, co mówi, może być prawdą. Może będzie w stanie pomóc nam obsługiwać nasze święte maszyny.

Gdy niebezpieczeństwo oddaliło się na chwilę, Jason obejrzał wielki, niezgrabny aparat, który zajmował całą ścianę pomieszczenia, ale tym razem starał się zapanować nad ogarniającym go przerażeniem. - Przypuszczam, że to cudo jest waszym świętym telegrafem?

- To właśnie on - rzekł z szacunkiem Hertug. Jason wzdrygnął się.

Od sufitu prowadziły miedziane druty połączone z niezgrabnie nawiniętym elektromagnesem umieszczonym blisko płaskiego, żelaznego ramienia wahadła. Prąd, przebiegając przez elektromagnes, przyciągał ramię, a gdy wyłączono go, obciążone wahadło wracało do poprzedniej pozycji. Do zakończenia wahadła był przymocowany ostry, metalowy rylec, którego czubek był zagłębiony w wosku, pokrywającym długą, miedzianą taśmę. Taśma z kolei poruszała się w rowkach, pod kątem prostym do ruchu wahadła, przesuwana przez system trybów napędzany obciążnikiem.

W czasie kiedy Jason badał aparaturę, grzechoczący mechanizm zbudził się do życia.

Elektromagnes zabrzęczał, wahadło drgnęło, rylec wyłobził bruzdę w wosku, tryby zapiszczały, a sznur przymocowany do dziury w końcu taśmy zaczął przesuwać ją do przodu. Czujni *sciuloj* stali w pogotowiu, by podsunąć następną, pokrytą woskiem taśmę, kiedy pierwsza się skończy.

Zapisane taśmy przygotowywano do odczytania polewając je czerwonym atramentem, który spływał z nawoskowanej powierzchni, zatrzymując się jednak w wyłobionych bruzdach. Ukazała się nierówna, czerwona linia biegnąca przez całą długość taśmy, a w miejscach, gdzie wahadło zostało odchyłone, widniały znaczki przypominające literę V. Woskowane pasma przeniesiono na długi stół, gdzie zaszyfrowaną informację przepisano na tabliczki. Rozważywszy wszystko, Jason doszedł do oczywistego wniosku, że była to powolna, niezgrabna i nieudolna metoda przekazywania informacji i zatarł ręce.

- O, Hertugu wszystkich Perssonoj! - zaintonował.

- Spojrzałem na te święte cuda i zaiste, zostałem porażony. Próba udoskonalenia tego dzieła bogów przekracza siły zwykłego śmiertelnika, przynajmniej w chwili obecnej, lecz jest w mej mocy przekazać ci pewne inne sekrety elektryczności, którymi bogowie podzielili się ze mną.

- Na przykład jakie? - zapytał Hertug, mrużąc oczy.

- Takie jak... chwileczkę, jak to będzie w esperanto... takie jak *akumulatora*. Czy słyszałeś o nim?

- Słowo to wspomniane jest w jednej ze starych, świętych ksiąg, ale to jedyna rzecz jaką wiemy. - Teraz Hertug obliznął nerwowo wargi.

- A więc bądźcie gotowi dopisać do niej nowy rozdział, mam bowiem zamiar zupełnie gratis ofiarować ci butelkę lejdejską wraz z instrukcją jak sporządzić następne. Jest to sposób, by napęlić butelkę elektrycznością tak, jakby to była woda. A potem przejdziemy do bardziej wymyślnych baterii.

- Jeżeli uda ci się to zrobić, zostaniesz odpowiednio wynagrodzony. Jeżeli nie, zostaniesz...

- Tylko bez pogroźek, Hertugu, ten etap mamy już za sobą. I bez nagród. Powiedziałem ci, że jest to bezpłatna próbka, bez żadnych warunków wstępnych. No, może tylko kilka drobnych udogodnień dla mnie, żeby mi się lepiej pracowało - zdjęcie kajdan, *krenoj*, woda i temu podobne. A potem, kiedy spodoba ci się to, co zrobiłem i będziesz chciał jeszcze, zawrzemy umowę. Zgoda?

- Rozważę twoją prośbę - odparł Hertug.

- Wystarczy po prostu tak lub nie. Co możesz stracić w takim układzie?

- Twój towarzysz zostanie zakładnikiem i będą zabici natychmiast, gdy złamiesz umowę.

- Doskonały pomysł. A gdybyś chciał zatrudnić tego, który nazywa się Mikah - na przykład jakieś ciężkie roboty - to nie mam nic przeciwko temu. Będę potrzebował pewnych specjalnych

materiałów, których tu nie widzę. Chodzi mi przede wszystkim o słoje z szerokim otworem i dużo cyny.

- Cyny? Nie wiem co to takiego.

- Dobrze wiesz. To biały metal, który mieszasz z miedzią, by otrzymać brąz.

- *Stano*. Mamy tego dużo.

- Każ wiec przynieść i zabiorę się do roboty.

Teoretycznie, wyprodukowanie butelki lejdejskiej jest sprawą prostą, pod warunkiem jednak, że wszystkie materiały są pod ręką. Uzyskanie właściwych produktów było najważniejszym problemem Jasona. Perssonoj nie zajmowali się wytwarzaniem szkła, ale wszystko, co było im potrzebne, kupowali od klanu Yitristoj, który robił je w swych tajnych hutach. Produkowali oni kilka rodzajów standardowych butelek, guziki, szklanki, nierówne szkło okienne i z pół tuzina innych wzorów. Żadnej z butelek nie można było przystosować do zaplanowanego celu i Yitristoj oburzyli się na Jasona, gdy zasugerował, by według jego wskazówek wykonali inną butelkę.

Propozycja zapłaty brzęcząca monetą zdołała częściowo ich uspokoić i po obejrzeniu modeli wykonanych w glinie przez Jasona, z oporami zgodzili się sporządzić podobną butelkę za oszałamiającą kwotę. Hertug straszliwie narzekał, ale ostatecznie wypłacił wymaganą sumę przedziurawionych, złotych monet zawieszonych na drucie.

- Jeżeli twój *akumulatora* zawiedzie - oznajmił Jasonowi - twoja śmierć będzie straszna.

- Zaufaj mi, wszystko będzie dobrze - zapewnił go Jason i ponownie zabrał się do poganiania prośbą i groźbą robotników, którzy z wielkimi bólami starali się rozklepać cynową blachę na cienką folię.

Jason nie widział ani Mikaha, ani Ijale od chwili, kiedy wciągnięto ich do twierdzy Perssonoj, ale wcale się o nich nie martwił. Ijale była dobrze przystosowana do niewolniczego życia i na pewno nie narobi sobie jakichś kłopotów, w czasie gdy on będzie sprzedawał Hertugowi swą wiedzę o cudach elektryczności. Z drugiej strony Mikah nie przywykł do bycia niewolnikiem i Jason cieszył się nadzieją, że dzięki temu Samon zarobi jakąś karę cielesną. Po ostatnim fiasku, utracił resztki wyrozumiałości dla tego faceta.

- Butla przybyła - oznajmił Hertug. Stał w otoczeniu pomrukujących podejrzliwie *sciuloj*, podczas gdy ze szklanego słoja zdejmowano opakowanie.

- Nieźle - uznał Jason trzymając naczynie pod światło, by sprawdzić grubość ścianek. - Z tym tylko wyjątkiem, że ma objętość dwudziestu litrów, prawie czterokrotnie więcej od modelu, który im wysłałem.

- Za dużą cenę, duży słoje - powiedział Hertug. - To sprawiedliwe. Dlaczego narzekasz? Obawiasz się niepowodzenia?

- Nie obawiam się niczego. Po prostu zbudowanie modelu tych rozmiarów jest o wiele bardziej kłopotli-

we. To również może być niebezpieczne, te butelki lejdejskie można solidnie naładować.

Jason, nie zwracając uwagi na gapiów, pokrył od góry dwie trzecie wewnętrznej i zewnętrznej powierzchni słoja swą nierówną folią cynową. Potem przygotował korek z *gumi*, gumopodobnego materiału o dobrych właściwościach izolacyjnych i przewiercił go na wylot. Perssonoj przyglądali się zdziwieni, jak przez wywiercony otwór przepchnął metalowy pręt. Do dłuższego końca przymocował później krótki, żelazny łańcuch, a do krótszego - żelazną kulę.

- Skończone - oznajmił.

' - Ale... co się z tym robi? - zapytał zaintrygowany Hertug.

- Zaraz pokażę. - Jason wetknął korek w szeroką szyjkę słoja tak, że łańcuch dotknął wewnętrznej wykładziny. Następnie wskazał kulę, sterczącą na szczycie. - To zostanie przymocowane do bieguna ujemnego twojego generatora. Elektryczność przepłynie przez pręt i łańcuch, i zbierze się na wewnętrznej wykładzinie. Generator będzie pracować dopóty, dopóki słoje się nie napełni, a potem odłączymy zasilanie. Słoje zatrzyma ładunek elektryczny, który później będziemy mogli odzyskać, podłączając się do kuli. Czy to jasne?

- To szaleństwo! - zagdakał jeden ze starszych *sciuloj* i chcąc odczynić zły urok, wykonał rytualny gest, kreśląc palcem kółko na czole.

- Poczekaj, zaraz zobaczysz - odparł Jason ze spokojem, którego wcale nie odczuwał. Zbudował

butelkę lejdejską opierając się na mglistych wspomnieniach ilustracji widzianej kiedyś w młodości w podręczniku i nie miał najmniejszej gwarancji, że eksperyment się powiedzie. Uziemił dodatni biegun generatora, po czym zrobił to samo ze słojem, odprowadzając od zewnętrznej powłoki drut do metalowego kołka wbitego w ziemię przez popękaną podłogę.

- Jazda! - zawołał i cofnął się z rękami założonymi na piersi.

Generator zaczął obracać się z piskiem, ale nie zdarzyło się nic, co można by zobaczyć. Ponieważ nie miał zielonego pojęcia jaka jest moc generatora i jaka jest pojemność butli, na wszelki wypadek pozwolił, by ładowanie trwało dobrych parę minut. Doskonale zdawał sobie sprawę, jak wiele zależy od pomyślnego wyniku pierwszego eksperymentu. W końcu, szmer wśród *sciuloj zaczi* narastał. Jason podszedł do słoja i końcem suchego kija odłączył go od dopływu energii.

- Zatrzymajcie generator. Wszystko gotowe. *Aku-mulatoro* jest aż po brzegi napełniony świętą elektrycznością.

Wyciągnął przygotowaną pogładową aparaturę kontrolną, czyli kilka prymitywnych żarówek połączonych szeregowo. Ładunek butli lejdejskiej powinien pokonać słaby opór włókna węglowego i rozżarzyć je. Przynajmniej miał taką nadzieję.

- Błuznierstwo! - zawył ten sam stary *sciulo* wysuwając się do przodu. - W świętym piśmie czytamy, iż święta moc może przepływać tylko wtedy, gdy połączenie jest zamknięte, a kiedy droga jej przepływu jest przerywana, płynąć nie może. Ale ten cudzoziemiec śmie twierdzić, że świętość zamknięta jest obecnie w słoju, do którego prowadzi tylko jeden drut. Kłamstwo i bluźnierstwo!

- Na twoim miejscu nie robiłbym tego... - powiedział Jason do staruszka, który właśnie pokazywał palcem kulę na butelce lejdejskiej.

- Tu nie ma żadnej mocy, tu nie może być żadnej mocy. - Machnął palcem w odległości jakiegoś cala od kuli i jego głos urwał się raptownie. Gruba, niebieska iskra przeskoczyła między naładowanym metalem i końcem palca. Stary *sciulo* wrzasnął ochryple i runął na podłogę. Jeden z jego towarzyszy klęknął, by go zbadać i po chwili spojrzął z przerażeniem na słoje.

- On nie żyje - wyszeptał.

- Musicie przyznać, że go ostrzegłem - oznajmił Jason i nie tracąc ani chwili przystąpił do ataku. - To on bluźnił! - zawołał i staruszkowie cofnęli się, skułem.

- W słoju znajdowała się święta siła, a on zwątpił! I dlatego święta moc go zabiła! Nie wściekcie się wątpić, gdyż w przeciwnym razie spotka was ten sam los! Do naszych obowiązków, jako *sciuloj* - dodał, awansując się ze stopnia niewolnika - jest okiełznać siły elektryczności na większą chwałę Hertuga. I niechaj będzie to przestroga.

Popatrzyli na zwłoki i cofnęli się jeszcze bardziej. Widać jego słowa dotarły do ich świadomości.

- Święta moc może zabijać - powiedział Hertug patrząc z uśmiechem na ciało i zacierając ręce. - To zaiste cudowna nowina. Zawsze wiedziałem, że może człowiekiem wstrząsnąć, czy go poparzyć, ale nie orientowałem się, że jest aż tak potężna. Nasi wrogowie zostaną obróceny w proch.

Niewątpliwie - powiedział Jason i kując żelazo póki gorące, wyciągnął przygotowane wcześniej szkice. - Popatrz na te inne cuda. Elektryczny silnik, który może podnosić lub przesuwac rzeczy, światło zwane łukiem węglowym, które może przebić noc, sposób pokrywania przedmiotów cienką warstwą metalu i wiele, wiele innych. Możesz mieć je wszystkie, o Hertugu. •»

- Natychmiast zabierz się do budowy!

- Oczywiście, natychmiast, gdy uzgodnimy warunki mojego kontraktu.

- Nie podoba mi się to słowo.

- Kiedy poznasz szczegóły, będzie ci się jeszcze mniej podobać, ale na pewno będzie warto. -

Pochylił się i szepnął Hertugowi do ucha: - Czy chciałbyś mieć maszynę, która może zdruzgotać mury fortec twoich nieprzyjaciół, dzięki czemu zdołasz ich pokonać i posiadać ich tajemnice?

- Niech wszyscy opuszczą komnatę - rozkazał Hertug, a kiedy zostali sami, zwrócił swe sprytne, zaczerwienione oczka w stronę Jasona.

- Co to takiego, ten kontrakt, o którym wspomniałeś?

- Wolność dla mnie, stanowisko twojego osobistego doradcy, niewolnicy, kosztowności, dziewczęta, dobre jedzenie - to, co zwykle towarzyszy pracy. W zamian za to zbuduję dla ciebie wszystkie urządzenia, o których wspomniałem i wiele, wiele innych. Nie ma takiej rzeczy, której nie zdołałbym zrobić! I wszystko będzie twoje...

- Zniszczę ich wszystkich... Będę władać Appsalą!

- To właśnie miałem na myśli. I im lepiej będzie się wiodło tobie, tym lepiej się będzie wiodło mnie. Nie chcę nic poza wygodnym życiem i możliwością pracy nad moimi wynalazkami, jestem bowiem człowiekiem

o niewielkich ambicjach. Będę szczęśliwy dłużej w moim laboratorium... podczas gdy ty będziesz władał światem.

- Wiele żadasz...

- Ale również wiele ci ofiaruję. Wiesz, co ci powiem? Zastanów się dzień lub dwa, a ja tymczasem przedstawię ci jeszcze jeden wynalazek.

Jason pamiętał iskry, która zabiła starca i dawało mu to nową nadzieję. Może będzie to sposób wydostania się z tej planety.

Rozdział 12

- Kiedy skończysz? - zapytał Hertug, wskazując części rozrzucone na warsztacie Jasona.

- Jutro rano, choć pracuję przez całą noc, o Hertu-gu. Ale zanim skończę, mam dla ciebie jeszcze jeden dar - a mianowicie, sposób ulepszenia waszego systemu telegraficznego.

- On wcale nie wymaga żadnych ulepszeń! Tak było za czasów naszych praojców i...

- Nie mam zamiaru nic zmieniać. Praojcowie zawsze wiedzieli lepiej, zgoda. Po prostu przedstawię ci nową procedurę nadawania i odbioru. Spójrz na to.

- Uniósł jedną z metalowych taśm pokrytych wyżłobionymi w wosku znaczkami. - Czy możesz odczytać wiadomość?

- Oczywiście, ale wymaga to niezwyklej koncentracji, jest to bowiem wielka tajemnica.

- Nie taka znów wielka. Od pierwszego spojrzenia zorientowałem się jak bardzo to proste.

- Błuznisz!

- Ależ nie. Popatrz - to jest B, prawda. Dwa ruchy magicznego wahadła. Hertug policzył na palcach.

- Tak, to jest B, masz rację. Ale skąd o tym wiesz?

- Jason zdołał ukryć grymas pogardy.

- Trudno się było zorientować, ale te sprawy są dla mnie jak otwarta księga. B jest drugą literą alfabetu, a więc przedstawia się ją dwoma poruszeniami wahadła. C - trzema, wciąż proste. Ale alfabet kończy się na Z i to wymaga dwudziestu sześciu naciśnień klucza nadawczego, co jest nonsensowną stratą czasu. A musisz tylko nieco przerobić swoją aparaturę tak, by wysyłała dwa różne sygnały. Bądźmy oryginalni i nazwijmy jeden kropką, a drugi kreską. A teraz, używając tych dwóch sygnałów, długiego i krótkiego impulsu, możemy przekazać każdą literę alfabetu za pośrednictwem najwyżej czterech elementów. Zrozumiałeś?

- W głowie mi szumi i trudno nadażyć...

- Pomyśl o tym. Rano mój wynalazek będzie ukończony i wtedy przedstawię ci mój kod.

Hertug wyszedł, mruczając coś pod nosem, a Jason zakończył nawijając ostatnie zwoje swego nowego generatora.

- Jak to nazywasz - zapytał Hertug obchodząc naokoło wysokie, bogato zdobione, drewniane pudło.

- To Głosiciel "Chwalcie Wszyscy Hertuga", nowe źródło ubóstwienia, szacunku i dochodów Waszej Ekscelencji. Należy umieścić to w świątyni albo jej miejscowym ekwiwalencie, tam gdzie ludność będzie płacić za przywilej składania ci hołdu. Proszę popatrzeć - jestem lojalnym poddanym, który wchodzi do świątyni. Daję kapłanowi ofiarę, chwytam korbę, która sterczy tu z boku i kręcę. - Zaczął energicznie

obracać korbą. Z pudła dobiegł odgłos kręcących się trybów i narastające wycie. - A teraz patrz do góry.

Z górnej powierzchni szafki sterczały dwa zakrzywione, metalowe ramiona zakończone rozsuniętymi nieco miedzianymi kulami. Hertug odskoczył z okrzykiem, widząc niebieską iskry

przeskakującą między kulami.

To wyrze wrażenie na wieśniakach, prawda?

- zapytał Jason. - A teraz patrz na iskry i zapamiętaj ich kolejność. Najpierw trzy krótkie iskry, potem trzy długie i znowu krótkie.

Przestał kręcić korbą i podał Hertugowi kartę pergaminu z wyraźnie wypisaną, przerobioną nieco wersją standardowego kodu międzynarodowego.

- Proszę zauważyć. Trzy kropki oznaczają H, a trzy kreski A. W ten sposób, dopóki obracamy korbą, dopóty machina wysyła zakodowane HAH, co oznacza *Huraaoj al Hertug*, Chwalcie Wszyscy Hertuga! To wstrząsające urządzenie zapewni pracę kapłanom, dzięki czemu nie będą mieli czasu na intrygi, a twym miejscowym zwolennikom rozrywkę. A jednocześnie głosem elektryczności będzie opiewać twoją chwałę

- ciągle i bez przerwy, dzień i noc...

Hertug pokręcił korbą i spojrzał na przeskakujące iskry płonącymi oczyma.

- Jutro machina zostanie odsłonięta w świątyni. Ale najpierw należy wypisać na niej święte znaki. Może trochę złota...

- I drogie kamienie. Im bardziej bogato będzie wyglądać, tym lepiej. Ludzie nie będą płacić za przywilej pokręcenia korbą tej świętej pianoli, dopóki nie wyrze na nich silnego wrażenia.

Jason z uszczęśliwioną miną wsłuchiwał się w potrzaskujące iskry. W miejscowym kodzie oznaczały one HAH, ale każdy spoza planety musiał je odczytać jako SOS. I każdy kosmolot z przyzwoitym odbiornikiem na pokładzie, po wejściu w atmosferę powinien odebrać nadawane w szerokim paśmie częstotliwości sygnały iskrówki. Być może w tej właśnie chwili ktoś odbiera jego wezwanie na pomoc, nastroja antenę kierunkową, ustalając miejsce nadania sygnału. Gdyby miał odbiornik, mógłby usłyszeć jego odpowiedź, ale w gruncie rzeczy nie miało to większego znaczenia, wkrótce bowiem powinien usłyszeć ryk silników rakietowych statku schodzącego do lądowania w Appsalii...

Nic się nie zdarzyło. Jason wysłał swoje pierwsze SOS ponad dwieście godzin temu, ale teraz niechętnie pożegnał się z myślą o natychmiastowej pomocy. Najlepszą rzeczą, jaką mógł teraz zrobić, to urządzić się tu rozsądnie i w miarę wygodnie, a następnie oczekiwać na przybycie statku. Nie dopuszczał do siebie myśli, że kosmolot mógłby się nie zjawić w tej zapomnianej części kosmosu w ciągu całego jego życia.

- Rozważyłem twoje żądania - oznajmił Hertug, odwracając się od iskrowej stacji nadawczej. - Możesz otrzymać niewielki apartament, może jednego albo dwóch niewolników, do woli jedzenia, a w święta wino i piwo...

- Nic mocniejszego?

- Mocniejszego? Wina Perssonoj, które pochodzą z naszych winnic na stokach góry Malvigla, są dobrze znane ze swej mocy.

- Będą jeszcze bardziej znane, gdy je przedestyluję. Widzę cały szereg ulepszeń, których będę musiał

dokonać, skoro mam się tu jakiś czas zatrzymać. Być może wynajdę nawet klozet ze spluczką, zanim dostanę reumatyzmu w tych waszych prymitywnych wychodkach. Mam mnóstwo rzeczy do zrobienia. Przede wszystkim muszę opracować listę priorytetów, a pierwszym jej punktem będą pieniądze. Niektóre rzeczy, jakie mam zamiar wyprodukować dla twojej większej chwały, będą nieco kosztowne, najlepiej więc będzie przedtem napełnić skarbiec. Mam nadzieję, że twoja religia nie zabrania ci się wzbogacić?

- Nie - odparł Hertug niezwykle pewnym głosem.

- A więc zabierzemy się do tego. A teraz, jeżeli Wasza Ekscelencja pozwoli, udam się do mojego nowego mieszkania i prześpię się nieco. Następnie sporządzą listę projektów do wyboru.

- To mi odpowiada. A nie zapominaj o maszynie do robienia pieniędzy.

- To pierwszy punkt programu.

Choć Jason cieszył się swobodą poruszania się w zamkniętych i świętych komnatach warsztatu, przez cały czas nie odstępowało go ani na krok czterech strażników-dozorców, którzy deptali mu po piętach i chuchali *creno* w kark.

- Czy wiesz, gdzie jest moje nowe mieszkanie? - zapytał Jason dowódcę straży, ponurego brutala

o imieniu Benn't.

- Aha - odparł Benn't i poprowadził go do wieży zamku Perssonoj. Hulały po niej przeciągi, a oni wspięli się po stromych, kamiennych schodach, które prowadziły na wyższe piętra, potem przez ciemny hol do krzepkich drzwi, pilnowanych przez kolejnego strażnika. Benn't otworzył je wielkim kluczem, zwisającym mu do pasa.

- To twoje - burknął, wskazując kciukiem o imponującej żalobie pod paznokciem.

- Widzę, że wyposażenie jest kompletne, razem z niewolnikami - stwierdził Jason, widząc przykutych do ściany Mikaha i Ijale. - Nie będę miał z nich wiele pożytku, jeżeli są tu jedynie po to, by spełniać rolę dekoracji wnętrza. Masz klucz?

Benn't z jeszcze mniejszym wdziękiem wyciągnął ze swej sakiewki mniejszy klucz i podał go Jasonowi. Potem wyszedł i przekreślił klucz w zamku.

- Wiedziałam, że zrobisz coś takiego, że nie będą mogli cię skrzywdzić - powiedziała Ijale, gdy Jason otwierał żelazną obrozę na jej szyi. - Bałam się tylko troszeczkę.

" Mikah milczał jak kamień aż do chwili, gdy Jason w towarzystwie Ijale zabierał się do oglądania komnaty. Wtedy odezwał się lodowatym tonem: - Zapomniałeś uwolnić mnie z łańcuchów.

- Jestem rad, że zauważyłeś - odparł Jason. Nie muszę więc zwracać ci na to uwagi. Czy znasz lepszy sposób, by uniemożliwić ci sprawienie mi kłopotów?

- Obrażasz mnie!

- Nie, jestem szczerzy. Dzięki tobie utraciłem posadę u *d'zertanoj*. i zostałem zakuty w łańcuchy jako niewolnik. Kiedy uciekłem, wziąłem cię ze sobą, ty zaś odwdzieczyłeś się za moją wielkoduszość, pozwalając, aby Snarbi zdradził nas memu obecnemu pracodawcy. A to ostatnie stanowisko uzyskałem bez żadnej pomocy z twojej strony.

- Czyniłem tylko to, co uważałem za słuszne.

- Uważałeś niesłusznie.

- Jesteś mściwym, małostkowym człowiekiem, Ja-sonie *dinAlt*!

- Masz cholerną rację. Pozostaniesz przykuty do ściany.

Jason wziął Ijale pod ramię i urządził jej wycieczkę po swym apartamencie. - Zgodnie z ostatnią modą, wejście prowadzi bezpośrednio do głównej komnaty, umeblowanej rystykalnymi meblami z nie heblowanych desek i ozdobionej niezmiernie zróżnicowaną kolekcją pajęczyn. Cudowne miejsce do produkcji serów, ale absolutnie niezdatne do zamieszkania. Oddamy je Mikahowi. - Otworzył drzwi. - Ta komnata jest już lepsza. Południowa fasada, widok na wielki kanał i nieco światła. Szyby wykonane z najlepszego łupanego rogu, wpuszczają zarówno światło, jak i świeże powietrze. Będę musiał zainstalować szklane. Ale teraz wystarczy nam ogień na tym kominku zdatnym do pieczenia wołu.

- *Krenoj!*- krzyknęła Ijale i podbiegła do koszyka stojącego w alkowie. Jason zadrżał. Powąchała kilka bulw, ściskając je palcami. - Nie są bardzo stare, dziesięć, może piętnaście dni. Dobre na zupę.

- Do tego właśnie tęsknił mój żołądek - powiedział Jason bez cienia entuzjazmu w głosie.

Mikah ryknął coś z drugiej strony komnaty. Jason najpierw rozpałił ogień, a potem poszedł dowiedzieć się, o co Samonowi chodzi.

- To zbrodnia! - oznajmił Mikah pobrząkując łańcuchami.

- Przecież jestem zbrodniarzem. - Jason odwrócił się, by wyjść.

i- Poczekaj! Przecież nie możesz mnie tak zostawić. Jesteśmy cywilizowanymi ludźmi. Uwolnij mnie, a dam ci słowo, że nie będę żywił do ciebie urazy.

- To ładnie z twojej strony, mój stary, ale cała ufność uleciała z mej, tak niegdyś ufnej duszy.

Nawróciłem się na miejscowy etos i mogę ci wierzyć dopóty, dopóki nie mam cię za plecami. To wszystko. Pozwolę ci poruszać się po tym miejscu jedynie dlatego, by nie słuchać twoich wrzasków.

Jason odczepił łańcuch, którym obroza była przymocowana do ściany i odwrócił się.

- Zapomniałeś o obroży - powiedział Mikah.

- Doprawdy? - odparł Jason z drapieżnym uśmiechem. - Nie zapomniałem ani o tym, jak zdradziłeś mnie Ediponowi, ani o obroży.* Dopóki jesteś niewolnikiem, nie będziesz mógł mi

szkodzić - a więc pozostaniesz niewolnikiem.

- Mogłem się tego po tobie spodziewać. - W głosie Mikaha dźwięczała zimna wściekłość. - Jesteś kundlem, a nie cywilizowanym człowiekiem. Nie dam słowa, że będę ci dopomagać w jakikolwiek sposób. Wstydzę się, że w swej słabości mogłem kiedyś dopuścić do siebie taką myśl. Jesteś złem, ja zaś poświęciłem całe swe życie na to, by zwalczać zło. A więc będę walczył. Jason uniósł rękę do uderzenia, ale zamiast zadać cios, wybuchnął śmiechem.

- Nigdy nie przestaniesz mnie zdumiewać, Mika-hu. Wydaje się, że to niemożliwe, by ktoś był tak nieczuły na fakty, logikę, realność lub na to, co powszechnie nazywa się zdrowym rozsądkiem. Jestem zadowolony, że przyznałeś, iż walczysz ze mną. Dzięki temu łatwiej będę mógł zachować czujność. A żebyś nie zapomniał i nie zaczął się znowu spoufalać, zostaniesz niewolnikiem i będziesz traktowany jak niewolnik. Łap się więc za ten dzbanek z kamionki, zawołaj strażnika i idź przynieść wody stąd, skąd zazwyczaj przynoszą ją niewolnicy.

Obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju wciąż kipiąc z gniewu. Próbował wykrzesać z siebie choć cień entuzjazmu na myśl o posiłku, tak starannie przygotowywanym przez Ijale.

Jason siedział z pełnym żołądkiem i grzał nogi przy ogniu. Czuł się nieomal przyjemnie. Ijale siedziała w kucki przy kominku, powoli i niezgrabnie zszywając skóry wielką, żelazną igłą, a z drugiej komnaty dobiegało wściekłe pobrząkiwanie łańcuchów Mikaha. Było późno i Jason czuł się już zmęczony, ale obiecał Hertugowi listę cudów i chciał ją ukończyć przed pójściem spać. Uniósł głowę, słysząc zgrzyt klucza w drzwiach wejściowych. Do pokoju wkroczył Benn't w towarzystwie żołnierza niosącego potrzaskującą pochodnię.

- Chodź - powiedział Benn't, wskazując drzwi.

- Gdzie i po co? - zapytał Jason myśląc z niechęcią o wilgotnym wnętrzu wieży.

- Chodź - powtórzył Benn't takim samym niesympatycznym tonem i wyciągnął zza pasa krótki miecz.

- Zaczynam cię nie lubić - oświadczył Jason

wstając z ociąganiem. Nałożył swą futrzaną kamizelkę i wyszedł, mijając ponurą postać Mikaha. Strażnika przy drzwiach nie było, ale dostrzegł ledwo widoczny w świetle pochodni jakiś ciemny kształt na podłodze. Czy był to strażnik? Jason zaczął się odwracać i w tej samej chwili usłyszał, jak drzwi zatrzasnęły się z hukiem i poczuł jak czubek miecza Benn'ta przebił jego skórzane ubranie i ukłuł go tuż nad nerkami.

- Powiesz choć słowo albo poruszysz się, to umrzesz - zazgrzytał w jego uszach głos oficera.

Jason przemyślał sprawę i postanowił się nie ruszać. Groźba wcale go nie zaniepokoiła, ponieważ był pewien, że zdoła rozbroić Benn'ta i zaatakować żołnierza, zanim zdąży on wyciągnąć broń, ale zaciekawił go nie przewidziany rozwój sytuacji. Miał poważne podejrzenia, że wszystko to dzieje się bez wiedzy Hertuga i zastanawiał się, co będzie dalej.

Natychmiast pożałował swojej decyzji. Do ust wepchnięto mu obrzydliwą szmatę i przymocowano rzemieniami, które wpijały się mu w kark i policzki. W tej samej chwili związane mu ręce i przystawiono mu do boku drugi miecz. Wszelki opór był już niemożliwy, chyba że za cenę wielkiego ryzyka, poszedł więc pokornie schodami w górę, na płaski dach budynku. Żołnierz zgasił pochodnię i ogarnęła ich czerń nocy. Zacinał deszcz ze śniegiem. Niepewnie szli po śliskich płytach. Parapet był zupełnie niewidoczny w ciemności i kiedy Jason dotarł do niego, potknął się i wyleciałby, gdyby żołnierz nie odciągnął go do tyłu. Szybko, w milczeniu założyli mu linę pod ramiona i opuścili przez krawędź. Jason kłął pod swym kneblem, zderzając się co chwila z nierówną ścianą budynku. Zetknięcie z zimną wodą było wstrząsem. Ta strona wieży Perssonoj opadała do kanału i Jason wisiał, zanurzony do pasa, aż do chwili, gdy z mroku nocy wyłonił się ledwo widoczny kształt łodzi. Brutalnie wyciągnięto go z wody i ciśnięto na dno, a w kilka chwil później łódź zakołysała się znowu. To porywacze spuścili się po linie i zeskoczyli tuż obok niego. Wiosła pisnęły w dulkach i popłynęły. Żadnego alarmu nie było.

Ludzie w łódce nie zwracali na niego uwagi. W gruncie rzeczy używali go zamiast podnóżka, dopóki nie udało mu się odczołgać na bok. Z pozycji leżącej, w jakiej się znalazł, trudno było cokolwiek zobaczyć aż do chwili, gdy ukazało się więcej światła i przepłynęli przez wielką bramę

morską, identyczną z tą, jaką widział w fortecy Perssonoj. Nie musiał się zbyt długo zastanawiać, by uświadomić sobie, że został ukradziony przez jakąś rywalizującą organizację.

Łódź się zatrzymała, wyrzucono go na nabrzeże, a potem powleczono przez wilgotne, kamienne korytarze. Wreszcie stanął przed wysokim, wykonanym z przerdzewiałego żelaza portalem. Benn't gdzieś zniknął, zapewne po otrzymaniu swoich trzydziestu srebrników, a strażnicy milczeli. Rozwiązali go, wyjęli knebel z ust, wepchnęli za żelazne drzwi i zatrzasnęli je z hukiem za jego plecami. Pozostał sam, twarzą w twarz z mrozącym krew w żyłach koszmarem tej komnaty.

Na podwyższeniu siedziało siedem postaci. Odziane były w obszerne płaszcze zarzucone na pancerze, na twarzach miały przerażające maski. Każda z postaci opierała się na metrowej długości mieczu. Wokół nich płonęły i kopciły lampy o dziwacznych kształtach, a powietrze było przesycone ciężkim smrodem siarkowodoru.

Jason zimno się roześmiał i rozejrzał, poszukując krzesła. Nie znalazł go, więc zdjął z najbliższego stołu potrzaskującą lampę w kształcie węża z ogniem wydobywającym się z paszczy, postawił ją na podłodze i rozsiadł się na stole. Pogardliwie popatrzył na siedzących przed nim.

- Wstań śmiertelniku! - rzekła środkowa postać. - Siadanie w obliczu Mastreguloj karane jest śmiercią!

- Będę siedział - odparł Jason, moszcząc się wygodnie. - Przecież nie porywaliście mnie po to, by mnie zabić i im szybciej uzmysłowicie sobie, że te komiczne przebrania nie robią na mnie najmniejszego wrażenia, tym szybciej zdołamy dobić interesu.

- Milcz! Śmierć stoi przy twoim boku!

- *Ekskremento!* - skrzywił się Jason. - Wasze maski i groźby nie są wcale lepsze od tych, którymi posługują się ci poganiacze niewolników na pustyni. Trzymajmy się faktów. Zbieraliście o mnie plotki i zainteresowaliście się moją osobą. Słyszeliście o ulepszonym *caro*, a szpiedzy opowiedzieli wam o elektrycznym młynku modlitewnym w świątyni. Może dotarło do was jeszcze coś. Wywarło to na was dobre wrażenie i chcielibyście zdobyć mnie na własność. W związku z tym wykonaliście niezawodny appsalański trik, przekazując drobną sumkę w pewne ręce. No i jestem.

- Czy wiesz, z kim mówisz? - zamaskowana postać siedząca po prawej stronie zapytała wysokim, trzęsącym się głosem. Jason uważnie przyjrzał się mówiącemu.

- Mastreguloj? Słyszałem o was. Uważa się was w tym mieście za magów i czarnoksiężników, którzy posiadają ogień płonący w wodzie, dym palący płuca, wodę palącą ciało i temu podobne rzeczy. Przypuszczam, że stanowicie miejscowy odpowiednik chemików i choć nie ma was zbyt wielu, jesteście wystarczająco wredni, by wszystkie pozostałe plemiona się was bały.

- Czy wiesz, co się w tym znajduje? - zapytał jeden z mężczyzn, pokazując szklaną kulę z żółtawym płynem. - Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

- Znajduje się tu magiczna woda płonąca, która spali cię na węgiel, gdy tylko cię dotknie...

- Dajże spokój! Nie ma w tej kuli nic szczególnego, tylko jakiś zwykły kwas, pewnie siarkowy, wszystkie inne kwasy bowiem produkuje się na jego bazie. No a poza tym, ten smród zgniłych jaj w komnacie.

Jego przypuszczenie najwyraźniej było wyjątkowo celne. Siedem postaci poruszyło się i zaczęło szeptać między sobą. W tym samym czasie Jason, korzystając, że ich uwaga była zaprzątnięta czym innym, wstał i zbliżył się powoli do podwyższenia. Miał już dość tych naukowych kwizów i ciągłego porywania go, wiązania, nagabywania i chodzenia po nim. Wszyscy w Appsali czuli lęk przed Mastreguloj i starali się ich unikać, ale nie byli oni wystarczająco wielkim klanem, by mogli mu dopomóc w realizacji jego zamierzeń. Miał wiele poważnych powodów, by popierać Persso-noj i nie chciał tego zmieniać.

Wśród błahostek, które zaśmiecały zakamarki jego umysłu, było również pewne stwierdzenie dotyczące słynnych ucieczek. Zapamiętał je, wiązało się bowiem ono z jego zawodowymi zainteresowaniami. W końcu, w wielu przypadkach jego cele i cele policji diametralnie się różniły. Wniosek, jaki wyciągnął z owych studiów na temat ucieczek był jeden - najlepszą sposobnością do ucieczki ma się tuż po schwyтaniu. Czyli teraz.

Mastreguloj popełnili błąd, spotykając się z nim sam na sam. Byli też starymi ludźmi. Ich głosy, sposób działania, pozwalały mu wyciągnąć wniosek, że na podwyższeniu nie ma ani jednego młodego człowieka i że mężczyzna siedzący po prawej stronie jest w bardzo podeszłym wieku. Zdradził to jego głos, a kiedy Jason zbliżył się, mógł dostrzec starczą drżączkę, która wprawiała w wibrację trzymany miecz.

- Kto zdradził tajemnicę i świętą nazwę *sulfurika acido*? - zagrziała środkowa postać. - Odpowiadaj, szpiegu, inaczej każemy wyrwać ci język i napełnimy ogniem wnętrzości...

- Nie czyńcie tego... - Jason padł na kolana, składając ręce jak do modlitwy. - Wszystko tylko nie to! Powiem! - Podczołgał się na kolanach do samego podwyższenia, świadomie zbaczając w prawo. - Wyznam prawdę, nie mogę jej dłużej ukrywać. Oto człowiek, który przekazał mi święte tajemnice. - Wskazał staruszka siedzącego po prawej stronie i dzięki temu jego ręka zbliżyła się do rękojeści miecza.

Jason poderwał się, wyrwał miecz ze słabej dłoni i popchnął starca na siedzącego obok sąsiada. Obaj mężczyźni upadli z imponującym łomotem.

- Śmierć niewiernym! - wrzasnął i zerwał czarną zaslonę pokrytą wzorem składającym się z czaszek i demonów. *Zarzucił* ją na dwu siedzących najbliżej Mastreguloj, którzy właśnie usiłowali zerwać się z krzesel i w tej samej chwili, zobaczył niewielkie drzwi, ukryte dotąd za draperią. Otworzył je, wyskoczył na oświetlony lampami korytarz i omal się nie zderzył z dwoma stojącymi tam wartownikami. Zaskoczenie sprawiło, że przewaga była po jego stronie. Pierwszy strażnik upadł, gdy Jason stuknął go płazem miecza w głowę, drugi zaś wypuścił broń, gdy sztychem przebił mu ramię. Teraz przydawał mu się Pyrrusański trening. Umiał poruszać się szybciej i szybciej zabijać niż każdy Appsałańczyk. Udowodnił to, biegnąc w stronę wyjścia. Gdy tylko skręcił za węgiel, nieomal zderzył się z Benn'tem.

Dzięki ci za to, że mnie tu sprowadziłeś... Zupełnie jakbym nie miał innych zmartwień - rzekł Jason parując cios Benn'ta. - I choć to, że jesteś płatnym zdrajcą, stanowi normę dla Appsałi, zamordowanie własnego żołnierza było czynem karygodnym. - Jego miecz zatoczył łuk i podciął Benn'tow»rdło, nieomal odrąbując mu głowę. Miecz był ciężki i trudno było zrobić nim zamach, ale gdy się go raz puściło w ruch, przecinał wszystko. Jason z entuzjazmem rzucił się do ataku na straż w przednim holu.

Jego jedyną przewagą był element zaskoczenia i dlatego poruszał się najszybciej jak potrafił. Gdy się zjednoczą, zdołają go pojmać i zabić, ale była już późna noc i zmęczeni wartownicy nie spodziewali się tak wściekłego ataku od tyłu. Jeden padł, drugi uciekł zataczając się, z krwią tryskającą z głębokiej rany

w ramieniu. Jason zaczął mocować się z belką ryglującą wejście. Kątem oka dostrzegł, że z sali obrad wyłonił się jeden z zamaskowanych Mastreguloj.

- Giń! - wrzasnął mężczyzna i cisnął szklaną kulą prosto w głowę Jasona.

- Dzięki - odparł Jason, chwytając kulę w powietrzu. Wsunął ją za pazuchę i otworzył drzwi.

Pościg zdołano zorganizować dopiero, gdy zbiegł po śliskich stopniach i wskakiwał do najbliższej łodzi. Była zbyt duża, by mógł nią swobodnie kierować, ale odciął cumę i odepchnął się wiosłem w kształcie liścia. Leniwy prąd w kanale *zaczał* go nieść, a on tymczasem wkładał wiosła w dulki. Wreszcie naparł na nie z całych sił. Na schodach pojawiły się postacie, rozległy się krzyki i rozbłysły pochodnie, ale w tej chwili szkwał niosący deszcz ze śniegiem zasłonił prześladowców. Jason wiosłował w ciemności, uśmiechając się do siebie.

Rozdział 13

Wiosłował do chwili, kiedy udało mu się rozgrzać, a potem dał się nieść prądowi. Łódź uderzała o niewidzialne w ciemności przeszkody i zaczęła wirować, gdy zbliżyła się do następnego kanału. Jason energicznymi ruchami wiosel skierował ją nową drogą i płynął przez ledwo widoczny labirynt szlaków wodnych między niskimi wyspami i podobnymi do stromych urwisk murami fortecznymi. Wreszcie uznał, że w wystarczającym już stopniu zmylił tropy i skierował łódź w stronę najbliższego brzegu, na którym mógłby wylądować. Łódź zatrzymała się. Jason wyskoczył z niej grzęznąc po kostki w wilgotnym piachu i wyciągnął ją dalej na brzeg.

Gdy nie mógł przysunąć jej ani o cal, znowu wlaź do środka i by nie rozgnieść przez przypadek

szklanej kapsuły, schował ją w zębie. Usiadł i czekał na świt. Był tak przemarznięty, że aż dygotał i zanim przez deszcz ze śniegiem przebiło się szare światło poranka, humor zdążył mu się popsuć całkowicie.

Z ciemności zaczęły wylaniać się niewyraźne kształty - nie opodal kilka małych łodzi wyciągniętych na brzeg i przymocowanych łańcuchami do pali, a nieco dalej małe, płaskie budynki. Jakiś człowiek wyczołgał się z takiej właśnie budy, ale gdy tylko ujrzał Jasona i jego łódź, wrzasnął i zniknął z powrotem w środku. Dobiegały stamtąd jakieś odgłosy ruchu, szmery i szepty, Jason więc wyszedł znowu na brzeg i kilkakrotnie machnął mieczem, by rozgrzać mięśnie.

Na brzeg zeszło, wahając się, około tuzina mężczyzn ściskających kurczowo pałki oraz wiosła i niemal dygocących z przerażenia.

- Odejdź, zostaw nas w pokoju - rzekł przywódca, wysuwając przed siebie wskazujący i mały palec, by zapobiec rzuceniu uroku. - Weź swą przebrzydłą łódź i opuść nasz brzeg Mastregulo. Jesteśmy tylko nędznymi rybakami.

- Żywię do was jedynie uczucia przyjaźni - odparł Jason opierając się na mieczu. - I podobnie jak wy, wcale nie kocham Mastreguloj.

- Lecz twoja łódź... tam jest znak... - Przywódca wskazał obrzydliwą rzeźbę umieszczoną na dziobie.

- Ukradłem ją im.

Rybaczy jęknęli unisono i najwyraźniej wpadli w panikę. Niektórzy rzucili się do ucieczki, kilku padło na kolana i zaczęło się modlić. Ktoś cisnął pałką, którą Jason odbił bez najmniejszego wysiłku.

- Jesteśmy zgubieni - jęknął przywódca. - Mastreguloj podążają jej tropem, odnajdą ten przynoszący nieszczęście statek i zabiją nas. Odpłyn, odpłyn stąd natychmiast!

- Coś w tym jest - przyznał mu rację Jason. Łódź istotnie była jak kula u nogi. Z trudem dawał sobie z nią radę, a poza tym jest tak charakterystyczna, że nie sposób płynąć nią niezauważenie. Obserwując bacznie

rybaków wydobył z zęby swą szklaną kulę, po czym oparł się ramieniem o dziób i zepchnął ją na wodę. Prąd natychmiast porwał ją i wkrótce była już niewidoczna.

- Ten problem został rozwiązany - stwierdził.

- A teraz muszę wrócić do twierdzy Perssonoj. Który z was chce zostać przewodnikiem?

Rybaczy zaczęli się rozchodzić, ale zanim przywódca zdołał zrobić to samo, Jason zablokował mu drogę.

- No i co z tą przeprawą?

- Chyba jej nie znajdę - odparł rybak. Jego ogorzała, wysmagana wiatrami twarz, zbieleła nagle.

- Mgła, deszcz ze śniegiem... Nigdy nie znajdę drogi.

- Daj spokój. Gdy tylko wylądujemy, dobrze ci zapłacę. Powiedz, ile chcesz.

Przywódca roześmiał się nieprzyjemnie i usiłował umknąć.

- Domyślam się, o co ci chodzi - rzekł Jason zagradzając mu drogę mieczem. - Kredyt nie jest tu chyba zbyt popularnym pojęciem.

Jason popatrzył w zamyśleniu na swój miecz i dopiero teraz uzmysłowił sobie, że nierówności rękojeści są w istocie oszlifowanymi kamieniami w kunsztownej oprawie. Wskazał je rybakowi.

- Widzisz? Zapłacę z góry, jeżeli znajdziesz nóż, żebym mógł je wydłubać. Jako zadatek dostaniesz ten czerwony, który wygląda jak rubin, a kiedy dotrzemy na miejsce, ten zielony.

Po krótkiej dyskusji i dodaniu jeszcze jednego czerwonego kamyka, chciwość przewyciężyła strach i rybak zepchnął na wodę małą, źle uszczelnioną łódź. Dzięki mgłę, mżawce i odzyskanej nagle przez przewo-

znika doskonałej znajomości torów wodnych, przybyli nie zauważeni do jakichś wyszczerbionych schodów prowadzących w stronę zamkniętej bramy. Mężczyzna zaklinał, że jest to wejście do twierdzy Perssonoj, ale Jason, świadom miejscowych obyczajów, zdawał sobie sprawę, że może to być coś zupełnie innego, nawet opuszczona niedawno siedziba Mastreguloj. Przytrzymał więc łódź jedną nogą i czekał do chwili, gdy zjawił się strażnik z charakterystycznym znakiem słońca wyszytym na płaszczu. Rybak ze zdziwieniem odebrał umówioną zapłatę i odpłynął

szybko, mrużąc coś pod nosem. Strażnik przywołał jeszcze jednego żołnierza. Odebrano Jasonowi miecz i szybko dostarczono do sali audiencyjnej Hertuga.

- Zdrajca! - wrzasnął Hertug rezygnując z ceremoniału. - Knowałeś, by zabić mych ludzi i uciec, ale mam cię wreszcie...

- Daj spokój! - oznajmił Jason z irytacją i strząsnął z siebie dłonie strażników. - Powróciłem tu z własnej woli, a to powinno coś znaczyć, nawet w Apsali. Zostałem porwany przez Mastreguloj, którym pomagał zdrajca z twojej własnej straży.

- Jego imię!

- Benn't. Zmarł tragicznie, zadbałem o to. Twój zaufany dowódca sprzedał cię konkurencji, która chciała, żebym dla nich pracował, ale się nie zgodziłem. Nie podobała mi się ta ich banda i odszedłem, zanim zaczęli robić mi propozycje. Ale przyniosłem próbkę. - Wyciągnął szklaną kulę z kwasem i straż cofnęła się z okrzykiem przerażenia. Nawet Hartug pobladł.

- Pałaca woda! - wykrztusił.

- Otóż to. A gdy tylko zdobędę nieco ołowiu, stanie się to częścią ogniwa mokrego, które właśnie wynajduję. Ale muszę stanowczo stwierdzić, że mam już dość tego ciągłego porywania. Wszyscy w Apsali naprzykują mi się, a ja mam pewne plany na przyszłość. Odeślij tych ludzi, a opowiem ci o nich.

Hertug nerwowo przygryzł wargę i spojrzał na strażników.

- Wróciłeś - powiedział do Jasona - ale dlaczego?

- Dlatego, że potrzebuję cię w równym stopniu, jak ty mnie. Masz mnóstwo ludzi, pieniędzy, masz siłę. A ja mam wielkie plany. A teraz odeślij służbę.

Na stole znajdowała się misa pełna *krenoj*. Jason wygrzebał najświeższe i odgryzł kawałek.

Hertug myślał intensywnie.

- Wróciłeś - powtórzył. Najwidoczniej ów fakt zdziwił go niepomniernie. - No to porozmawiajmy.

- Ale sami.

- Opuśćcie komnatę. - rozkazał, ale na wszelki wypadek polecił, by podano mu gotową do strzału kuszę. Jason zignorował to, nie spodziewał się niczego innego. Podszedł do źle oszklonego okna i popatrzył na miasto rozrzucone na wyspach. Niepogoda wreszcie minęła i słabe słońce oświetlało poczerwiałe od deszczu dachy.

- Czy chciałbyś, żeby to wszystko było twoje zapytał. Mów. - Małe oczka Hartuga rozblęły.

- Wspomniałem już o tym, ale teraz mówię zupełnie poważnie. Mam zamiar zdradzić ci wszystkie tajemnice wszystkich klanów na tej przeklętej planecie. Mam zamiar pokazać ci, jak *d'zertanoj* destylują ropę naftową, jak Mastreguloj produkują kwas siarkowy, jak Trozelligoj robią silniki. Potem mam zamiar

ulepszyć waszą broń i wprowadzić tak wiele nowych jej rodzajów, jak tylko zdołam. Uczynię wojnę tak straszliwą, że stanie się niemożliwą. Oczywiście, wojny będą, ale twoje oddziały zawsze będą zwyciężać. Zniszczysz konkurentów jednego po drugim, zaczynając od najsłabszego, aż wreszcie zostaniesz panem całego miasta, a potem całej planety. Wszystkie skarby świata będą twoje, a wieczory urozmaicą ci straszliwe katusze, jakie będziesz zadawać swoim wrogom. Co na to powiesz?

- *Supren la PerssonDj!* - wrzasnął Hertug zrywając się na równe nogi.

- Przypuszczałem, że to właśnie powiesz. Jeżeli mam tu jeszcze tkwić, przez czas jakiś, to pragnę zadać temu systemowi kilka dotkliwych ciosów. Do tej pory wiodło mi się nie najlepiej i najwyższa pora, by ten stan zmienić.

Rozdział 14

Dni stawały się coraz dłuższe, deszcz ze śniegiem zmienił się w deszcz, a później ustały i deszcze. Ostatnie chmury wiatr popędził nad morze i nad Apsalą zajaśniało słońce. Otwarły się pączki, rozkwitły kwiaty napełniając powietrze aromatami, a z nagrzewającej się wody kanałów również unosiły się aromaty, mniej jednak przyjemne. Jason miał bardzo mało czasu, by zwrócić na to uwagę, pracował bowiem do późna nad nowymi wynalazkami. Zarówno prace badawcze, jak i rozwój produkcji były kosztowne i kiedy rachunki zbyt szybko wzrosły, Hertug drapał się w brodę mrużąc o starych, dobrych czasach. Wtedy Jason musiał rzucać wszystko i robić jakiś nowy cud. Lampa łukowa była jednym z nich, następnie zaś piec łukowy, który bardzo pomagał w pracach

metalurgicznych i niezwykle uszczęśliwił Hertuga, zwłaszcza gdy zorientował się, jak wynalazek ten jest przydatny do tortur. Przypiekał w nim schwytanego Trozelligo tak długo, aż wreszcie jeniec powiedział wszystko, co chcieli wiedzieć. Kiedy ta nowość już się opatrzyła, Jason wprowadził galwanizację, która pomogła napędzić skarbiec zarówno dzięki handlowi biżuterią, jak również fałszerstwom monet.

Jason zachowując wyjątkowe środki ostrożności otworzył szklaną kulę Mastreguloj i z satysfakcją stwierdził, że istotnie zawiera ona kwas siarkowy. Dzięki niemu zbudował ciężką, ale wydajną baterię akumulatorową. Wciąż wyprowadzany z równowagi próbą porwania, poprowadził atak na barkę Mastreguloj i zdobył pokaźny zapas kwasu, jak również zestaw innych chemikaliów.

Wypróbowywał je w każdej wolnej chwili. Przeprowadził kilka nieudanych eksperymentów, ale wreszcie musiał dać sobie spokój. Technologia produkcji prochu strzelniczego najwyraźniej wyleciała mu z pamięci. Przygnębiło go to, ale niezmiernie uradowało jego pomocników, którzy, by uzyskać saletrę, musieli przerzucać stare kupy gnoju.

Wykorzystując poprzednie doświadczenia, o wiele większy sukces odniósł w dziedzinie *caroj* i maszyn parowych i skonstruował lekki, choć mocny okrętowy silnik parowy. W wolnych chwilach wynalazł ruchome czcionki, telefon i głośnik, który w połączeniu z płytą gramofonową, tworzył cuda na uroczystościach religijnych przekazując głosy duchów. Do silnika okrętowego opracował również śrubę napędową, a obecnie pochłonięty był budową parowej katapulty. Dla własnej przyjemności umieścił w swym pokoju aparat destylacyjny, dzięki któremu miał zapewnioną stałą dostawę dość ordynarnej, ale skutecznej brandy.

- W gruncie rzeczy sprawy nie wyglądają tak źle - rzekł, rozpiękając się wygodnie w swym wyściełanym fotelu i pociągając ze szklaneczki łyk swego najnowszego i najlepszego produktu. Dzień był gorący i wy-

ziewy unoszące się z kanałów zapierały dech w piersiach, ale teraz wieczorna bryza, która wpadała przez otwarte okna była chłodna i orzeźwiająca. Jason właśnie skonsumował doskonały stek upieczony na wynalezionym przez siebie ruszcie i podany z puree z *krenoj* oraz z chlebem wypieczonym z mąki zmielonej w niedawno wynalezionym młynie. Ijale śpiewała w kuchni zmywając naczynia, Mikah zaś pracowicie oczyszczał rurki aparatu destylacyjnego.

- Naprawdę nie masz ochoty wypić ze mną jednego? - zapytał Jason, czując przepełniającą go miłość do rodzaju ludzkiego.

- Rozpustna rzecz wino i zwadliwe pijaństwo... Księga Przysłów - zadeklamował Mikah w swym najlepszym stylu.

- A wino rozweseliło serce człowieka. Księga Przysłów. Ja też czytałem Pismo. Skoro jednak nie masz ochoty na przyjacielski kieliszeczek, to może zadowolisz się choć orzeźwiającą szklanką wody i odpoczniesz? Praca może poczekać do jutra.

- Jestem twoim niewolnikiem - odparł ponuro Mikah dotykając żelaznej obroży i ponownie zabierając się do pracy.

- Cóż, o to możesz mieć pretensje do samego siebie. Gdyby można było bardziej ci wierzyć, uwolniłbym cię. W rzeczy samej, dlaczego nie miałbym tego zrobić? Daj mi tylko słowo, że nie narobisz mi więcej kłopotów, a zdejmę z ciebie tę obrożę, zanim zdążysz powiedzieć

“antydisestablishmentarianizm”. Sądzę, że jestem w wystarczająco dobrych stosunkach z Hertugiem i dam sobie radę z wszelkimi niewielkimi problemami, jakie mógłbyś mi sprawić. Co na to

powiesz? Choć nasze rozmowy są dość ubogie w treści, to jednak uważam cię za dwa razy lepszego partnera od kogokolwiek na tej planecie.

Mikah dotknął obroży ponownie i przez chwilę wydawało się, że ogarnęły go wątpliwości. Ale prawie natychmiast krzyknął: - Nie! - I jak oparzony cofnął palce. - Idź precz, Szatanie! Zgiń, przepadnij! Nie zniżę się do prośby i nie dam mego honoru w zastaw komuś takiemu jak ty. Wolę cierpieć w więzach aż do dnia wyzwolenia, kiedy wreszcie ujrzę jak za twe zbrodnie dosięgnie cię ramię sprawiedliwości i staniesz przed sądem, by zostać skazany i zgubiony na wieki.

- Cóż, nie ukrywasz swych ambicji. - Jason osuszył z lubością szklaneczkę i "napenił ją ponownie. - Mam nadzieję, że twe marzenia się spełnią - przynajmniej jeżeli chodzi o dzień wyzwolenia. Natomiast nasze poglądy na dalszy tok wydarzeń nieco się różnią. Ale czy zdarzyło

ci się choć trochę pomyśleć o tym, jak odległy jest ów dzień wyzwolenia? -1 co zrobiłeś, by go przybliżyć?

- Nie mogę nic zrobić. Jestem niewolnikiem!

- Owszem. I obaj wiemy dlaczego. Ale pomijając tę kwestię, to czy sądzisz, że gdybyś był wolny, mógłbyś dokonać więcej? Odpowiem za ciebie. Nie. Aleja mogę i udało mi się załatwić parę problemów. Po pierwsze - na tej przeklętej planecie nie ma żadnego przybysza z zewnątrz - poza nami dwoma. Znalazłem parę odpowiednich kryształków i zbudowałem radio detektorowe. Nie udało mi się usłyszeć nic poza zakłóceniami atmosferycznymi i moim świętym SOS.

- Cóż to za nowe bluźnierstwo?

- Nie wspominałem ci o tym? Zbudowałem prosty nadajnik, służy on tubylcom jako elektryczny młynek modlitewny i wierni świątobliwie wysyłają każdego dnia sygnały radiowe.

- Czyż nie ma dla ciebie nic świętego, bluźnierco?

- Pomówimy kiedy indziej na ten temat, choć przyznam, że nie bardzo wiem, o co ci chodzi. Czyżbyś istotnie darzył szacunkiem tę parodię religii z wielkim bogiem Elektro na czele i całą tą resztą? Powinieneś być wdzięczny, że zaprzęgam jej wyznawców do jakiejś pożytecznej pracy. Jeżeli jakiś kosmolot znajdzie się niedaleko atmosfery tej planety, odbierze nasze sygnały i skieruje się w tę stronę. - Kiedy? - zapytał zainteresowany mimo woli Mi-kah.

- To może nastąpić za pięć minut - a może za pięćset lat. Nawet jeżeli ktoś cię poszukuje, to w tej galaktyce jest cholernie dużo planet. Wątpię, czy Pyrrusanie zorganizują z mojego powodu ekspedycję ratunkową. Mają tylko jeden statek kosmiczny, który jest im ciągle potrzebny. A twój?

- Będą się za mnie modlić, ale nie mogą mnie szukać. Większość naszych pieniędzy zużyliśmy na zakup statku, który tak bezstrosko zniszczyłeś. A co z innymi statkami? Na pewno kupcy, badacze...

- Los... To *zależy* wyłącznie od igraszek losu. Jak już powiedziałem - za pięć minut, pięćset lat albo nigdy. Po prostu ślepy los.

Mikah siadł ciężko, pogrążony w ponurych rozmyślaniach. Jason zaś mimo wszystko poczuł coś w rodzaju współczucia. - Uszy do góry, w końcu nie jest tu tak źle - powiedział. - Porównaj naszą obecną sytuację z przynależnością do wesołej gromadki poszukiwaczy *krenoj* nieodżałowanego Ch'aki. Teraz mamy przynajmniej mieszkanie z wygodnymi meblami, o-grzewaniem, przyzwoite jedzenie i wszystkie współczesne wygody pojawiają się w takim tempie, w jakim nadażam je wynajdywać. Dla mojej własnej wygody oraz z czystej nienawiści do większości tutejszych obywateli mam zamiar wyciągnąć ten świat z wieków ciemnoty i rzucić go w pełną chwały technologiczną przyszłość. Czyżbyś przypuszczał, że robię to wszystko dlatego, by pomóc Hertugowi?

- Nie pojmuję.

- To dość typowe. Posłuchaj, mamy do czynienia ze statyczną kulturą, która nigdy się nie zmieni, jeżeli nie zostanie założony we właściwym miejscu odpowiedni ładunek wybuchowy. To znaczy ja. Dopóki wiedza będzie uważana za oficjalną tajemnicę, dopóty nie zajdą żadne zmiany.

Najprawdopodobniej zaistnieją drobne modyfikacje w obrębie poszczególnych klanów spowodowane badaniami w ramach ich specjalizacji, ale nie nastąpi żadna istotna zmiana. Mam zamiar zburzyć to wszystko. Dostarczam naszemu Hertugowi informacji, które do tej pory posiadały poszczególne plemiona, jak też kupę najrozmaitszych dzyngsów, o jakich nie mieli zielonego pojęcia. Zniszczy to dotychczasową równowagę, która sprawiała, że te wojujące bandy dysponowały mniej więcej identyczną siłą, a jeżeli Hertug poprowadzi wojnę we właściwy, to znaczy mój sposób, załatwi je po kolei, jednego po drugim...

- Wojnę? - zapytał Mikah. Jego nozdrza rozděły się, w oczach znów zapłonął dawny płomień. - Powiedziałeś wojnę?

- Otóż to - wojnę - odparł Jason pociągając ze szklanki. Upojony własnymi wizjami i nieźle podcięty gorzałą domowej produkcji nie zauważył tych ostrzegawczych sygnałów. - Jak już ktoś powiedział, nie sposób zrobić omlotu nie rozbijając jajek. Jeżeli ten świat zostanie pozostawiony na pastwę losu, będzie krążył sobie po orbicie, a dziewięćdziesiąt dziewięć procent jego

mieszkańców będzie skazane na choroby, nędzę, brud, nieszczęścia, niewolnictwo i tak dalej. Mam zamiar rozpocząć wojnę - sympatyczną, czyściutką i naukową wojnę, która zlikwiduje całą konkurencję. Kiedy się skończy, dla wszystkich będzie to o wiele lepsze miejsce do życia. Hertug załatwi wszystkie pozostałe bandy i zostanie dyktatorem. Praca, którą wykonuję, przerasta możliwości dawnych *sciuloj* i dlatego angażuję do niej niewolników i szkołę młodszych techników z kręgów rodziny. Kiedy to zakończę, nastąpi skrzyżowanie różnych gałęzi wiedzy i rewolucja techniczna rozkręci się na dobre. Droga odwrotu zostanie zamknięta, ponieważ stare obyczaje się już przeżyły. Maszyny, kapitał, przedsiębiorcy, wypoczynek, sztuka...

- Jesteś potworem! - wykrztusił Mikah przez zaciśnięte zęby. - By zaspokoić swoją próżność, jesteś nawet gotów rozpocząć wojnę i skazać tysiące niewinnych istot na śmierć. Powstrzymam cię, choćby za cenę mego życia!

- Co mówisz? - wybełkotał Jason unosząc głowę. Zdrzemnął się, pokonany przez zmęczenie i ukołyszany tęczowymi wizjami.

Ale Mikah nie odpowiedział. Odwrócił się i schylił nad aparatem destylacyjnym. Twarz miał zaczerwie-

nioną, przygryzał dolną wargę tak silnie, że wąski strumyczek krwi spływał mu po podbródku. W końcu nauczył się, że w pewnych sytuacjach warto jest zachować milczenie, choćby związany z tym wysiłek nieomal go zabijał.

W podwórku twierdzy Perssonoj znajdował się wielki, kamienny zbiornik wypełniony wodą przepompowywaną z barek. Tu spotykali się niewolnicy przychodząc po wodę i tu właśnie znajdowało się centrum plotek i intryg. Mikah czekał w kolejce, by napełnić wiadro wodą płynącą z kranu, a jednocześnie uważnie wpatrywał się w twarze innych niewolników poszukując tego, który zaczepił go kilka tygodni wcześniej i którego wówczas zignorował. Wreszcie zobaczył go, jak niesie kawałek drewna i podszedł do niego.

- Pomogę - szepnął Mikah mijając go. Niewolnik uśmiechnął się krzywo.

- Wreszcie zmadrzałeś. Wszystko zostanie przygotowane.

Nadeszła pełnia lata. Dni były gorące, wilgotne i dopiero po zmierzchu powietrze stawało się nieco chłodniejsze. Prace Jasona nad katapultą parową osiągnęły już stadium prób. W ostatniej chwili postanowił, że przeprowadzi testy dopiero wieczorem, gdyż żar buchający od kotła był za dnia nie do zniesienia.

Mikah poszedł po wodę, by napełnić nią zbiornik w kuchni - zapomniał zrobić to wcześniej - i Jason nie dostrzegł go, gdy schodził po obiedzie do swej pracowni. Asystenci utrzymali ogień pod kotłem i właściwe ciśnienie pary - próby się rozpoczęły. Syk uciekającej pary, hałasująca maszyna sprawiły, że pierwszym znakiem, iż coś jest nie tak, był widok żołnierza w skrwawionej kurtce, ze strzałą sterczącą w ramieniu, który krzyżąc wpadł do warsztatu.

- Trozelligoj, atakują!

Jason zaczął wykrzykiwać polecenia, ale został zupełnie zignorowany. Wszyscy rzucili się do drzwi. Klnąc dziko zatrzymał się wystarczająco długo w warsztacie, by wygasić ogień i spuścić parę z kotła. Potem podążył w ślad za innymi. Po drodze minął półkę z okazowym egzemplarzem doświadczalnej broni i nie zatrzymując się, schwycił niedawno skonstruowany morgensztern - grubą rękojeść, do której na łańcuchu przymocowana była kula z brązu nabijana stalowymi kolcami.

Ciemnymi korytarzami pobiegł w stronę odległych nawoływań, które zdawały się dobiegać z podwórca. Gdy mijał schody prowadzące na górne piętra, odniósł niejasne wrażenie, że z wyższych kondygnacji dobiega go jakiś hałas i stłumiony okrzyk. Kiedy dotarł do szerokiego głównego wejścia prowadzącego na podwórzec, dostrzegł, że walka dobiega końca i zostanie wygrana bez jego pomocy.

Lampy hakowe zalewały podwórzec ostrym światłem. Morska brama prowadząca do basenu była częściowo rozwalona przez barkę o ostro zakończonym dziobie, wciąż jeszcze tkwiącym w zdruzgotanych

wrotach. Trozelligoj, nie mogąc przedostać się na podwórzec, zaatakowali wzdłuż murów i zlikwidowali większość broniących się tam strażników. Zanim jednak osiągnęli podwórzec i zdolali sprowadzić posiłki zza muru, kontratak przebudzonych obrońców powstrzymał ich.

Osiągnięcie sukcesu stało się już niemożliwe i Trozelligoj wycofywali się wolno, prowadząc walki osłonowe. Ludzie wciąż jeszcze ginęli, ale bitwa była już zakończona. W wodzie unosiły się ciała, przeważnie naszpikowane bełtami z kusz, wynoszono rannych. Dla Jasona nie było już nic do roboty i mimowolnie zaczął zastanawiać się, co za sens miał ten atak o północy.

W tej samej chwili ogarnęło go przecucie dalszych kłopotów. Atak został odparty, ale mimo wszystko czuł, że coś, coś ważnego, jest nie tak. Wtedy właśnie przypomniał sobie odgłosy dobiegające z klatki schodowej - ciężkie kroki i brzęk broni. I okrzyk - urwany nagle. Kiedy słyszał te dźwięki, nie przydał im żadnego znaczenia. Nawet gdyby się nad nimi wówczas zastanawiał, uznałby, że to dalsi żołnierze spieszą do walki.

- Ale przecież wyszedłem ostatni! Nikt po mnie nie schodził po schodach! - Mówiąc to, podbiegł do schodów i popędził do góry, przeskakując po trzy stopnie.

Gdzieś z góry dobiegł łoskot i dźwięk metalu uderzającego o kamień. Jason wpadł do holu, potknął się o leżące ciało i uzmysłowił sobie, że odgłosy walki dobiegają z jego pokojów.

Wewnątrz był dom wariatów i rzeźnia zarazem. Ocalała tylko jedna lampa i w jej migocącym świetle żołnierze potykali się o szczątki mebli, walczyli i ginęli.

Wypełnione walczącymi ludźmi pomieszczenia jakby zmalowały i Jason przeskoczył przez splątane w śmiertelnym uścisku zwłoki, by wesprzeć rzednące szeregi Perssonoj.

- Ijale! Gdzie jesteś? - zawołał i wyrzucił morgensz-ternem w hełm szarżującego żołnierza.

Napastnik upadł, przewracając sąsiada i Jason wdarł się w powstałą lukę.

- To on! - krzyknął czyjś głos z tylnych szeregów Trozelligoj i niemal wszyscy atakujący rzucili się na niego. Było ich tak wielu, że przeszkadzali sobie nawzajem. Nacierali z szaleńczą furją. Starali się go obezwładnić, podciąć mu nogi lub przestrzelić ramię. Uderzenie mieczem, którego nie zdołał sparować, rozcięło mu udo, ramię bolało go od wysiłku, z jakim wymachiwał morgenszternem, tworząc przed sobą śmiertcionośną zasłonę. Widział przed sobą jedynie atakujących go, zdesperowanych ludzi i nie zdawał sobie sprawy, że wieść o napadzie już się rozniosła. Obrońcom przybyły posiłki i żołnierze przed nim zostali zmieceni przez falę Perssonoj. Jason otarł rękawem pot z czoła i na drżących nogach ruszył za nimi. Zapłonęły nowe pochodnie i w ich świetle dostrzegł, że nieliczni napastnicy bronią się ramię przy ramieniu osłaniając pozostałych, przeciskających się przez okna wychodzące na kanał. Jego pieczołowicie założone szyby zamieniły się w potłuczone odłamki, we framugi i ściany wbite były haki z umocowanymi do nich grubymi linami.

Wbiegł oddział kuszników i wystrzelał ostatnich żołnierzy z ariergardy. Jason podbiegł do okna. Ciemne kształty zniknęły, gorączkowo splezając po sznurkach drabinkach.

Wrzeszczący zwycięzcy zaczęli przecinać liny, ale Jason odtrącił ich wołając:

- Nie, za nimi! - Przełożył nogę przez framugę okna. Schodził po kołyszącej się drabince, zaciskając w zębach rękojeść morgenszterna i klnąc pod nosem umykające szczeble.

Gdy dotarł na dół, zobaczył zanurzone w wodzie końce drabin i usłyszał niktący w ciemnościach odgłos pospiesznego wiosłowania. I nagle do jego świadomości dotarł ból w zranionej nodze i uczucie całkowitego wyczerpania. Nie miał zamiaru próbować wspinać się z powrotem na górę.

- Niech przyślą tu łódź! - powiedział żołnierzowi, który podążał za nim po drabince. Wisiał, trzymając się ramieniem szczebelka aż do chwili, kiedy pojawiła się łódź. Na jej dziobie, z obnażonym mieczem w dłoni, stał Hertug we własnej osobie.

- Co to był za atak? O co tu chodziło? - zapytał. Jason z trudem przedostał się do łódki i ciężko opadł na ławkę.

- Teraz jest to oczywiste. Cały ten atak został zorganizowany po to, żeby mnie porwać.

- Co? To niemożliwe...

- Możliwe, możliwe, jeżeli zastanowisz się przez chwilę. Atak na morską bramę wcale nie miał się udać. Powinien był tylko odwrócić uwagę, a w tym samym czasie druga grupa miała mnie porwać. Całe szczęście, że właśnie pracowałem, zazwyczaj o tej porze śpię...

- Ale kto chciał cię porwać? Dlaczego?

- Czy jeszcze do ciebie nie dotarło, że jestem obecnie najcenniejszą osobą w Appsalii? Pierwsi uzmysłowili to sobie Mastreguloj. Nawet udało im się mnie

porwać, jak sobie przypominasz. Powinniśmy się spodziewać tego ataku Trozelligoj. W końcu

muszą już wiedzieć, że robię maszyny parowe - a to stanowiło przecież ich dawny monopol. Łódź przedostała się przez rozbite wrota morskiej bramy i dobiła do pirsu. Obolały Jason wygramolił się na brzeg.

- Ale jak udało im się dotrzeć do środka i w jaki sposób odnaleźli twoje mieszkanie?

- To była wewnętrzna robota, zdrajca, jak zwykle na tej cholernej planecie. Ktoś, kto znał rozkład dnia, kto mógł wbić hak i rzucić pierwszą drabinkę czekającym, zanim rozpoczął się atak. To nie była Ijale - musieli ją porwać.

- Dowiem się, kto był tym zdrajcą! - wrzasnął Hertug. - Wpakuję go do pieca hakowego cał po calu.

- Wiem, kto nim jest - odparł Jason z paskudnym błyskiem w oczach. - Usłyszałem jego głos, kiedy wbiegłem do pokoju. Powiedział im, kim jestem. Poznałem ten głos - to był mój niewolnik, Mikah.

Rozdział 15

- Zapłacą, oo, zapłacą mi za to! - mruknął Hertug straszliwie zgrzytając zębami. Pociągnął ze szklaneczki brandy wyprodukowanej przez Jasona, a jego oczy i nos były czerwieniejsze niż zwykle.

- Cieszę się, że tak uważasz, to właśnie bowiem miałem na myśli - rzekł Jason na wpół leżąc na otomanie. Na jego piersi stała nieco większa szklanka. Przemysł ranę na udzie przegotowaną wodą i owinął ją sterylnymi bandażami. Pobolewała go nieco, ale nie " sądził, by przysporzyła mu kłopotów. Przestał zwracać na nią uwagę i przystąpił do układania planów.

- Musimy zaraz rozpocząć wojnę - oznajmił.

- Czy to nie za szybko? - Hertug zamrugał. - To znaczy, czy jesteśmy już gotowi?

- Napadli twój zamek, zabili twoich żołnierzy, zniszczyli twój...

- Śmierć Trozelligoj! - wrzasnął Hertug i cisnął szklanką o ścianę.

- To już lepiej. I pamiętaj, jaki numer wycięły ci te zdradzieckie sukinsyny. Nie możesz puścić tego płazem. A poza tym, powinniśmy zacząć wojnę jak najszybciej, bo potem będziemy bez szans. Jeżeli Trozelligoj zadali sobie aż tyle trudu, żeby mnie schwytać, to znaczy, że są poważnie zaniepokojeni.

A ponieważ plan się nie powiódł, przygotowują następny, mocniejszy i najprawdopodobniej uzyskają pomoc niektórych klanów. Zaczynają się ciebie bać, Hertugu i lepiej będzie, jeżeli to my zaczniemy tę wojnę, zanim zdecydują się połączyć i nas zniszczyć. A pojedynczo, możemy sobie dać z nimi radę.

- Dobrze by było, gdybyśmy mieli więcej ludzi i trochę czasu...

- Mamy około dwóch dni - tyle czasu zajmie mi wyposażenie mojej floty inwazyjnej. To wystarczy, byś mógł wezwać posiłki. Chcemy zaatakować i zdobyć fortecę Trozelligoj i jest to nasza jedyna szansa. A nowa katapulta parowa załatwi sprawę.

- Czy została wypróbowana?

- W wystarczającym stopniu, by przekonać się, że jest w stanie wykonać to, do czego ją zaprojektowano. Celowanie i próbne strzelanie przeprowadzimy, biorąc za cel Trozelligoj. Rozpocznę pracę o brzasku, a tymczasem proponuję zaraz wysłać posłańców, żebyś zdołał na czas zebrać wielu ludzi. Śmierć Trozelligoj!

- Śmierć! - odezwał się jak echo Hertug i wykrzywił się straszliwie, dzwoniąc na służbę.

Było jeszcze wiele do zrobienia i Jason zdołał załatwić wszystko rezygnując ze snu. Gdy czuł się zmęczony, przypominał sobie zdradę Mikaha oraz zastanawiał się, jaki los spotkał Ijale i natychmiast wściekłość przydawała mu nowych sił do pracy. Nie miał żadnej pewności, że Ijale w ogóle jeszcze żyje, po prostu zakładał, iż została porwana. No, a z Mikahem miał sporo porachunków.

Ponieważ machina parowa i śruba zostały już zamontowane w kadłubie i sprawdzone bez wypływa-

nią za bramę, prace wykończeniowe na okręcie wojennym zabrały niewiele czasu. Polegały one przede wszystkim na zamontowaniu płyt żelaznych tak, by chroniły nadbudówki i kadłub powyżej linii wodnej. Opancerzenie na dziobie było grubsze i Jason zadbał również o wzmocnienie wewnętrznej konstrukcji tej części okrętu. Początkowo zamierzał umieścić kata-pultę na jego pokładzie, ale potem zarzucił ten pomysł. Bardziej prosty sposób był lepszy. Katapultę zainsta-

lowano na dużej, płaskodennej barce, na której znalazł się również kocioł, zbiornik z paliwem i zestawem starannie zaprojektowanych pocisków.

Perssonoj przybywali. Wszyscy płonęli gniewem i *žadzą* zemsty za zdradziecką napaść. Drugiej nocy, mimo ich wrzasków, Jason zdołał jednak przespać się kilka godzin. Na jego polecenie zbudzono go o świcie. Flota się zgromadziła i przy akompaniamencie łomotu bębnow i wycia trąb, postawił żagle.

Pierwszy wypłynął okręt wojenny "Dreadnaught", na którego opancerzonym mostku znajdowali się Jason i Hertug. Okręt holował barcę, a za nimi, w szyku torowym, podążały rozmaite jednostki wypełnione wojskiem. Całe miasto wiedziało, na co się zanosi i kanały były puste.

Bramy fortecy Trozelligoj były zamknięte. Twierdza oczekiwała na atak. Jason, na długo zanim znalazł się w zasięgu strzał z łuków, dał sygnał syreną i cała flota zatrzymała się niechętnie.

- Czemu nie atakujemy? - zapytał Hertug.

- Ponieważ mamy ich w zasięgu strzału, a oni nas nie.

Potężne włócznie o żelaznych grotach wyrznięły w wodę ponad trzydzieści metrów od dziobu okrętu.

- Strzały *jetilol* - Hertug wzdrygnął się. - Widziałem jak bez trudu przebijały siedmiu ludzi naraz.

- Ale nie tym razem. Chcę zademonstrować im, na czym polega naukowy sposób prowadzenia wojny.

Jetilo były równie skuteczne, co wrzaski żołnierzy na murach, którzy ciskali kłatwy, tłukąc mieczami o tarcze i wkrótce Trozelligoj przerwali ostrzał. Jason przedostał się na barcę i dopilnował, by ją solidnie zakotwiczone, dziób miał być skierowany na fortecę. W czasie gdy ciśnienie w kotle rosło, wycelował katapultę i na chybił trafił ustawił kąt podniesienia.

Urządzenie było proste, ale potężne i pokładał w nim wielkie nadzieje. Na platformie, którą można było obracać, a także zmieniać jej kąt nachylenia, znajdował się wielki cylinder parowy z tłokiem umocowanym do krótszego ramienia długiej dźwigni. Gdy do cylindra wpuszczono parę, krótki, lecz potężny suw tłoka wprowadził w gwałtowny ruch górną część ramienia, które zatrzymywało się, uderzając w wysięclaną poprzeczkę i wyrzucało to, co znajdowało się w łyżce umocowanej do zakończenia dźwigni. Mechanizm przeszedł próby i okazało się, że działa doskonale, ale jak dotąd z katapulty nie oddano ani jednego strzału.

- Pełne ciśnienie! - zawołał Jason do swych techników. - Załadować do łyżki jeden kamień. -

Przygotował duży wybór pocisków. Każdy z nich ważył mniej więcej tyle samo, co upraszczało sprawę celowania. Gdy ładowano pocisk na katapultę, jeszcze raz sprawdził elastyczne przewody pary. Z ich wykonaniem miał najwięcej kłopotów, ale mimo to wciąż zdarzały się nieszczęśliwości - zwłaszcza przy długim ich używaniu pod wysokim ciśnieniem.

- Jazda! - zawołał i przycisnął dźwignię zaworu.

Tłok przesunął się szybko, ramię dźwigni poderwało się do góry i z łomotem wyrznęło w poprzeczkę. Kamień pomknął ze świstem, zmieniając się stopniowo w malejącą kropeczkę.

Wszyscy Perssonoj wrzasnęli triumfalnie. Wrzask ten umilkł jednak, gdy kamień przeleciał dobre pięćdziesiąt metrów ponad najwyższą wieżę i chlupnął do kanału po drugiej stronie twierdzy nie wyrządzając najmniejszych szkód. Trozelligoj widząc to zaczęli wznosić szydercze okrzyki.

- To tylko próbne strzały - zbagatelizował niepowodzenie Jason. - Trochę mniejszy kąt podniesienia i następny kamień wrzucę im prosto na dziedziniec.

Przekreślił zawór odprowadzający i siła ciężkości opuściła dłuższe ramię dźwigni do pozycji horyzontalnej, przesuwając zarazem tłok do pozycji wyjściowej. DinAlt uważnie zamknął zawór i zmienił kąt podniesienia. Załadowano następny kamień i Jason odpalił.

Tym razem triumfalne okrzyki rozległy się tylko w twierdzy Trozelligoj. Kamień wzbился prawie pionowo do góry, a potem spadł, posyłając na dno jedną z łodzi Perssonoj.

- Kiepska jest ta twoja piekielny machina - oznajmił Hertug, który zjawił się, by obejrzeć strzelanie.

- Doświadczenia w warunkach polowych zawsze stwarzają pewne problemy - wycedził Jason przez zaciśnięte zęby. - Lepiej przypatrz się uważnie następnemu strzałowi. - Postanowił dać sobie spokój z wymyślnymi trajektoriami stromotorowymi i spróbować strzelania bezpośredniego. Zauważył, że machina dysponowała o wiele większą mocą, niż początkowo

przypuszczał. Obracając wściekle pokrętleł mechani-

/mu podniesienia uniósł tylną część katapulty tak, że kamień po opuszczeniu łyżki powinien był lecieć niemal równolegle do powierzchni wody.

- To będzie strzał, który da się im we znaki oznajmił z przekonaniem, którego wcale nie czuł i zaciskając kciuk swobodnej dłoni, odpalił. Kamień zniknął z basowym buczeniem i uderzył w mur tuż pod wieńczącymi go krenelażami, rozwalając potężny fragment umocnień wraz ze znajdującymi się w nich żołnierzami. Tym razem ze strony Trozelligoj nie rozległy się żadne okrzyki.

- Strach ich ogarnął! - wrzasnął radośnie Hertug.

- Do ataku!

- Jeszcze nie - wyjaśnił cierpliwie Jason. - Zapomniałeś o ważnym elemencie sztuki oblężniczej. Przed atakiem musimy wyrządzić jak najwięcej szkód - to pomoże zmienić stosunek sił. - Zmienił nieco celownik i następny kamień rozwalil dalszy fragment muru.

- Kiedy kamienie zniszczyły już duży fragment muru i zaczęły wybijać dziury w głównym budynku, Jason podniósł nieco punkt celowania. - Załadować specjalny - rozkazał. Były to namoczone w ropie pęki szmat obciążone kamieniami i przewiązane sznurami.

Gdy umieszczono pocisk w łyżce, zapalił go własnoręcznie i odczekał, aż dobrze się zajmie. W czasie lotu pęd powietrza jeszcze silniej podsycił ogień, który rozprysnął się po krytym strzechą dachu nieprzyjacielskiej fortecy. - Poślemy im jeszcze parę sztuk

- oznajmił Jason zaciskając z satysfakcją ręce.

Zdesperowani Trozelligoj spróbowali przejść do kontrataku dopiero wtedy, gdy w zewnętrznym murze powstało już kilka wyłomów, zawałyły się dwie wieże, a większa część dachu stała w płomieniach. Jason czekał na ten moment i natychmiast zauważył, że wrota bramy morskiej się otwierają.

- Przerwać ogień - polecił - i uważać na ciśnienie. Jeżeli kocioł wyleci w powietrze, osobiście zamorduję każdego, który przeżyje. - Zeskoczył do łodzi, która z pełną obsadą czekała u burty. - Do pancernika! - powiedział i w tej samej chwili do łodzi wskoczył Hertug, przechylając ją niebezpiecznie.

- Hertug zawsze prowadzi do boju! - wrzasnął i wymachując wściekle mieczem omal nie skrócił o głowę jednego z wiosłarzy.

- W porządku - odparł Jason - ale uważaj na miecz i gdy zaczniesz się draka, trzymaj głowę nisko. Kiedy DinAlt wspiął się na mostek "Dreadnaugh-ta" dostrzegł, że niezgrabny bocznokołowiec minął bramę morską i kieruje się prosto w ich stronę. Słyszał już mrożące krew w żyłach opisy tego strasznego narzędzia zagłady i z niekłamaną radością przekonał się, że zgodnie z jego przewidywaniami jest to rozklekotany, nieopancerzony stateczek.

- Cała naprzód! - ryknął do tuby głosowej i sam stanął przy sterze.

Okrety, płynąc naprzeciwko siebie, zbliżały się gwałtownie. Włócznie z *jetilo*, przerośniętych kusz, zagrzechotały o pancierz "Dreadnaughta" i plusnęły do wody. Nie wyrządziły żadnych szkód i obie jednostki pędziły dalej kursem na zderzenie. Widok niskiej, buchającej dymem sylwetki "Dreadnaughta" zapewne wstrząsnął nieprzyjacielskim kapitanem, który uzmysłowił sobie, że przy tej prędkości kolizja nie wyjdzie jego jednostce na zdrowie i gwałtownie zaczął wykonywać zwrot. Jason energicznie zakręcił kołem sterowym, wciąż celując dziobem w burtę wrogiego statku.

- Trzymać się, zaraz w nich uderzymy - krzyknął, gdy obok mignął wysoki, ozdobiony smoczą głową dziób statku. A potem metalowy taran "Dreadnaugh-ta" wyrznął w sam środek koła łopatkowego i wbił się głęboko w kadłub nieprzyjaciela. Wstrząs zderzenia zbił wszystkich z nóg, a "Dreadnaught" zatrzymał się ze zgrzytem.

- Cała wstecz, musimy się uwolnić! - rozkazał Jason obracając z całych sił koło sterowe.

Na opancerzony pokład "Dreadnaughta" spadł albo został zrzucony z okrętu Trozelligoj jakiś nieprzyjacielski żołnierz. Hertug, drąc się na całe gardło, wygramolił się przez okienko mostku, ciałem mieczem w kark oszołomionego mężczyznę i kopniakiem strącił jego ciało do wody. Z bocznokołowca dobiegły krzyki, łomoty i przeraźliwy świst uciekającej pary. Hertug jednym skokiem znalazł się z powrotem na mostku, gdy w jego stronę poleciały pierwsze bełty kuszy.

Śruba zaczęła pracować na pełnych obrotach wstecz, ale "Dreadnaught" zawirował tylko i nie ruszył z miejsca. Jason zaklął pod nosem i obrócił koło sterowe do oporu w przeciwną stronę. Okręt zakołysał się i uwolniwszy się, ruszył płynnie do tyłu. Woda z bulgotem chlusnęła do wnętrza bocznokołowca, który natychmiast zaczął się przechylać na burtę i coraz głębiej osuwać w wodę.

- Widziałeś, jak zgładziłem łotra, który ośmielił się nas zaatakować? - zapytał Hartug z niezwykłą satysfakcją w głosie.

- Potężny jest twój miecz - odparł Jason. - A ty, czy widziałeś, jaką dziurę wybiłem w ich łajbie? Aaa! Poszedł ich kocioł - oznajmił słysząc przeciągły huk i widząc chmurę pary oraz dymu wydobywającą się z tonącego okrętu przeciwnika. Bocznokołowiec przełamał się na pół i szybko zniknął pod wodą.

Gdy Jason wykonał zwrot, kierując pancernik w stronę swego miejsca w szyku, na powierzchni nie było już nawet śladu bocznokołowca, a brama morska znowu została zamknięta.

- Rozjechać rozbitków! - rozkazał Hertug, ale Jason nie zwrócił uwagi na jego słowa.

- Na dole jest woda - oznajmił człowiek, wysuwając głowę z luku. - Siega nam do kostek.

- Od uderzenia puściło kilka szwów - odparł Jason. - Czego się spodziewaliście? Dlatego właśnie założyłem pompy i wzięliśmy na pokład dziesięciu dodatkowych niewolników. Zapędź ich do roboty.

- To dzień zwycięstwa - powiedział uszczęśliwiony Hertug spoglądając na krew spływającą po mieczu. - Jakże te świny muszą żałować, że zaatakowali naszą twierdzę!

- Pożalają tego jeszcze bardziej, nim się dzień skończy. Przystępujemy do następnej fazy. Jesteś pewien, że twoi ludzie wiedzą, co robić?

- Powtarzałem im wiele razy i dałem wydrukowane kartki z rozkazami, które przygotowałeś.

Wszyscy czekają na sygnał. Kiedy będę mógł go dać?

- Wkrótce. Zostań na mostku i trzymaj rękę na dźwigni syreny, a ja oddam jeszcze kilka strzałów.

Jason przedostał się na barkę i wysłał parę pocisków zapalających, by podtrzymać ogień na dachu. Następnie posłał jeszcze z pół tony szrapneli - wypeł-

nionych kamieniami wielkości pięści skórzanych worków, które pękały w chwili strzału i spędził nimi z dachu żołnierzy, by wyjść z ukrycia w celu gaszenia ognia. Potem znowu ostrzeliwał mur ciężkimi kamieniami krusząc go jeszcze bardziej i przesuwając celownik tak długo, aż wreszcie pociski sięgnęły bramy morskiej. Wystarczyły cztery gązdy, by rozbić w szcząpki ciężkie belki wrót i zmienić je w bezkształtną ruinę. Droga stała otworem. Jason machnął ręką i wskoczył do łodzi. Syrena ryknęła trzykrotnie i oczekujące jednostki Perssonoj ruszyły do ataku.

Jason nie łudził się, że którykolwiek z Perssonoj byłby w stanie wykonać z sensem powierzone mu zadanie i w związku z tym musiał nie tylko dowodzić atakiem, ale również był celowniczym, ładowniczym, dowódcą statku, i tak dalej, aż wreszcie zaczęły go boleć nogi od ciągłego biegania tam i z powrotem. Wdrapywanie się na mostek "Dreadnaughta" było połączone z coraz większym wysiłkiem. Gdy szturmujący wdrą się już do twierdzy, będzie mógł wypocząć i pozwolić im zakończyć walkę w swój zwykły, krwawy i skuteczny sposób. Zrobił już, co do niego należało. Osłabił obrońców i zadał im poważne straty. Teraz jego wojska przystępowały do walki wręcz, torując sobie drogę do całkowitego zwycięstwa.

Mniejsze poruszane żaglami i wiosłami jednostki przebyły już połowę dystansu do

pogruchotanych murów, ale poruszany parową maszyną pancernik szybko zrównał się z nimi.

Nacierający rozstąpili się i pędzący pełną parą okręt przemknął między nimi, celując prosto w smętne resztki wrót. Opancerzony dziób uderzył w nie, wyrwał ze zgrzytem z zawiasów

i wdarł się do wewnętrznego basenu. Mimo że maszyny pracowały całą wstecz, wciąż posuwali się do przodu, aż wreszcie uderzyli w nabrzeże. Okręt zadygotał i stanął z dziobem wbitym

głęboko w pirs. W ślad za nim wdarli się z wrzaskiem Perssonoj, na ich spotkanie runęli broniący się Trozelligoj i natychmiast rozpoczęła się śmiertelna walka. Straż przyboczna Hertuga znajdowała się w pierwszej fali atakujących i oczekiwała, by osłaniać swego wodza, który ruszył do szturm.

Jason zdjął z wyściełanego uchwyty podręczną manierkę z domowym destylatem i pociągnął

ożywczy łyceczek. Następną porcję nalał do pucharka, by cieszyć się nią nieco dłużej i obserwował

bitwę z wysokości mostka kapitańskiego.

Od pierwszej chwili wynik walki nie podlegał najmniejszej wątpliwości. Obrońcy byli poturbowani, poparzeni, mniej liczni i z poważnie nadszarpniętym morale. W obliczu Perssonoj wdzierających się przez porozbijane mury i morską bramę mogli jedynie cofać się, walcząc. Podwórzec szybko został oczyszczony i walka przeniosła się do wnętrza donżonu. Jason zaś musiał wystąpić teraz w nowej roli.

Wysączył swój puchar, na lewe ramię założył niewielką tarczę, a w prawą chwycił morgensztern, który już raz okazał się tak użyteczny. Był pewien, że Ijale jest gdzieś tam i musi ją odnaleźć, zanim nie zdarzy się jakieś nieszczęście. Czuł się za nią odpowiedzialny - gdyby się nie zjawił, do tej pory wędrowałaby spokojnie po wybrzeżu wraz z gromadą niewolników. Tak czy owak, to on był przyczyną wszystkich jej obecnych kłopotów i musiał teraz zadbać o jej bezpieczeństwo. Pospieszył na brzeg.

Ogień na wilgotnej strzecie zgasł nie wyrządzając większych szkód kamiennemu budynkowi, ale korytarze pełne były dymu. W pierwszej sali niepodzielnie panowała śmierć - ciała, krew i kilku rannych. Jason kopniakiem otworzył drzwi i wszedł w głąb donżonu. Nieliczni obrońcy toczyli swą ostatnią walkę w głównej sali jadalnej, ale DinAlt ominął ją i wdarł się do kuchni. Znajdowali się tu tylko niewolnicy i główny kucharz, który zaatakował go tasakiem. Jason wytrącił mu go z ręki ciosem morgenszterna i zagroził, że umrze w mękach, jeżeli nie powie, gdzie znajduje się Ijale. Kucharz zeznawał chętnie, podtrzymując swą krwawiącą rękę, ale nic nie wiedział.

Niewolnicy tylko bełkotali coś beznadziejnie, drżąc ze strachu i Jason popędził dalej.

Straszliwy zgłęb głośm i ciągły brzęk broni zwróciły jego uwagę. Podążył w tym kierunku i znalazł się w obliczu ostatniej większej potyczki toczony najwyraźniej w głównej komnacie, obwieszony flagami i proporcami. Teraz sala wyglądała jak jatka, w której walczące grupy przewalały się tam i z powrotem, ślizgając się we krwi i potykając o ciała zabitych i rannych.

Grad bełtów wystrzelonych przez kuszników stojących w drugim końcu komnaty rozdzielił walczących i zmusił atakujące oddziały do osłonięcia się tarczami.

Przez całą szerokość sali stał mur opancerzonych i osłoniętych tarczami wojowników, a za ich plecami widniała niewielka grupka bogato ubranych mężczyzn - niewątpliwie szlachetna rodzina Trozelligoj we własnych osobach. Stali na podwyższeniu, gdzie zazwyczaj zasiadali podczas uczt i mogli obserwować walkę

toczącą się poniżej. Jeden z nich spostrzegł wkraczającego do sali Jasona i wskazał go pozostałym końcem swego miecza. Wszyscy spojrzeli w tę stronę i grupka na podwyższeniu się rozstała.

DinAlt zobaczył, że pomiędzy nimi stoi Ijale, zakuta w łańcuchy i skrepowana okrutnie, jeden zaś z Trozelligoj trzyma miecz przytknięty do jej piersi. Wskazali mu ją gestami i bez trudu odgadł znaczenie tej pantomimy - nie waży się nas atakować, gdyż w przeciwnym razie ona zginie. Nie mieli pojęcia, czy dziewczyna w ogóle coś dla niego znaczy, ale musieli podejrzewać, że jest do niej na swój sposób przywiązany. Wisiało nad nimi widmo rzezi i warto było wypróbować każde posunięcie.

Jasona ogarnęła dzika wściekłość, która sprawiła, że rzucił się do przodu. Zdawał sobie sprawę, że nie ma już miejsca na kompromisy - zwycięstwo było w zasięgu ręki i każda próba pertraktacji z Hertugiem czy przypartymi do muru Trozelligoj musi spowodować śmierć Ijale. Musi do niej dotrzeć.

Roztrącił znajdujących się przed nim żołnierzy Perssonoj i rzucił się na mur opancerzonych strażników. Strzała chybiła go o włos, ale nie zwrócił na nią uwagi i zwał się z Trozelligoj. Jego gwałtowny atak, pomnożony przez wagę jego rozpedzonego ciała sprawił, że szeregi wojowników pękły. Kula morgenszterna świsnęła w szczelinę między dwiema tarczami i uderzyła prosto w osłoniętą hełmem głowę. Wychwycił na tarczę spadający miecz i całym ciężarem ciała uderzył w atakującego go przeciwnika, przewracając go na ziemię. Gdy tylko przedarł się przez broniący dostępu szereg żołnierzy, nie włączył się do walki, ale rzucił się naprzód. Trozelligoj zaś usiłował zewrzeć szyk, by stawić czoła nieprzyjaciółom, którzy starali się wykorzystać samobójczy atak Jasona.

Na podwyższeniu znajdował się jeszcze jeden, nie zauważony poprzednio przez Jasona członek

grupy

- dostrzegł go dopiero teraz, w czasie ataku. To był Mikah, zdrajca, tutaj! Stał obok Ijale, którą za chwilę zamordują, bo Jason nie zdoła dotrzeć do niej w porę. Miecz już opadł.

Jason spostrzegł Mikaha w chwili, gdy zrobił on krok do przodu, schwycił zamierzającego się mieczem Trozelligo za ramiona i cisnął go na ziemię. W tym samym momencie Jasona zaatakowano ze wszystkich stron. Siły były zbyt nierówne - pięciu, sześciu na jednego. Atakujący mieli pancerze i stawiali wszystko na jedną kartę. Ale nie musiał pokonać ich wszystkich, lecz tylko powstrzymać jeszcze przez kilka sekund, do chwili, gdy dotrą doń jego ludzie. Byli tuż, tuż za nim, słyszał ich zwycięski ryk, gdy ostatecznie pękł mur obrońców. Jason odbił tarczą opadający miecz, odrzucił kopniakiem drugiego napastnika, trzeciemu zadał cios morgenszternem.

Ale było ich zbyt wielu. Wszyscy nacierali tylko na niego. Odrzucił na bok dwóch, potem odwrócił się, by stawić czoło tym, którzy zachodzili go od tyłu. Tam

- starzec, wódz Trozelligoj, wściekłość w spojrzeniu... długi miecz w dłoni... szykuje się do ciosu.
- Zgiń, demonie! Zgiń, niszczycielu! - wyskrzecztał starzec i pchnął.

Długie, zimne ostrze ugodziło Jasona tuż ponad pasem, wbiło się przeszywającym bólem w jego ciało i przebiło go, wychodząc plecami.

Rozdział 16

Ból nie był porażający. Nieznośna była natomiast myśl o nieuchronnej śmierci. Starzec zabił go. Wszystko było skończone. Jason nieomal bez gniewu uniosł tarczę i odepchnął go tak, że potoczył się do tyłu. Miecz pozostał - wąska, lśniąca śmierć tkwiąca w jego ciele.

- Zostaw go - powiedział Jason ochrypłym głosem do Ijale, która uniosła swe zakute w łańcuchy ręce, by wyciągnąć miecz. Jej oczy były szklane z przerażenia.

Bitwa była skończona i przez mgłę bólu Jason widział stojącego przed nim Hertuga, z którego twarzy również dało się wyczytać przekonanie o nieuchronności śmierci. - Szmaty - rzekł Jason jak mógł najwyraźniej. - Przygotujcie szmaty, a kiedy wyciągniecie miecz, przyciśnijcie je mocno do rany.

Mocne dłonie żołnierzy podniosły Jasona. Szmaty były już przyszykowane. Hertug stanął przed Jasonem, który tylko skinął głową i zamknął oczy. Ponownie przeszył go ból. Opuszczono go ostrożnie na dywan, rozcięto ubranie, upływ krwi zatamowano przygotowanymi bandażami. Kiedy tracił przytomność, wdzięczny, że przyniesie mu to wyzwolenie od męki, zastanawiał się, dlaczego

tak się przejmuję. Po co przedłużać cierpienia. Tu może tylko umrzeć, oddalony o lata świetlne od środków antyseptycznych i antybiotyków. Może tylko umrzeć...

Jason powoli wrócił do przytomności tylko na chwilę i zobaczył Ijale kłęczącą nad nim z igłą oraz nitką i zszywającą brzegi rany. Znowu ogarnął go mrok, a gdy ponownie otworzył oczy, był w swojej sypialni i widział promienie słoneczne padające przez rozbite okna. Coś przysłoniło światło i poczuł, że najpierw jego czoło i policzki, potem wargi zostały zwilżone chłodną wodą, dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak zaschło mu w gardle i jak bardzo go boli.

- Wody... - wychrypiał i zaskoczyło go, jak słabo brzmi jego głos.

- Powiedziano mi, że nie możesz pić, kiedy jesteś ranny w to miejsce - odparła Ijale wskazując na jego ciało. Jej wargi były wykrzywione w nienaturalnym uśmiechu.

- Nie sądzę, by miało to jakieś znaczenie -- odparł Świadomość nieuchronnej śmierci dolegała mu o wiele bardziej niż rana. Obok Ijale zjawił się Hertug, na jego twarzy malował się grymas będący lustrzanym odbiciem grymasu Ijale. Podał Jasonowi małe pudełko.

- *Sciulojto* zdobyli, korzenie *będe*, które osłabiają ból Musisz je żuć, ale nie za dużo. To bardzo niebezpieczne, jeżeli używa się za dużo *hcde*.

Ale nie dla mnie, pomyślał Jason, zmuszając się do żucia suchych, zakurzonych korzeni. To środek pr/e-

ciwbólowy, narkotyk, którego zażywanie może stać się nałogiem... Mam bardzo mało czasu, żeby wpaść w nałóg.

Czymkolwiek było to lekarstwo, działało doskonale i Jason był za to wdzięczny. Ból zniknął, podobnie jak pragnienie i choć lekko kręciło mu się w głowie, nie czuł się już tak wyczerpany. - Jak zakończyła się bitwa? - zapytał Hertuga, który stał z rękami złożonymi na piersi. Minę miał ponurą.

- Zwycięstwo jest nasze. Ci nieliczni Trozelligoj, którzy przeżyli, są naszymi niewolnikami, ich klan przestał istnieć. Trochę żołnierzy uciekło, ale oni się już nie liczą. Ich twierdza należy do nas, a w niej najtajniejsze komnaty, gdzie budowali swoje maszyny. Gdybyś mógł je zobaczyć... - Umysłowił sobie, że Jason nie będzie mógł ich ujrzeć i w ogóle, niewiele już zobaczy i znowu zmarszczył brwi.

- Uszy do góry - pocieszał go Jason. - Zwyciężyłeś jednych, zwyciężysz ich wszystkich. Nie ma już drugiej równie silnej bandy, która mogłaby ci się przeciwstawić. Działaj bez przerwy, zanim *zdażą* się połapać. *Zabierz* się najpierw do tych najbardziej wrogo nastawionych. Jeżeli to możliwe, postaraj się nie zabijać wszystkich ich techników - będziesz potrzebował kogoś, kto objaśni ci wszystkie ich tajemnice. Działaj szybko i nim nastanie zima, Apsala będzie twoja.

- Urządę ci najwspanialszy pogrzeb, jaki widziała Apsala - wykrzyknął Hertug.

- Jestem tego pewien. Nie szczędź wydatków.

- Będą uczyły i modły, a potem twe szczątki w elektrycznym piecu zostaną obrócone w popiół na większą chwałę boga Elektro.

- Będę niezwykle szczęśliwy z tego powodu.

- Następnie twe popioły zostaną wywiezione w morze na czele wspaniałej procesji pogrzebowej. Będzie płynął okręt za okrętem, a wszystkie w pełnym uzbrojeniu, dzięki czemu w powrotnej drodze będziemy mogli zaatakować Mastreguloj i pokonać ich przez zaskoczenie.

- To już bardziej do ciebie podobne, Hertugu. Przez chwilę myślałem, że stajesz się zbyt sentymentalny.

Uwagę Jasona przyciągnął łomot przy drzwiach. Powoli odwrócił głowę i zobaczył grupę niewolników wciągających do pokoju grubo izolowane kable. Inni wnieśli skrzynki z wyposażeniem, a na samym końcu zjawił się trzaskając z bata nadzorca niewolników, pędząc przed sobą potykającego się, zakutego w łańcuchy Mikaha. Kopniakiem posłał Mikaha w kąt pokoju.

- Miałem zamiar zabić zdrajcę - powiedział Hertug - ale pomyślałem sobie, że sprawi ci przyjemność potorturować go aż do śmierci. Dobrze się zabawisz. Piec łukowy zaraz się nagrzej i będziesz mógł smażyć go po kawałku, a wreszcie pošlesz go jako dar dla boga Elektro, żeby ułatwić sobie dojście do nieba.

- To bardzo miłe z twojej strony - odparł Jason spoglądając na dość zdemolowaną figurę Mikaha.

- Przykucnie go do muru i opuśćcie mnie, abym mógł wymyślić dla niego najniezwyklejsze i najstraszniejsze tortury.

- Zrobię jak zechcesz. Ale musisz zaprosić mnie na ceremonię. Zawsze interesują mnie nowe koncepcje w sztuce torturowania.

- Nie wątpię, Hertugu.

Wszyscy wyszli z komnaty i Jason spostrzegł, że Ijale z nożem kuchennym w ręku skrada się w stronę Mikaha.

- Nie rób tego - rzekł Jason. - To nic nie da.

Posłusznie odłożyła nóż i wzięła gąbkę, by wytrzeć Jasonowi twarz. Mikah uniósł głowę i spojrzał na niego. Twarz miał posiniaczoną, jedno oko całkowicie zakryte opuchlizną.

- Czy mógłbyś mi powiedzieć czego u diabła chciałeś dokonać zdradzając nas i próbując wydać mnie Trozelligoj?

- Nawet na torturach usta moje będą na wieki zamknięte.

- Nie rób z siebie większego idioty niż zwykle. Nikt cię nie ma zamiaru torturować. Po prostu zastanawiam się, co ci strzeliło do łba, co skłoniło cię do wycięcia takiego numeru.

- Zrobiłem to, co uważałem, że będzie najlepszym rozwiązaniem - odparł Mikah gramoląc się z podłogi.

- Zawsze robisz to, co sądzisz, że jest; najlepszym rozwiązaniem, tyle tylko, że zazwyczaj skazisz źle. Czy nie podobał ci się sposób, w jaki cię traktowałem?

Nie kierowały mną motywacje osobiste. Zrobiłem to dla dobra cierpiącej ludzkości

- Miałem wrażenie, że zrobiłeś to, by dostać nagrodę i nową pracę ora/ dlatego, że byłeś na mnie wściekły - znając słaby punkt Mikaha, Jason starał się go poirytować.

- Nigdy! Jeżeli chcesz wiedzieć... Uczyliem to, by zapobiec wojnie...

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Mikah zmarszczył brwi, starając się spoglądać groźnie mimo podbitego oka. Jego łańcuchy

zazgrzytały, gdy oskarżycielskim gestem wskazał Jasona.

- Pewnego dnia, pogrążony w opilstwie, wyznałeś mi swą zbrodnię i powiedziałeś o swych planach rozpętania śmiertelnej wojny między tymi niewinnymi ludźmi, pogrążenia ich w rzezi i oddania w jarzmo okrutnego despotyzmu. Wtedy pojąłem, co muszę uczynić. Trzeba cię było powstrzymać. Nakazałem sobie milczenie, nie ośmielając się wypowiedzieć choć jednego słowa, by nie zdradzić swych myśli, albowiem znałem sposób.

Skontaktował się kiedyś ze mną człowiek wynajęty przez Trozelligoj, klan uczciwych pracowników i mechaników, który, jak mnie zapewnił, pragnie odkupić cię od Perssonoj dając ci dobre uposażenie. Wtedy mu nie odpowiedziałem, każdy bowiem plan zmierzający do uwolnienia nas, byłby połączony z przemocą i ofiarami ludzkimi. Nie mogłem się na to zdecydować, choć odmowa wiązała się z moim dalszym przebywaniem w łańcuchach. Kiedy jednak poznałem twoje krwiożercze intencje, rozważyłem wszystko w moim sumieniu i zobaczyłem, co mam uczynić. Zabiorą nas wszystkich stąd do Trozelligoj, którzy obiecali, że nie stanie ci się żadna krzywda, choć będziesz musiał być traktowany jako więzień. Groźba wojny zostanie odwrócona.

- Ty naiwny durniu - oznajmił Jason tonem pozbawionym jakichkolwiek emocji. Mikah zaczerwienił się.

- Nie dbam o to, co o mnie myślisz. Gdyby była sposobność, postąpiłbym tak ponownie.

- Nawet wiedząc, że banda, której nas sprzedałeś

wcale nie jest lepsza od tej tutaj? Czy w czasie walki nie musiałeś powstrzymać jednego z nich przed zabiciem Ijale? Sądzę, że powinienem ci za to podziękować - choć to ty wpakowałeś ją w tę kabałę.

- Nie chcę twoich podziękowań. To pod wpływem chwilowych namiętności wisiła nad nią groźba. Nie mogę mieć im tego za złe...

- To nie ma już żadnego znaczenia. Wojna się skończyła - przegrali i moje plany odnośnie rewolucji przemysłowej zostaną bez trudu zrealizowane nawet bez mojego osobistego udziału. Jediną rzeczą, której zdołałeś dokonać jest to, że mnie zabiłeś - a ten drobiazg jest mi niezmiernie trudno ci wybaczyć.

- Cóż za szaleństwo...?

- Szaleństwo, ty ograniczony durniu! - Jason uniósł się na łokciu, ale natychmiast opadł na poduszki, czując, jak strzała bólu przebiła się przez znieczulające działanie lekarstwa. - Czy sądzisz, że leżę sobie, bo jestem zmęczony? Twoje porwanie i intrygi wciągnęły mnie w tę walkę głębiej, niż zamierzałem i zaprowadziły prosto na długi, ostry i bardzo septyczny miecz. Przebito mnie nim jak świnie.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- No to jesteś cholernie głupi. Zostałem przebity na wylot. Moja wiedza anatomiczna nie jest tak głęboka, jak mogłaby być, ale jak sądzę, żaden niezbędny do egzystencji organ nie został naruszony. Gdyby została uszkodzona wątroba albo jakieś większe naczynie krwionośne, nie mówiłbym do ciebie w tej chwili. Ale nie widzę możliwości zrobienia dziury w brzuchu i nieprzecięcia przy okazji jednej czy dwu pętli jelit, przebicia otrzewnej i wpuszczenia do środka kupy sympatycznych, głodnych bakterii. Gdybyś przypadkiem nie czytał ostatnio książki na temat pierwszej pomocy, to mogę ci powiedzieć, że następnym etapem jest infekcja zwana zapaleniem otrzewnej, która biorąc pod uwagę poziom nauk medycznych na tej planecie, w stu procentach kończy się tu zgonem pacjenta.

Informacja ta sprawiła, że Mikah zamilkł wreszcie, niezbyt jednak podtrzymała Jasona na duchu, zamknął więc oczy, by nieco odpocząć. Gdy je otworzył ponownie, było już ciemno, drzemał więc, budząc się i znów zasypiając aż o świtu, kiedy to musiał obudzić Ijale i polecieć jej, by przyniosła mu misę z korzeniami *będę*. Otarła mu czoło i zauważył wyraz jej twarzy.

- A więc to nie w pokoju jest tak gorąco - rzekł. - To ja.

- To z mojego powodu zostałeś ranny - jęknęła Ijale i zaczęła płakać.

- Bzdura! - odparł Jason. - Obojętne, w jaki sposób umrę, to na pewno będzie samobójstwo. Usta-
liłem to już dawno temu. Na planecie, na której się urodziłem, były wyłącznie słoneczne dni,
pokój bez końca i długie, długie życie. Postanowiłem wyjechać stamtąd, wybierając życie krótkie
i pełne wrażeń, nie długie i nudne. A teraz pozuję sobie trochę ten korzeń, bo chciałbym

zapomnieć o moich kłopotach.

Narkotyk był silny, a infekcja rozległa. Jason trwał, to zanurzając się w czerwonej mgle *będę*, to wypływając na powierzchnię i widząc, że nic się nie zmieniło. Wciąż była przy nim dogłębnie go Ijale, a w kącie siedział zamyślony Mikah zakuty w łańcuchy. Zastanawiał się, co też stanie się z nimi po jego

śmierci i myśl ta nie dawała mu spokoju.

Właśnie podczas jednego z takich czarnych, ponurych okresów świadomości usłyszał dźwięk - narastający łoskot, który rozdarł powietrze na zewnątrz, za ścianami budynku i powoli uciekł w oddali. Uniósł się na łokciach i nie zwracając uwagi na ból, zawołał.

- Ijale, gdzie jesteś? Chodź tu zaraz!

Przybiegła z sąsiedniego pokoju. Do jego świadomości docierały okrzyki rozlegające się na zewnątrz, głosy dobiegające z kanału, podwórca. Czy rzeczywiście to słyszał? A może była to halucynacja pod wpływem gorączki? Ijale próbowała położyć go z powrotem, ale odtrącił ją i zawołał do Mikaha.

- Czy słyszałeś coś przed chwilą? Czy słyszałeś?

- Spałem... Zdawało mi się, że słyszę...

- Co?

- Ryk. Obudził mnie. To brzmiało jak..., ale to niemożliwe...

- Niemożliwe? Dlaczego niemożliwe? To był silnik raketowy, prawda? Tu, na tej prymitywnej planecie.

- Ale tu nie ma żadnych rakiet.

- Teraz są, idioto. Jak myślisz, po co wybudowałem mój modlitewny młynek radiowy? -

Zmarszczył brwi, tknięty nagłą myślą. Próbował pobudzić swój zamroczony, ogarnięty gorączką mózg do działania.

- Ijale - zawołał, wyciągając spod poduszki ukrytą tam sakiewkę. - Weź te pieniądze, wszystkie, zanieś je do świątyni i daj kapłanom. Nie pozwól, by cię ktokolwiek zatrzymał, ponieważ jest to najważniejsza rzecz, jaką robisz w swoim życiu. Najprawdopodobniej przestali obracać młynek i wszyscy wyszli na zewnątrz zobaczyć, co się dzieje. Rakieta nigdy nie odnajdzie właściwego miejsca bez pomocy sygnału naprowadzającego, a jeżeli wyląduje gdziekolwiek indziej w Appsali, mogą być kłopoty. Powiedz im, żeby obracali młynek bez chwili przerwy, zmierza bowiem tu statek bogów i potrzeba jak najwięcej modlitw.

Wybiegła, a Jason opadł na poduszki, oddychając szybko. Czy był to statek kosmiczny, który odebrał jego SOS? Czy będą mieli lekarza albo aparaturę medyczną na pokładzie, czy zdołają wyleczyć go z tej zaawansowanej infekcji? Na pewno każdy statek posiada jakieś środki lecznicze. Po raz pierwszy od chwili, w której został zraniony, pozwolił sobie na uwierzenie, że jest jeszcze dla niego jakaś szansa przeżycia i poczuł jak spada zeń przygnębienie. Zdołał nawet uśmiechnąć się do Mikaha.

- Mam przecucie, Mikah, że zjedliśmy nasze ostatnie *kreno*. Jak sądzisz, zdołasz pogodzić się z tą myślą?

- Będę zmuszony cię wydać - odparł Mikah poważnym tonem. - Twe zbrodnie są zbyt poważne, by można je było ukryć. Nie mogę postąpić inaczej. Będę musiał poprosić kapitana, by powiadomił policję...

- Jakim cudem człowiek o twoim sposobie myślenia zdołał przeżyć tak długo? - zapytał Jason lodowato. - Cóż może mnie powstrzymać przed wydaniem polecenia, by natychmiast cię zabito i pochowano, żebyś nie mógł wnieść oskarżenia?

- Nie sądzę, że mógłbyś to uczynić. Nie jesteś pozbawiony pewnego poczucia honoru.

- Pewnego poczucia honoru! Słowo uznania z twoich ust! Czyż to możliwe, że istnieje jakaś maleńka szczelinka w granitowej opoce twojego umysłu?

Zanim Mikah zdołał odpowiedzieć, ponownie rozległ się ryk silników raketowych. Opadał niżej i nie oddalał się, jak poprzednim razem, ale stawał się coraz głośniejszy, ogłuszający, a przez tarczę słoneczną przesunął się cień.

- Rakiety chemiczne! - Jason starał się przekrzyknąć hałas. Szalupa albo ładownik z kosmolotu... musi kierować się na sygnał mojej iskrówki... to nie może być zbieg okoliczności. - W tej samej

chwili do komnaty wbiegła Ijale i rzuciła się na podłogę koło łóżka Jasona.

- Kapłani uciekli - wyjęczała - wszyscy się ukryli. Wielki, dyszący ogniem stwór zniża się, by zniszczyć nas wszystkich! - Nagle, gdy ryk na zewnętrznym dziedzińcu ucichł, okazało się, że krzyczy.

- Wylądował szczęśliwie - odetchnął Jason, a następnie wskazał swe materiały piśmienne leżące na stoliku. - Papier i ołówek, Ijale. Podaj mi je. Napiszę kilka słów i chciałbym, żebyś je zaniosiła na statek, który właśnie wylądował.

Cofnęła się gwałtownie, drżąc cała.

- Nie bój się, Ijale, to jedynie statek, podobny do tego, którym płynęłaś. Tylko, że ten żegluje w powietrzu, a nie po wodzie. Są w nim ludzie, którzy nie zrobią ci nic złego. Idź i zanieś im ten list, a potem przyprowadź ich tutaj.

- Boję się...

- Bez obaw, nie stanie się nic złego. Ludzie ze statku pomogą mi i sądzę, że mogą mnie wyleczyć.

- Więc pójdę - powiedziała po prostu. Wstała i wciąż dygocąc, walcząc z lękiem, wyszła.

Jason spojrzał w ślad za nią. - Są takie chwile,

Mikah - rzekł - kiedy nie patrzę na ciebie, w których jestem dumny z ludzkiej rasy.

Minuty ciągnęły się nieznośnie i Jason spostrzegł, że myśląc wciąż o tym, co może dziać się na dziedzińcu, szarpie koce, zwijając je palcami. Drgnął gwałtownie, słysząc łoskot metalu, po którym nastąpiła raptowna seria eksplozji. Czyżby ci idioci zaatakowali statek? Wił się, próbując wstać z łóżka i przeklinał swoją słabość. Mógł jedynie leżeć i czekać, podczas gdy jego los leżał w czyichś rękach.

Rozległy się nowe eksplozje - tym razem wewnątrz budynku. Towarzyszyły im jakieś okrzyki i głośny wrzask. W korytarzu rozległ się odgłos szybkich kroków i do komnaty wbiegła Ijale, a jej śladem, z dymiącym pistoletem w dłoni weszła Meta.

- To kawał drogi z Pyrrusa - rzekł Jason, patrząc na jej zatroskaną, piękną twarzyczkę, tak dobrze znane kobiece kształty opięte twardym, metalowym materiałem kombinezonu. - Ale nie jestem w stanie wyobrazić sobie, by czykolwiek widok mógł mi sprawić większą radość, niż twój...

- Jesteś ranny! - podbiegła do niego i klękła przy łóżku tak, by nie stracić z pola widzenia otwartych drzwi. Jej oczy rozszerzyły się gwałtownie, gdy ujęła dłoń Jasona i poczuła jak gorąca i sucha jest jego skóra. Nic nie powiedziała, jedynie odczepiła od paska medpakiet i przycisnęła mu do przedramienia. Wysunął się czujnik analizatora, zatrzeszczał zaaferowany, zrobił mu jeden zastrzyk, a potem jeszcze trzy, raz za razem. Pomruczał jeszcze przez chwilę, po czym szybko zaszczepił go i wreszcie zapaliło się na nim światełko oznaczające "koniec leczenia".

Twarz Mety znajdowała się tuż przy jego twarzy. Pochyliła się jeszcze trochę i pocałowała go w popękane wargi. Złoty kosmyk włosów opadł z jej czoła, a Meta znowu pocałowała Jasona. Oczy miała wciąż otwarte i nie odrywając się od warg Jasona rozwaliała wystrzałem narożnik framugi drzwi i odpędziła żołnierzy w głąb korytarza.

- Nie zastrzelił ich - powiedział Jason, gdy wreszcie odsunęła się niechętnie. - Podobno to przyjaciele.

- Ale nie moi. Kiedy tylko wyszłam z ładownika, ostrzelali mnie z jakiejś prymitywnej broni miotającej, ale zajęłam się nimi. Strzelali nawet do dziewczyny, która przyniosła twój list i w końcu musiałam rozwalić jedną ze ścian. Czy lepiej się już czujesz?

- Ani lepiej, ani gorzej. Po prostu kręci mi się w głowie od tych zastrzyków. Ale będzie lepiej, jeżeli pójdziemy na statek. Zobaczę, czy mogę chodzić.

Przełożył nogi ponad boczną krawędzią łóżka i natychmiast runął twarzą na podłogę. Meta ponownie wciągnęła go na łóżko i troskliwie otuliła kocami.

- Musisz leżeć, dopóki nie wydobrzejesz. Jesteś jeszcze zbyt chory, by cię stąd zabierać.

- Będę o wiele bardziej chory, jeżeli tu zostanę. Gdy tylko Hertug - to facet, który rządzi tą całością, zorientuje się, że mogę go chcieć opuścić, zrobi wszystko, żeby mnie zatrzymać - bez względu na to, ilu ludzi przy tym utraci. Musimy się stąd wynieść, dopóki w jego wrednym mózdzku nie powstanie takie podejrzenie.

Meta rozglądała się po pokoju. Jej wzrok prześlizgnął się po skulonej i wpatrzonej w nią Ijale, jakby była

ona częścią umeblowania i wreszcie zatrzymał się na Mikahu.

- Czy ten typ przykuty do ściany jest niebezpieczny? - zapytała.

- Czasami. Musisz na niego dobrze uważać. To on właśnie porwał mnie z Pyrrusa. Dłoń Mety wśliznęła się do pojemnika przywieszzonego u pasa, wydobyla dodatkowy pistolet i włożyła go do ręki Jasona. Weź to. Pewnie zechcesz sam go zabić.

- Widzisz, Mikah - rzekł Jason czując znajomy ciężar broni. -Wszyscy chcą, żebym cię zabił. Powiedz, co takiego siedzi w tobie, że wszyscy tak cię nienawidzą?

- Nie obawiam się śmierci - odparł Mikah unosząc głowę i prostując ramiona. Mimo to jednak, jego rzadka siwa broda i łańcuchy, w które był zakuty, sprawiły, że nie wyglądał zbyt imponująco.

- A powinieneś - Jason opuścił lufę. - Zdziwiasz się, jakim cudem, przy twej namiętności do robienia wszystkiego na opak, zdołałeś przeżyć tak długo.

- Na razie mam dość zabijania - powiedział odwracając się do Mety. -Tutaj wszyscy mają świra na tym punkcie. A poza tym, będzie nam potrzebny, żeby pomóc znieść mnie na dół. Nie sądzę, bym mógł dokonać tego o własnych siłach, a w jego osobie mamy najlepszego noszowego, jakiego moglibyśmy tu znaleźć.

Meta odwróciła się w stronę Mikaha. Pistolet wyskoczył z kabury prosto do jej dłoni. Strzeliła. Mikah szarpnął się do tyłu, osłaniając oczy ramieniem i zamarł, uświadamiając sobie ze zdziwieniem, że jeszcze żyje. Meta uwolniła go, odstrzelując łańcuchy, którymi był przykuty. Podeszła do niego z niewymuszonym wdziękiem skradającej się tygrysy i wbiła dymiącą wciąż lufę pistoletu w jego pępek.

- Jason nie chce, żebym cię zabiła - wymruczała i wcisnęła lufę nieco głębiej - aleja nie zawsze robię to, o co mnie prosi. Jeżeli chcesz pożyć jeszcze trochę, musisz robić, co ja ci rozkażę. Zdejmij blat ze stołu - posłuży jako nosze. Pomożesz znieść Jasona do rakiety. Jeżeli spowodujesz choć cię komplikacji, zginiesz. Rozumiesz?

Mikah otworzył usta, by zaprotestować lub wygłosić jedno ze swych kazań, ale coś w lodowatym głosie dziewczyny powstrzymało go. Skinął jedynie głową i odwrócił się w stronę stołu.

Ijale siedziała teraz w kucki tuż przy łóżku Jasona i z całej siły trzymała go za rękę. Nie rozumiała ani słowa z rozmowy prowadzonej w nieznanym jej języku.

- Co się dzieje, Jasonie? - zapytała błagalnie. - Co to za błyszcząca rzecz, która ugryzła cię w ramię. Ta nowa cię pocałowała, musi więc być twoją kobietą, ale jesteś przecież silny i możesz mieć dwie kobiety. Nie opuszczaj mnie.

- Co to za dziewczyna? - spytał Meta zimno. Jej automatyczna kabura zamruczała i pistolet zaczął wysuwać się i chować.

- To jedna z miejscowych, niewolnica, która mi pomagała - odparł Jason ze swobodą, której wcale nie czuł. - Jeżeli ją tu zostawimy, tamci prawdopodobnie ją zabiją. Polecą z nami...

- Nie sądzę, by to było dobre rozwiązanie - oczy Mety były przymrużone, a pistolet wyglądał tak, jakby

za sekundę miał skoczyć do jej dłoni. Zakochana Pyrrusanka była mimo wszystko kobietą - i Pyrrusanką, co stanowiło cholernie niebezpieczne połączenie. Na szczęście jakiś ruch przy drzwiach odwrócił jej uwagę i natychmiast palnęła w tym kierunku dwukrotnie, zanim Jason zdołał ją powstrzymać.

- Poczekaj, to Hertug. Poznałem jego pięty, kiedy nurkował w ukryciu.

- Nie wiedzieliśmy, że to jeden z twoich przyjaciół, Jasonie - zaskrzeczał przerażony głos z korytarza.

- Kilku nadgorliwych żołnierzy zaczęło strzelać. Już ich ukarałem. Jesteśmy przyjaciółmi, Jasonie. Powiedz temu ze statku, by przestał siać ogniem. Chcę wejść i porozmawiać z tobą.

- Nie rozumiem, co on mówi - oznajmiła Meta

- ale nie podoba mi się dźwięk jego głosu.

- Twoje odczucia są najzupełniej słuszne, kochanie - odparł Jason. - Trudno sobie wyobrazić kogoś bardziej dwulicowego, nawet gdyby miał oczy, nos i usta z tyłu głowy.

Jason zachichotał i uzmysłowił sobie, że zmagające się w jego organizmie lekarstwa i toksyny sprawiły, że czuje się jak po kilku szklaneczkach. Precyzyjne myślenie stanowiło pewien wysiłek,

ale był to wysiłek, który musiał podjąć. Wciąż tkwili po uszy w kłopotach i choć Meta była wspaniałym bojownikiem, trudno się było spodziewać, że pokona całą armię. A niewątpliwie zechcą ich zatrzymać choćby za taką cenę, jeżeli nie będzie bardzo uważał.

- Wejdziesz, Hertugu - zawołał. - Nikt cię nie skrzywdzi, takie pomyłki jak tamta, czasami się zdarzają.

- A potem szepnął do Mety: - Nie strzelaj, ale miej się na baczności. Spróbuję go przekonać, żeby nie robił kłopotów, ale nie mogę gwarantować, że mi się uda. Bądź więc gotowa na wszystko.

Hertug zerknął przez drzwi i znowu błyskawicznie się wycofał. Wreszcie zebrał całą swą odwagę i wsunął się niepewnie do komnaty.

- Jaką piękną, poręczną broń ma twój przyjaciel, Jasonie. Powiedz mu - zamrugał, patrząc na kombinezon Mety - to znaczy jej, że dam za to niewolników. Pięciu, to dobry interes.

- Siedmiu.

- Zgoda. Niech mi ją da.

- Ale nie za tę. Była w posiadaniu jej rodziny od wielu lat i nie mogłaby się z nią rozstać. Ale na statku, którym przybyła, ma jeszcze jedną. Zejdziemy na dół i ci ją da.

Mikah zakończył rozbieranie stołu i położył jego blat koło łóżka Jasona. Następnie, wraz z Metą przenieśli ostrożnie Jasona na te zaimprovizowane nosze. Hertug wytarł nos grzbietem dłoni, a jego mrugające, zaczerwienione ślepka wszystko zarejestrowały.

- Na statku są rzeczy, które sprawią, że poczujesz/ się lepiej - powiedział/iał, okazując więcej inteligencji, ni/ go Jason o to posadzał. Pewnie nie umrzesz ł odleci^/ w tym napowietrznym statku?

Jason jęknął i zaczął wić się na noszach przyciskając zraniony bok. - Umieram. Hertugu! Zaniósł me popioły na statek, na kosmiczną łódź pogrzebową, by rozrzucić je wśród gwiazd...

Hertug rzucił się w stronę drzwi, ale Meta natychmiast siedziała mu na karku. Wykręciła mu rękę za

plecy aż wrzasnął z bólu i wbiła mu lufę pistoletu w nerki.

- Jaki masz plan, Jasonie? - zapytała spokojnie.

- Niech Mikah weźmie nosze z przodu, a Hertug i Ijale z tyłu. Trzymaj tego starego cwaniaka na muszce a jeżeli będziemy mieli ociupinę szczęścia, wygrzebie-my się z tej afery z całymi skórami.

Ruszyli, powoli i ostrożnie. Pozbawieni przywódcy Perrsonoj nie mogli zdecydować się, co robić. Wstrząsnęły nimi okrzyki bólu Hertuga, jak również odwalające kawałki tynku i rozbijające okna strzały Jasona. Wędrówka w dół, po schodach i przez dziedziniec sprawiała mu przyjemność, a każdy pocisk, który pakował tuż przy każdej pojawiającej się głowie, podnosił go na duchu. Do rakiety dotarli bez żadnych trudności.

- No, a teraz nastąpi najtrudniejszy punkt programu - oznajmił Jason otaczając jedną ręką ramiona Ijale i zwieszając się całym ciężarem na drugiej, którą obejmował kark Mikaha. Nie był w stanie chodzić, ale mogli go podtrzymywać i wciągnąć na pokład. - Stań w drzwiach, Meta, i trzymaj mocno tego starego ścierwojada. Możesz spodziewać się wszystkiego, gdyż pojęcie takie jak lojalność jest tu zupełnie nieznane i jeżeli uznają, że mogą cię dostać tylko zabijając Hertuga, bądź pewna, że nie zawahają się ani przez chwilę.

- To logiczne - przyznała Meta. - W końcu to wojna.

- Owszem, sędzę, że Pyrrusanin tak właśnie może to ocenić. Bądź gotowa. Podgrzeję silniki i kiedy będziemy gotowi do startu, dam sygnał syreną. Wtedy puść Hertuga, zamknij służę i wskakuj za stery - nie przypuszczam, że dałbym sobie radę ze startem. Zrozumiałas?

- Doskonale. Idź, tracisz tylko czas.

Jason opadł na fotel drugiego pilota, wykonał czynności związane z procedurą przedstartową najszybciej jak potrafił. Właśnie sięgał do przycisku syreny, gdy rozległ się zgrzytliwy łoskot. Cały statek zadygotał i przez chwilę serca ich zamarły, kiedy zakołysał się i omal nie przewrócił. Wreszcie wyprostował się powoli i Jason włączył sygnał alarmowy. Zanim przebrzmiało echo syreny, Meta siedziała już w fotelu pilota i mała rakieta strzeliła w niebo.

- Okazuje się, że poziom rozwoju na tej prymitywnej planecie jest o wiele wyższy niż przypuszczałam - powiedziała, gdy ustało przeciążenie. - Na jednym z budynków stała wielka, paskudna machina, która nagle zadymiała i cisnęła kamień, który utracił większą część lewego statecznika. Rozwaliłam ją, ale ten, którego nazywałeś Hertugiem, uciekł.

- Pod niektórymi względami istotnie są dość rozwinięci - odparł Jason. Nie czuł się na siłach oznajmić Mecie, że to jego własny wynalazek omal ich nie wykończył.

Rozdziału

Umiejętny pilotaż Mety sprawił, że rakieta bez trudu wśliznęła się do otwartego luku ładowni pyrrusańskiej-go kosmolotu, który orbitował tuż ponad warstwą atmosfery. Stan nieważkości zmniejszył ból na tyle, że Jason zdołał dopilnować, by przerażoną Ijale przypasać do fotela. Potem sam pożegłował w kierunku swojej koi i zanim do niej dotarł, zemdlął, uśmiechając się szczęśliwie. Maniakalni właściciele niewolników wydawali się już odległą przeszłością.

Gdy się obudził, ból i złe samopoczucie prawie ustąpiły, gorączka również. I choć czuł się obrzydliwie osłabiony zdołał przedostać się korytarzem do kabiny nawigacyjnej. Meta programowała właśnie kurs na komputerze.

- Jeść! - wychrypiął Jason, chwytając się za gardło. - Moje tkanki harują, latają dziury, a ja ginę z głodu.

Meta bez słowa podała mu obiad w tubie i udało jej się zrobić to w taki sposób, że natychmiast zorientował się, że jest na niego wściekła z jakiegoś powodu. Gdy włożył tubę do ust zobaczył Ijale skuloną pod ścianą

kabiny, w każdym razie skuloną na tyle, na ile jest to możliwe w stanie nieważkości.

- O rany, ależ to było dobre! - wykrzyknął Jason z nieszczerą radością w głosie. Sama pilotujesz, Meta?

- Oczywiście, że sama. - Powiedziała to takim tonem, że brzmiało to raczej "głupi jesteś". - Pozwolono mi wziąć kosmolot, ale nikt nie był na tyle swobodny, by móc mi towarzyszyć.

- Jak mnie znalazłaś? - zapytał, próbując odnaleźć temat, który ożywiłby ją nieco.

- To przecież oczywiste. Kiedy statek wystartował z tobą na pokładzie, operator w kosmoporcie zapamiętał znaki rozpoznawcze i kiedy je opisał, Kerk natychmiast się zorientował, że statek był z Cassylii. Poleciałam na Cassylię i przeprowadziłam śledztwo. Zidentyfikowali kosmolot, ale nie było danych o jego powrocie. Wtedy przeanalizowałam kurs na Pyrrusa i ustaliłam, że istnieją trzy planety położone wystarczająco blisko trasy, by można je było wykryć z pokładu statku znajdującego się w podprzestrzeni. Na dwóch z nich są władze centralne, nowoczesne porty kosmiczne i kontrola lotów. Lądowanie albo nawet katastrofa statku, którego szukałam, niewątpliwie zostałyby na nich zarejestrowane. Ale tak nie było. A więc kosmolot musiał wylądować na trzeciej, tej, którą właśnie opuściliśmy. Gdy tylko osiągnęłam atmosferę, usłyszałam sygnały SOS i zesłałam do lądowania tak szybko, jak mogłam... Co masz zamiar zrobić z tą kobietą?

Ostatnie słowa były wypowiedziane lodowatym tonem. Ijale skuliła się jeszcze bardziej. Nie rozumiała nic z tej rozmowy, ale była najwyraźniej sparaliżowana strachem.

- Właściwie jeszcze o tyra nie pomyślałem...

- W twoim życiu jest miejsce tylko na jedną kobietę, Jasonie dinAlt. Na mnie. Zabiję każdego, kto myśli inaczej.

Niewątpliwie mówiła to zupełnie serio i jeżeli Ijale miała jeszcze trochę pożyć, należało niezwłocznie usunąć ją poza zasięg śmiertelnego zagrożenia, jakim była kobieco-pyrrusańska zazdrość. Jason zastanawiał się błyskawicznie.

- Zatrzymamy się na najbliższej cywilizowanej planecie i pozwolimy jej odejść. Mam dość pieniędzy, by zdeponować w banku na jej nazwisko taką sumę, by wystarczyła jej na wiele lat. Załatwię to w ten sposób, by wypłacano je po trochu, dzięki czemu bez względu na to jak będą ją oszukiwać, zawsze będzie miała ich dostatecznie dużo. I wcale nie będę się obawiał o jej los - jeżeli udało jej się przeżyć wśród tych pożeraczy *kreno*, to na pewno da sobie radę w każdym cywilizowanym świecie.

Nieomal słyszał już skargi, jakie padną z ust Ijale, gdy przekaze jej tę wiadomość, ale w końcu

chodziło tu o jej życie.

- Zadbam o nią i wskażę jej ścieżki Prawdy - od strony drzwi odezwał się znajomy głos. Mikah stanął w wejściu, trzymając się framugi. Brodę miał zmierzwioną, jego oczy płonęły.

- Cóż za wspaniały pomysł! - przytaknął z entuzjazmem Jason. Odwrócił się do Ijale i przemówił do niej w jej języku: - Słyszałaś? Mikah weźmie cię i zaopiekuje się tobą. Załatwię, żeby wypłacono ci pieniądze, które wystarczą na zaspokojenie wszystkich twoich potrzeb. Mikah wyjaśni ci wszystko co trzeba

o pieniądzach. Chcę, żebyś słuchała go uważnie, zapamiętywała dokładnie, co mówi i robiła dokładnie na odwrót. Musisz mi to obiecać i nigdy nie złamać swego słowa. W ten sposób, choć popełnisz może trochę błędów i czasem nie będzie tak, jakbyś chciała, w pozostałych przypadkach wszystko ułoży ci się jak po maśle.

- Nie mogę cię opuścić! Weź mnie ze sobą... Będę na zawsze twoją niewolnicą! - wyjęczała.

- Co ona mówi? - warknęła Meta, najwyraźniej domyślając się znaczenia słów Ijale.

- Jesteś zły, Jasonie, wydekłamał Mikah, wskazując znów w utartą koleinę. - Będzie ci posłuszna, wiem, że bez względu na to, jaki wielki trud w to włożę, zawsze uczyni to, co ty jej powiesz.

- Mam szczerą nadzieję, - odparł Jason żarliwie.

- Trzeba się urodzić z twoim szczególnym brakiem logiki w myśleniu, by czerpać z tego jakakolwiek przyjemność. My wszyscy jesteśmy o wiele szczęśliwsi poddając się nieco naporowi otaczającego nas bytu i wyduszamy nieco więcej przyjemności z otaczającej nas materialności.

- Jesteś zły, jako rzekłem, i nie możesz ująć kary

- zza framugi drzwi ukazała się dłoń Mikaha z zaciśniętym w niej odnalezionym gdzieś na dole pistoletem. Przejmuję dowodzenie tym statkiem. Zabezpieczysz te obie kobiety tak, by nie sprawiały kłopotów. A potem podążymy na Cassylię - na twój proces.

Meta siedziała w fotelu pilota obrócona plecami do Mikaha. Dzieliło ją od niego dobre pięć metrów, w rękach trzymała notatki z danymi nawigacyjnymi. Powoli uniosła głowę spoglądając na Jasona. Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Powiedziałaś, że nie chcesz, żeby go zabijać?

- W dalszym ciągu tego nie chcę, ale nie mam również zamiaru lecieć na Cassylię. Uśmiechnął się do niej i odwrócił.

Westchnął, szczęśliwy, słysząc gwałtowne zamieszanie za plecami. Nie padł ani jeden strzał, ale ochrypły wrzask, łomot i gwałtowny trzask były sygnałem, że Mikah przegrał swą ostatnią dyskusję.